



**MOLLY MOLLOY - CHARLES BOWDEN**

# SPOWIEDZ MORDERCY

**PRAWDZIWA HISTORIA MEKSYKAŃSKIEGO ZABÓJCY**

Autentyczny głos człowieka, który doszedł do granicy  
ludzkiej wytrzymałości, za którą nie ma już nic.  
Nie zgadzam się na taki świat! Strach to czytać.

Mariusz Jakus (*Symetria, Samowolka*)

# **SPOWIEDŹ MORDERCY**

**PRAWDZIWA HISTORIA MEKSYKAŃSKIEGO ZABÓJCY**

Tłumaczenie  
Krzysztof Cierniak

**Pascal**

Copyright © 2011 by Robofilms, LLC

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone

Tytuł: *Spowiedź mordercy*

Tytuł oryginału: *El Sicario. The Autobiography of a Mexican Assassin*

Tłumaczenie wywiadu z hiszpańskiego: *Molly Molloy*

Redakcja wersji angielskiej: *Molly Molloy, Charles Bowden*

Tłumaczenie: *Krzysztof Cierniak*

Redakcja: *Magdalena Łobodzińska*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Projekt okładki: *Vavog Wojciech Wawoczny*

Zdjęcie na okładce: *Shutterstock.com/artjazz*

Redaktor prowadząca: *Małgorzata Jasińska-Kowynia*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

[www.pascal.pl](http://www.pascal.pl)

Bielsko-Biała 2015

**ISBN 978-83-7642-646-4**

eBook maîtrisé par Atelier Du Châteaux

*Dla mojego ojca, NDM, 1920–1998  
i mojego brata, NDM Juniora, 1951–2010  
którzy kochali latanie, książki i niełatwe prawdy  
– MM*

*Może to być diabeł, może to być Bóg,  
ale zawsze musisz komuś służyć.*

– Bob Dylan, *Gotta Serve Somebody*

## Przedmowa

Trudno go zapamiętać. Przed naszym kolejnym spotkaniem kontaktuję się z nim przez ponad pół roku. Ustaliliśmy termin, ale on jak zwykle się spóźnia. Umawianiu się towarzyszy mnóstwo ceregieli, a i tak nigdy nie spotykamy się o wyznaczonej porze. On wciąż do mnie dzwoni, zmienia daty i miejsca, po czym każdy nowy plan znów bierze w łeb, a mnie przecież goni czas. Cóż, musiałem przywyknąć do tych wszystkich komplikacji.

Niepokoi mnie jedno – nie pamiętam jego twarzy. Ilekroć usiłuję go sobie przypomnieć, przed oczami pojawia się biała plama.

Kolejny raz staje przede mną i zaczyna coś wyjaśniać. Samochody mkną ruchliwą aleją, a on mówi, jednocześnie obserwując wszystko wokół. Tym razem chodzi mu o to, żebym zrozumiał płatnego mordercę, żebym poznał całą historię i tło społeczne, które on zna doskonale. Opowiada o domu w Ciudad Chihuahua, w którym przez pięć dni przetrzymywali kobietę. Chcieli przekonać jej męża, że jest w ich rękach, więc odcięli jej trzy palce – po jednym dziennie. Pokazuje dokumentację, żebym lepiej zrozumiał, o czym mowa, a zaraz potem wsiada do furgonetki, którą widzę pierwszy raz w życiu, i odjeżdża.

W końcu zaczynam sobie radzić z tą amnezją i stopniowo przypominam sobie, jak wygląda. Powoli dostrzegam zarys twarzy, mimo że ten człowiek ma szczególną zdolność – zmienia się przed moimi oczami jak animowana postać. Muszę zaznaczyć, że nie wolno mi dokładnie opisać wyglądu mego rozmówcy, by nie narażać jego życia. Problem tkwi jednak w czym innym – ten człowiek wygląda przeciętnie. Gdy się na niego patrzy, nic nie wskazuje na to, kim był i co robił. Mam wrażenie, że często używamy słów „zło” czy „potwór”, bo nie chcemy przyznać, że niczym się nie różnimy od takich ludzi jak *El Sicario*<sup>1</sup>), tymczasem oni są zdolni do porywania, torturowania, zabijania, ćwiartowania i grzebania ludzi, podczas gdy my nie jesteśmy sobie w stanie tego nawet wyobrazić.

1) *EL Sicario* – (hiszp.) płatny morderca (przyp. red.).

Starłem się to kiedyś wyjaśnić dziennikarce z którejś z mediolańskich gazet. Było to po weneckiej premierze filmu, który stał się kanwą tej książki. Zaczęła krzyknąć: „Nie, nie, nie, nie, nie”.

Wedle mojej wiedzy niniejsza relacja stanowi jedną z niewielu okazji do spotkania z takim człowiekiem i zrozumienia go. Nie jest moim zamiarem ani obrona, ani osądzenie jego życia. To jedynie próba objaśnienia pewnych zdarzeń przekazana przez człowieka, który był ich świadkiem lub brał w nich czynny udział i żyje po to, żeby opowiedzieć swoją historię.

Książka jest owocem licznych wielogodzinnych wywiadów. Chronologia

niektórych rozmów została zmieniona, jednak poprawki były w sumie dość drobne. *El Sicario* mówi zajmująco i klarownie. Pamiętam nasz pierwszy wywiad – zadałem jedno pytanie, a on mówił bez zająknięcia przez dwa dni. Jak to zwykle bywa z opowieściami ludzi przedstawiających całe swoje życie, i tu mamy do czynienia z relacją z podróży od niewinności do grzechu i od grzechu do odkupienia, które w życiu *El Sicario* oznaczało ponowne narodziny w Chrystusie. Choć opowieść mojego rozmówcy wpisuje się zatem w pewien schemat, jest to jednak jego własna historia – prawdziwe życie Meksykanina, dalekie od typowej amerykańskiej historii.

Wywiady przyjęły postać relacji, które ukazywały się cyklicznie w czasopiśmie „Harper’s”, a później powstał film dokumentalny o życiu *El Sicario*, wyreżyserowany przez włoskiego filmowca Gianfranca Rosiego. Podstawą niniejszej książki jest zapis wypowiedzi nagranych podczas tworzenia filmu *Pokój 164. Spowiedź mordercy*. Zdjęcia trwały wiele dni, w dwóch odrębnych cyklach, a *El Sicario* dostał za udział w nich wynagrodzenie. Czy miało to wpływ na jego wypowiedzi? Nie sędzę, jednak ocenę tego pozostawiam czytelnikowi.

Wydaje mi się, że w przyszłości będziemy mieli jeszcze do czynienia z postaciami podobnymi do *El Sicario*. Takich zabójców jest na całym świecie coraz więcej. Globalizacja gospodarki skazała wielu ludzi na nędzę, a mój bohater zwiastuje nadejście nowego typu człowieka – kogoś, kto zabija, sam jest gotów zginąć, nie żywi większych nadziei i nie ma żalu do świata. Nie przystaje do naszych przekonań i wyobrażeń, ale istnieje naprawdę i wyznaczył drogę, którą podążają jego naśladowcy.

Historia *El Sicario* to opowieść o władzy i potędze, ale to nie on jest panem swojego życia. Ma na głowie swoich przełożonych, innych zabójców, policjantów, żołnierzy i wszystkich agentów wielkiego aparatu przemocy, którzy czasem są jego kolegami, ale w żadnym wypadku nie mogłby im ufać. On musi czuć niepokój. Jego świat nie ma nic wspólnego z tym, który znamy z powieści i filmów. Jest kimś, kto porywa, torturuje i zabija. Sam jednak nigdy nie czuje się bezpieczny, gdyż jego robota opiera się na niepewnym gruncie. Sojusze się zmieniają, koledzy znikają (czasem dlatego, że musi ich zamordować), a *El Sicario* rzadko wie, co tak naprawdę dzieje się wokół niego. Jego oczom ukazują się od czasu do czasu jedynie migawki z pola bitwy.

Po ukazaniu się w „Harper’s” mojego pierwszego tekstu pojawiło się wiele pytań.

Niektórzy byli przekonani, że go wymyśliłem.

Osądźcie to sami.

Niektórzy pytali, czy ten człowiek to psychopata, socjopata czy cierpi na inne zaburzenia.

Otóż nie.



Niektórzy mieli nadzieję, że będzie się smażył w piekle. Co zabawne, niemal zawsze mówili to ludzie, którzy nie wierzą ani w piekło, ani w niebo.

Nie podzielam ich pobożnych życzeń.

Niektórzy chcieli wiedzieć, czy się bałem.

Tak, bałem się słuchać tego, o czym mówił. I bałem się przyjąć to jako część świata, w którym żyję i o którym myślę z nadzieją.

W 2007 roku w Juárez w Meksyku zamordowano 307 osób. Był to najbardziej krwawy rok w całej historii miasta, liczącej wówczas 348 lat.

W 2008 roku zamordowano 1623 osoby.

W 2009 roku zamordowano 2754 osoby.

W 2010 roku zamordowano 3111 osób.

W tym samym czasie w teksańskim El Paso, sąsiadującym z Juárez, odnotowywano rocznie od dziesięciu do dwudziestu morderstw. W 2010 roku ta liczba spadła do pięciu, a w dwóch przypadkach byli to mordercy, którzy popełnili samobójstwo.

Mimo to w Stanach Zjednoczonych dużo mówiło się i pisało o zagrożeniu przemocą, która może przekroczyć granicę. Mało kto interesował się natomiast przemocą w samym Juárez.

Opowieść *El Sicario* sięga wcześniejszego okresu, który zakończył się mniej więcej w 2007 roku. Aktywność mojego rozmówcy przypadła na wiek niewinności – czasy, w których było spokojnie, a Meksyk stawał się dla innych państw synonimem sukcesu. *El Sicario* żył wewnątrz systemu – w naszych rozmowach wyjaśnił dokładnie jego funkcjonowanie. Zmiany, które zaszły później, sprawiły, że system ten stał się jeszcze okrutniejszy, jeszcze bardziej skorumpowany i w jeszcze większym stopniu pozbawiony jakiegokolwiek kontroli. W dodatku trwa w najlepsze, więc przyglądając się dyskusjom poświęconym Meksykowi, warto wziąć pod uwagę wydarzenia z życia *El Sicario*, o których wspomina w naszych rozmowach.

Ten człowiek zabił setki ludzi, za co otrzymał sowite wynagrodzenie.

Nie pamięta wszystkich swoich ofiar.

Jest doskonale wyszkolony i bardzo inteligentny.

A ja wciąż nie mogę zapamiętać jego twarzy.

Czekanie już mnie nudzi, więc wchodzę z parkingu do Home Depot i próbuję zabić czas, oglądając ruszty do grillowania. Po chwili znowu jestem na zewnątrz i siadam na ławce przy wejściu. Mój wzrok krąży po parkingu (on lubi ruchliwe miejsca, bo wtedy trudno zauważyć, że przyjechał). Przyglądam się samochodom, wiedząc, że wpatruję się w nie na darmo, bo on za każdym razem zmienia pojazd. Jest dumny z tego, że nikt nie może go rozpoznać po samochodzie. Tak samo zresztą jest z jego miejscem zamieszkania – nigdy nie zdradza, gdzie aktualnie mieszka; przeprowadza się co dwa, trzy tygodnie, czasem nawet częściej.

Te zabiegi są niezbędne ze względu na ślady, jakie wszędzie pozostawia.

Pewnego razu udało mu się uciec zaledwie sześćdziesiąt minut przed pojawieniem się ludzi, którzy go poszukiwali.

Nadal jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego zamiast jego twarzy wciąż mam przed oczami kompletną pustkę. Poruszam się po jego świecie, w którym żył ponad dwadzieścia lat, stopniowo przyzwyczajając się do fałszywych nazwisk lub do ludzi bez imion. Nauczyłem się, że są pytania, których nigdy nie należy zadawać i że zawsze trzeba zapamiętywać twarze, słowa oraz wszelkie ślady, jakie pojawiają się przed moimi oczami.

Mimo to czuję kompletną pustkę. Znam jego pseudonim, zdradzony przypadkiem przez kogoś, kiedyś tam, gdzieś tam... Nie wiem jednak, jak naprawdę się nazywa. Modliłem się razem z nim, ale nie wiem, do jakiego Kościoła należy – on natomiast wie o mnie dużo, bo umie szukać i bez trudu przekopuje cały Internet. To zwyczaj, który pozostał mu z pracy – przez wiele lat musiał dokładnie poznać ludzi, których miał porwać, torturować, a w końcu zabić.

To przyzwyczajenie zawodowe pomaga mu zachować ostrożność. Doskonale wie, że ci, którzy przyjdą go zabić, mają takie same umiejętności i spędzają tyle samo czasu na przeczesywaniu wszelkich śladów przydatnych do znalezienia ofiary. Często zmienia numer telefonu, podobnie jak adres poczty elektronicznej. Kiedyś spędziłem z nim wiele dni, po czym rozstaliśmy się, a po godzinie czy dwóch jego telefon zamilkł na zawsze. Wszystkie te zabiegi są w pełni uzasadnione – cena za jego głowę wynosi już co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i nadal rośnie. Poszukuje go również inna organizacja przestępcza, która chce go zatrudnić u siebie.

Nawet największa ostrożność czasem zawodzi. Kiedyś zdarzyło się, że został odnaleziony. Musiał uciekać prawie dwa tysiące kilometrów i przeczekać, aż sytuacja się uspokoi. Regularnie dostaje informacje (nie wiem, z jakich źródeł) na temat ludzi, którzy go poszukują. Zawsze wie więcej, niż można wyczytać z gazet, mimo że na pozór nie ma żadnych kontaktów z naszym zwyczajnym światem.

Mamy słoneczny dzień, jest weekend, a tłumy odprężonych ludzi wlewają się do wnętrza Home Depot, snując marzenia o idealnym patio. Na takim tle powinien się wyróżniać jak czarna owca na tle stada, jednak jestem pewien, że tak nie będzie.

Siedzę na ławce, gapię się bezmyślnie w ziemię pod nogami i czekam... Nagle przede mną wyrasta jakiś człowiek. Podnoszę wzrok i wcale nie jestem pewien, z kim mam do czynienia.

To oczywiście on. Tak jest za każdym razem. Nie musi się przebierać, nie ma żadnego makijażu, nie zmienia kostiumów. Po prostu nie sposób go zapamiętać.

Klepiemy się po plecach, żartujemy, po czym przechodzimy do rzeczy. Planujemy jak zwykle zmieniają się w ostatniej chwili. Szukamy miejsca, w którym można

porozmawiać, proponujemy trzy, ale on wybiera konkretny motel i konkretny pokój – 164. Nauczyłem się nie pytać, dlaczego.

Z uwagi na charakter tej książki, pewne rzeczy po prostu nie wchodzą w rachubę. Po pierwsze – to nie jest moja książka, to nie jest książka Molly Molloy. To książka *El Sicario*, więc historia musi być opowiedziana jego słowami – bez ochronnej kurtyny w postaci interpretacji narratora. *El Sicario* jest na tyle bystrym i przenikliwym przewodnikiem po swoim świecie, że nie potrzebuje naszej pomocy. Po drugie książce tej bliżej jest do powieści niż do wywiadu, bo jak każda powieść tworzy własną rzeczywistość, która tutaj jest zdeterminowana przez władzę lub śmierć. Już na wstępie zaczynamy się orientować, że nikt z porwanych nie wróci do domu żywy, a rodziny prawdopodobnie nie zobaczą nawet ciała. Tu łapówka rozwiązuje każdy problem – kiedy ktoś traci kartę imigracyjną, wystarczy mały hokus-pokus i natychmiast pojawia się nowa wiza amerykańska. *El Sicario* pokazuje nam prawdziwą Amerykę Łacińską, która nie jest krainą realizmu magicznego – to kraina realizmu zabójczego.

Ta książka nie odpowie na pytania czytelnika, lecz pokaże mu nieznaną rzeczywistość. W tym świecie pytania stawiane przez przeciętnego Amerykanina brzmią absurdalnie, ponieważ poruszamy się w krainie terroru i wszechobecnej korupcji. Czytelnik nie wpatruje się w twarz *El Sicario*, ale w prawdziwe oblicze państwa meksykańskiego. Tu nikt nie zastanawia się, czy policjant jest uczciwy, czy przekupny, nikt nie stara się dowiedzieć, czy w sprawie zabójstwa zostanie wszczęte śledztwo. Nikt nie pyta o sprawiedliwość, ale po prostu stara się przeżyć. W tym świecie oświadczenia prezydenta USA na temat Meksyku nie mają żadnego znaczenia, ponieważ dotyczą kraju, który nie istnieje i nigdy nie istniał.

Oto wartość tej książki – to prawdziwy głos pochodzący ze środowiska, które naprawdę rządzi Meksykiem. Ten głos przywoływano czasem w różnych dyskusjach, jednak nigdy wcześniej nie zabrzmiał samodzielnie.

W pewnych aspektach ta książka przypomina mi *Iliadę*, gdyż przedstawia samodzielny, odrębny świat, który samym swoim istnieniem przewraca do góry znana nam rzeczywistość z wszystkimi jej kłamstwami i rządzącymi nią prawami. W *Iliadzie* ludzie są zabawkami w rękach bogów, którzy używają ich wedle własnego kaprysu. W tej książce ludzie są zabawkami torturowanymi i zabijanymi przez niewidzialne moce ukryte pod maską państwa meksykańskiego. W tym świecie każdy Achilles i każdy Hektor zdają sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy trafiają do ziemi i zostają zasypani wapnem.

Mamy przed sobą milczącą naturę meksykańskiej potęgi, która tym razem otwiera usta i przemawia do nas, ukazując nam kompletną nieznaną świat, w którym żyjemy.

Siedzimy zatem i słuchamy.

Przyglądałem się widzom, którym przyszło się zmierzyć z dokumentem o *El*

*Sicario*. Film stał się areną, na której ten człowiek odkrył w sobie pragnienie opowiedzenia o swoim życiu. Widzowie najpierw byli zdezorientowani, potem przerażeni, a na końcu nie mieli już żadnych pytań, natomiast w głowach huczało im aż nazbyt wiele odpowiedzi. Pewien meksykański reżyser tak podsumował swoje wrażenia: „Problem w tym, że on jest zbyt czysty, zbyt dobry, zbyt przekonujący. Nikt nie chce mu uwierzyć”.

Pierwsza sesja zdjęciowa trwała dwa dni.

Stopniowo okazywało się, że pokój 164 był dla niego bardzo ważny, bo właśnie do tego pokoju przyniósł kiedyś pewną paczkę.

Pamiętam czerwone drzwi wejściowe. Łóżko, aneks kuchenny, część wypoczynkowa z krzesłem i kanapą – to wszystko wyglądało przytulnie. Spędziłem w podróżach wiele lat i bywałem w setkach takich pokoi, które zawsze były dla mnie bezpiecznymi przystaniami po ciężkich dniach reporterskiej pracy.

Tym razem jednak się myliłem.

Weszliśmy do pokoju, żeby nakręcić materiał.

On miał już swój plan.

Pokazał nam życiorys, który zakwestionował nasze pojęcie o życiu.

Opisał nam ze szczegółami, co zrobił jednej ze swoich ofiar w tym właśnie pokoju.

Nadal mam kłopot z przypomnieniem sobie jego twarzy.

Nie sądzę jednak, żebym kiedykolwiek zapomniał jego opowieść.

## Wstęp

### Molly Molloy

Jest ciepły wieczór. W zamglonym powietrzu mieszają się dymy z rafinerii, która znajduje się po jednej stronie granicy oraz uliczny kurz i spaliny, nadciągające z drugiej. Ciężkie niebo jarzy się brudnopomarańczowym blaskiem. W domu, który wygląda na opustoszały, krępy mężczyzna siedzi na ceglach zimnego paleniska, kołysząc na potężnym ramieniu niemowlę. Drugie dziecko krąży wokół niego jak leśny duszek i wygląda na to, że nieprędko się zmęczy, bo czekając na powrót ojca, pochłonęło pół paczki czekoladek. Gdy krążyliśmy samochodem po mieście, dziecko dzwoniło do niego na komórkę co parę minut. Teraz tata delikatnie strofuje dzieciaka i odkłada na bok torebkę z łakociami.

Mężczyzna okrężną drogą dojechał do osiedla domów jednorodzinnych położonego w którejś z dzielnic miasta. Jestem pewna, że sama nie zdołałabym teraz tam dotrzeć. On zresztą i tak nie zagrzeje miejsca w tym domu, w przeciwnym razie nigdy by mnie tam nie zaprosił. Musiałam go odwiedzić wieczorem, bo zepsuł mu się samochód z wypożyczalni. W drodze powiedział mi, że żona z córką przekroczyły granicę jakiś czas temu bez legalnych dokumentów, co było kolejnym cudem boskim. Na miejscu widzę obszerny dom, powyginane i połamane żaluzje, parę mocno zużytych mebli powstawianych do każdego pokoju. Wyjątkiem jest kuchenny stół – solidny nieobrobiony mebel. Zrobił go własnoręcznie z drewna, które mu pozostało po ostatniej robocie przy jakimś remoncie.

W kuchni jest jeszcze stary komputer, pokazuje mi w nim swoje ostatnie dzieła – odremontowane domy w dzielnicach podobnych do tej, w której obecnie mieszka. Często zdarza się, że na wyprowadzkę ma zaledwie godzinę, więc nie zabiera w drogę nic poza swoją rodziną. Robotę załatwiają mu inni – ludzie, którzy mają odpowiednie papiery, narzędzia i znajomości. On daje w zamian silne ręce, umiejętności i chęć do ciężkiej pracy, typową dla doświadczonego rzemieślnika. Nic poza tym. Czasem podczas wywiadu zdarzało się, że odbierał telefon od byłego lub przyszłego pracodawcy – telefon z nowego świata, w którym zarabiał na chleb, zatrudniając się dorywczo na budowach. Głos zmieniał mu się wtedy błyskawicznie. Nie było w nim już nic władczego – zamiast tego pojawiał się ton typowy dla posłusznego robotnika: „Tak, proszę pana. Tak, szefie. Oczywiście, jestem do pańskich usług... Jakie są pańskie rozkazy?”. To był ten sam głos, którego używał, odtwarzając inne sceny, o których będzie mowa dalej.

Na tę książkę złożyło się wiele dni nagrań, z których wybraliśmy około dziesięciu godzin. Poza niniejszym wstępem i paroma przypisami wszystkie słowa po-

chodzą od *El Sicario*. Kilka kolejnych wywiadów zapisaliśmy w zeszytach – on mówił, ja tłumaczyłam, a Charles Bowden przenosił to na papier.

Podczas naszego pierwszego spotkania *El Sicario* nie był zachwycony, że musi zaufać jeszcze jednej osobie. Godząc się na rozmowę z Bowdenem, narażał się na poważne niebezpieczeństwo. Pewnego wietrznego dnia stoimy zatem na parkingu, a Bowden przedstawia mnie jako swoją ochronę. Tłumacząc jego słowa: *Dice que soy su guardaespaldas*. Gdy mężczyzna błyskawicznie analizuje tę informację, jego oczy ciemnieją na ułamek sekundy, bo wie z własnego doświadczenia, że mordercy mogą się pojawić w najróżniejszych postaciach, a ten, który cię w końcu dopadnie, jest niepozorny, a ty go po prostu przeoczyłeś. Po chwili już wie, że to tylko żart. Widok jest osobliwy – trzech potężnych mężczyzn ważących w sumie co najmniej trzysta kilogramów i ja, chucherko o wzroście stu pięćdziesięciu centymetrów i wadze około pięćdziesięciu kilogramów. Na twarzy *El Sicario*, zazwyczaj pozbawionej wyrazu, rozkwita uśmiech, po czym słyszę głośny śmiech, który oznacza jedno – teraz już wie, że wszyscy musimy być nieźle postrzeleni, skoro zebraliśmy się w tym miejscu w takim towarzystwie. Później dowiadujemy się, że w najważniejszych momentach jego życiowej wędrówki spotykał także innych postrzelców, a teraz jestem już pewna jednego – *El Sicario* wierzy, że wszyscy należymy do bractwa świętych głupców, których Bóg postawił na jego drodze. Wierzy, że Bóg miał jakiś cel, obdarowując go życiem, i że ten cel częściowo materializuje się również w postaci opowieści o jego dziejach, a Bowden i ja jesteśmy narzędziami, które to umożliwią.

Idziemy do motelu, w którym mamy przeprowadzić wywiad. Gdy załatwiamy formalności, *El Sicario* prosi mnie na stronę i każe przekazać Bowdenowi, że nie będzie mógł dziś rozmawiać. Poza tym ma ważne rachunki do zapłacenia i potrzebuje pieniędzy z góry. Mimo że nie dochodzi do żadnej wypłaty, idziemy do pokoju i siadamy przy drewnianym stoliku, przy którym przez cztery godziny opowiada swoją historię. Spoglądając na notes Bowdena, sugeruje mu, żeby nie spisywał wszystkiego. Bowden pisze jednak przez cały czas. *El Sicario* bierze ode mnie mały notesik i zielony długopis, po czym rozpisuje niektóre wątki w postaci wykresów. Gdy pod koniec wywiadu wyciągam rękę po kartki, nasz rozmówca wybucha śmiechem, po czym drze je na drobniutkie kawałeczki i wkłada do kieszeni.

Kilka miesięcy później spotykamy się, żeby ustalić szczegóły dotyczące nagrania filmu. Pertraktujemy, jeżdżąc przez kilka godzin po całym mieście cudzym samochodem. *El Sicario* nie lubi spotkań i rozmów w kawiarniach czy innych miejscach publicznych. Zanim wyraził zgodę na rozmowy z Charlesem Bowdenem, sprawdził go dokładnie – przyszedł na wywiad z plikiem papierów zawierających ściągnięte z sieci informacje o jego książkach i zdjęciem zrobionym na podwórku przy domu. Nie poznał jeszcze naszego filmowca, ale wyszukał w sieci informacje o Gianfrancu Rosim i na spotkaniu ma już przy sobie jakieś wydruki na jego temat.

Przedstawia nam swoje warunki: w filmie nie może się pojawić jego twarz, a głos musi zostać zmieniony. Po obu stronach granicy nie brakuje potężnych osób, które wciąż chcą go dopaść, a cena wyznaczona za jego głowę jest wysoka. Nadal żyją pewni ludzie, którzy pojawią się w jego opowieści. Część z nich z pewnością nigdy nie zapomni głosu człowieka, który ich torturował.

W końcu ustalamy liczbę dni zdjęciowych i czas, jaki poświęcimy na nagrania. Znacznie trudniej podjąć decyzję w sprawie wyboru miejsca, które będzie odpowiadało naszemu bohaterowi i autorowi filmu. Na mój nos *El Sicario* od początku zaplanował sobie pokój 164, ale chciał, żebyśmy to my dokonali wyboru. Całe popołudnie krążymy po mieście, oglądając motele i mieszkania, które mogłyby mu odpowiadać. W końcu wspólnie z Rosim wybierają pokój numer 164. Kolejne dwa dni *El Sicario* spędza w miejscu, w którym kiedyś wykonał całkiem inną pracę. Tym razem siedzi przed kamerą, a głowę spowija mu czarny woal wykonany z gęstej siatki. Mówi godzinami, trzymając w ręku gruby brązowy długopis, którym rysuje wykresy w wielkim szkicowniku oprawnym w skórę. Wymyślony przez naszego filmowca woal miał po prostu ukrywać twarz *El Sicario*, zapewniając mu zarazem swobodę oddychania, ale wkrótce okazało się, że był to przebłysk geniuszu. Gdy nasz rozmówca ma zasłoniętą głowę, wygląda, jakby spływała na niego łaska i mamy wrażenie, że zwraca się do jakiejś innej postaci, znajdującej się głęboko w jego wnętrzu. Słowa i emocje płyną rzeką, tworząc historię, która nie wymaga prawie żadnych dopowiedzeń. Później dowiedziałam się, że gdy dziewięcioletnia córka Rosiego zobaczyła rysunek przedstawiający *El Sicario* w woalu, powiedziała ojcu: „On wygląda jak starożytny zabójca”. Ten sam rysunek stał się plakatem do filmu dokumentalnego *Pokój 164. Spowiedź mordercy*.

W dniu odwiedzin w domu *El Sicario* miałam przy sobie cyfrowy dyktafon i listę pytań, które pomogłyby rozwiązać wątpliwości w kwestii paru szczegółów. Chodziło o kilka nazwisk, ważnych dat i informacji, które zostały zarejestrowane wcześniej, ale nie były do końca jasne. Gdy przez kilka godzin krążyliśmy po mieście, on cały czas miał w rękach mój dyktafon, a ja próbowałam robić notatki. Swoje problemy z datami wyjaśnia tym, że odnalezienie Boga zaowocowało wymazaniem całego *disco duro*, twardego dysku. Kiedy jednak jego głowę spowija czarny woal, osiąga stan łaski i jak zahipnotyzowany ponownie przeżywa wszystko, co się wydarzyło w jego życiu. W tym stanie opowiada o sobie tak, jak nie potrafiłby mówić twarzą w twarz, w świetle dnia, odpowiadając na pytania z listy.

Nie lubi pytań, zwłaszcza tych spisanych wcześniej i zadanych w inny sposób niż podczas rozmowy twarzą w twarz. Wie, że nic, co robi, nie pozostaje niezauważone – w każdej chwili może zostać namierzony i przez byle nieostrożność zdemaskowany, a kryjówek jest coraz mniej. Jadę więc na spotkanie, a potem mierzalnie przepisuję kilka godzin nagrań. Pokazuje mi kilka wydruków z Internetu, które jego zdaniem mają ilustrować niektóre odpowiedzi. Potem jednak mówi, że te

„najnowsze wiadomości z rynku narkotykowego” to „czysta fantazja” – śmieci wrzucone do sieci przez fałszywych *sicarios*. On chce mieć pewność, że widzę różnicę między nim a tamtymi i wierzę w to, że jego historia jest autentyczna. Potem odpowiada na pytania, a ja przelewam jego słowa na kartki tej książki.

Gdy po raz pierwszy słuchałam nagrań wykonanych podczas kręcenia zdjęć do filmu, zwróciłam uwagę na jedno – są tak czyste, a głos *El Sicario* tak jasny i żywy, że postanowiłam pisać od razu po angielsku z pominięciem tekstu hiszpańskiego. Jeszcze nigdy nie wsłuchiwałam się tak wnikliwie w żadne słowa. Staralam się zachować w angielskim tekście sens, rytm zdań oraz charakter człowieka, który po hiszpańsku opowiada swoją niezwykłą biografię i robi to pierwszy raz w życiu. Potem, w ramach prac redakcyjnych wnieśliśmy w tekst mówiony kosmetyczne zmiany, dotyczące głównie kolejności wątków. Pierwszy dzień to chronologiczna opowieść o życiu *El Sicario*. W kolejnym dniu skupia się na szczegółach swojej opowieści – analizuje, w jaki sposób jego życie przystawało do systemu, w którym funkcjonował, w którym zdołał przetrwać i który w końcu porzucił.

Pod koniec drugiego dnia zaczynam się do niego zwracać per profesorze. Swoją rozprawę poświęconą handlowi narkotykami i miejsca, jakie zajmuje w życiu społecznym Meksyku wygłasza tak precyzyjnym i klarownym językiem, że czuję się jak na wykładzie uniwersyteckim. W jego wystąpieniu nie ma mowy o żadnych hipotezach – życie, które opisuje było integralnie związane z panującym systemem. Być może zachowałabym większą precyzję, gdybym nazywała go *ingeniero*, inżynierem. *El Sicario* używa słów i wykresów, żeby na naszych oczach pokazać i przeanalizować funkcjonowanie meksykańskiego mechanizmu władzy, ekonomię polityczną handlu narkotykami oraz szczegóły techniczne związane ze śmiertelnościami systemem przemocy i kontroli należącym do tego świata. Doskonale wie o czym mówi, gdyż sam przez ponad dwadzieścia lat aktywnie działał na jego rzecz.

Podczas jednej z rozmów pokazuję mu, jak korzystać z bazy danych zawierającej artykuły prasowe ze stanu Chihuahua z ostatnich trzydziestu lat. *El Sicario* błyskawicznie orientuje się, jak to wszystko działa i zaczyna szukać dokumentacji na temat wydarzeń, które zna z pierwszej ręki. Jeden ze znalezionych artykułów mówi o wieczorze, podczas którego dostarczył na imprezę w hotelu prostytutki i alkohol. W pewnym momencie sytuacja wymknęła się spod kontroli, a recepcjonistę otoczyli faceci z bronią w ręku. *El Sicario* wylądował w areszcie, a nazwisko, którego wtedy używał, pojawiło się w prasie, mimo że miał przy sobie odznakę policyjną. Jego szefowie powiedzieli mu później, że wspomniany artykuł usunięto z wszystkich archiwów. Teraz śmiał się na wspomnienie tamtego incydentu. Niejednemu zdarzało mu się dostarczać na przyjęcia zamówione prostytutki, za co zresztą obrywał od żony. Do dziś nie wiem, czy nazwisko ujawnione wówczas przez media było prawdziwe.



Teraz *El Sicario* regularnie przeszukuje bazę danych, by wędrować po krainie, którą już opuścił, ale nadal go fascynuje. Chce przy tym jak najlepiej objaśnić funkcjonowanie tej krainy, bo uważa za swój obowiązek przedstawienie nam prawdziwego obrazu. Chce, żebyśmy zrozumieli jego życie. Doskonale wie, że doniesienia prasowe z Chihuahua odsłaniają tylko część prawdy o wydarzeniach, w których uczestniczył, ale pomogą mu potwierdzić to, o czym opowiada.

Na następną rozmowę przychodzi z kolejnym plikiem wydruków z bazy danych. Tym razem są to artykuły z gazet z Chihuahua poświęcone masakrze w jednej z restauracji w Juárez, do której doszło w sierpniu 1997 roku. Zastrzelono wówczas sześć osób i było to największe zbiorowe zabójstwo w mieście od czasów meksykańskiej rewolucji. Niechlubny rekord został pobity w 2008 roku, gdy w ośrodku leczenia narkomanów zginęło dziewięć osób<sup>2</sup>). Podczas analizy incydentu z 1997 roku *El Sicario* koncentruje uwagę na publicznych wypowiedziach osób piastujących wówczas wysokie stanowiska we władzach stanu Chihuahua. Osobiście znał zarówno ofiary, jak i ludzi oskarżonych o zabójstwo, ich związki z osobami pracującymi na wysokich stanowiskach w urzędach stanowych i federalnych oraz tymi, które kierują obecnie kartelami. Ta wiedza pozwala mu przeprowadzić analizę i opisać kolejne ogniwo w meksykańskim systemie karteli narkotykowych – korupcję na różnych stopniach władzy. Przypomina sobie jedno z opublikowanych wówczas zdjęć przedstawiające człowieka, który w tamtych czasach był ważnym członkiem kartelu, a dziś zajmuje wysokie stanowisko w Chihuahua. Zdradza też, że jedna z osób zaliczonych w artykułach do kręgu podejrzanych o związek ze zbrodnią z 1997 roku, nie została nigdy zatrzymana i mieszka dziś po amerykańskiej stronie granicy. Człowiek ten zdradził i wystawił na cel najważniejszą ofiarę zamachu. Kartel wyznaczył za jego głowę nagrodę w wysokości pięciu milionów dolarów, którą *El Sicario* próbował zdobyć w trakcie swojej przestępczej kariery.

2) Molly Molloy, *Massacre at CIAD #8 in Juárez*, „Narco News Bulletin”, 18 VIII 2008, **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze..** W 2009 roku w ośrodkach dla narkomanów doszło do kolejnych masakr, w których ginęło jednocześnie do dwudziestu osób. W tym samym roku miały miejsce ataki na przyjęcia odbywające się w prywatnych domach w Juárez. W ich wyniku zabito do szesnastu osób.

Oto kolejna opowieść o myśliwym i ofierze...

Tego samego wieczora mówi nam, że jego żona od czasu do czasu pyta, co się stanie, jeśli poszukujący go ludzie będą usiłovali porwać dzieci. Odpowiedź jest prosta: „Nie pytaj mnie o to”. Mówi, że jego pojęcie sprawiedliwości przypomina starotestamentowe *ojo por ojo, diente por diente*, oko za oko, ząb za ząb, przynajmniej, kiedy wciela się w rolę Meksykanina chroniącego własną rodzinę.

Dla jej bezpieczeństwa będzie zabijał i nie da się wziąć żywcem, bo wie, co by z nim zrobili. Samobójstwo nie wchodzi w grę, ale *El Sicario* potrafiłby tak zaaranżować sytuację, żeby tamci go zabili, gdy po niego przyjdą. W trakcie naszych rozmów widać wyraźnie, że mimo wysiłków nie udało mu się jeszcze całkowicie wyjść ze świata narkotyków i zabójstw. *El Sicario* chłonie archiwalne i współczesne doniesienia prasowe, uzupełniając brakujące lub przemilczane fakty, znane mu z własnego bogatego doświadczenia. Opuścił świat handlu narkotykami, ale ten świat wciąż nie pozwala mu zerwać wszystkich więzów.

Jego były towarzysz wciąż mieszka w Meksyku i od czasu do czasu donosi, że szuka go dawny szef. Być może chce z nim porozmawiać na temat powrotu do pracy dla kartelu, gdyby jednak zdecydował się stawić na rozmowę, mógłby albo zarobić mnóstwo pieniędzy albo kulę w łeb. Oto wizja zawodowej kariery...

Podczas kolejnej rozmowy *El Sicario* patrzy na stare pianino stojące w pokoju, w którym się spotykamy.

– Och – wzdycha – jako dziecko chodziłem na lekcje. Nauczyciel muzyki z Juárez założył szkołę dla niezamożnych dzieci i mama mnie do niej zapisała. W sali stało mnóstwo takich właśnie pianin. Pamiętam, jak uczyłem się nut – do, re, mi... Gdy uderzałem w niewłaściwy klawisz, obrywałem linijką po łapie... Zdarzyło się tak kilka razy, ale w końcu się wściekłem i mu oddałem, no i wywalił mnie ze szkoły. Mamie było strasznie głupio. Miałem wtedy dziesięć lat.

Wyobrażam sobie życie, jakie mógłby wieść, gdyby urodził się gdzie indziej. Mógł przecież przyjść na świat w kraju, w którym przed człowiekiem ze środowiska robotniczego, obdarzonym przenikliwą inteligencją, wiedzą techniczną, zdolnościami analitycznymi i żywym umysłem, nieustannie poszukującym nowych informacji, otwiera się mnóstwo możliwości. Mógł zostać księgowym, inżynierem czy architektem (o czym marzyła jego matka). Mógł wybrać karierę akademicką lub prawniczą, dochodząc do wysokich stanowisk na uczelni czy w wymiarze sprawiedliwości. Jego zdolności i umiejętności z pewnością przydałyby się w FBI, DEA) czy CIA. Gdyby żył w społeczeństwie, które przynajmniej w podstawowym zakresie opiera się na systemie doceniającym możliwości jednostki, z pewnością stałby się człowiekiem sukcesu.

3) Drug Enforcement Administration, amerykańska agencja rządowa utworzona w 1973 roku, której zadaniem jest walka z narkotykami, w tym sprawy narkotykowe związane z USA, odbywające się poza granicami kraju (przyp. red.).

Ta książka to dowód, że *El Sicario* nie jest postacią fikcyjną, lecz utalentowanym inteligentnym człowiekiem, o którego wyborach życiowych zadecydowały miejsce, czas oraz realia społeczne i ekonomiczne. Nie może to usprawiedliwiać jego decyzji związanej z przystąpieniem do zbrodniczej organizacji przestępczej, ale – jak sam mówi – jest wyjaśnieniem pewnych wyborów, jakich dokonał na

swojej drodze życiowej. Dziś każdy dzień jego życia stanowi konsekwencję tamtych wyborów.

Relacja *El Sicario* przenosi nas w świat handlu narkotykami i działalności policji, jednak niektóre elementy tej opowieści wymagają pewnego przygotowania. Tym czytelnikom, którym obce są realia życia w Meksyku i tajemnice biznesu narkotykowego, postaram się wyjaśnić najważniejsze sprawy.

## **Plaza**

Słowem, w którym dochodzi do spotkania przestępczości i władzy, jest meksykański termin *plaza*. W tym kraju słowo to nabiera specyficznego odrębnego znaczenia, wykraczającego poza znane wszystkim z codziennego użytku *plaza*, plac. W przeszłości władze meksykańskie przymykało oko na działalność organizacji przestępczych i sprawowało nad nimi kontrolę, wyznaczając specjalnych łączników, którzy nadzorowali działania i zabierali część dochodów na rzecz państwa. Każdy, kto miał kontrolę nad *plazą*, trzymał przestępczość w ryzach i zapewniał dochody państwu. Pewne odmiany tego zjawiska istnieją też na terenie Stanów Zjednoczonych – policjanci biorą łapówki i przymykają oko na nielegalne kasyna, domy publiczne i bary prowadzące działalność poza wyznaczonymi godzinami. W Meksyku te związki są znacznie bliższe, a w ostatnich dziesięcioleciach zjawisko to znacznie się nasiliło. Wszyscy doskonale wiedzą, że policjanci są skorumpowani i często popełniają przestępstwa. Po narodzinach nowoczesnego biznesu narkotykowego w latach 80. zyski handlarzy wzrosły do niebotycznych poziomów, więc państwo szybko zwróciło uwagę na nowe źródła bogactwa. Amerykańskie Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii (DEA) szacuje, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat dochody Meksyku z nielegalnego handlu narkotykami wynosiły od trzydziestu do pięćdziesięciu miliardów dolarów rocznie. Jeśli wziąć pod uwagę dochód Meksyku w obcych walutach, to handel narkotykami jest drugim najważniejszym źródłem i ustępuje jedynie handlowi ropą naftową (co zresztą nie jest takie pewne, gdyż może już zajmować pierwsze miejsce – nikt nie zna przecież prawdziwej wartości rynku narkotykowego). W skali świata zyski z nielegalnego handlu narkotykami znacznie przewyższają dochody przemysłu motoryzacyjnego.

Wielkie pieniądze powodują zwiększenie liczby zabójstw. *El Sicario* często otrzymywał zlecenia zabicia ludzi, którzy działali w tym biznesie w Juárez, nie płacąc za korzystanie z *plazy*. Ogromne dochody z kwitnącego przemysłu narkotykowego zmieniły też układ sił między władzą a organizacjami przestępczymi. Jeszcze do lat 80. przestępcy zwracali się bezpośrednio do policjantów i prowadzili negocjacje finansowe, zawierając układ, który umożliwiał im prowadzenie interesów. Gdy w grę weszły miliardy pozyskiwane z handlu kokainą, marihuaną i heroiną, przestępcy zaczęli dyktować swoje warunki, oferując osławione *plata o plomo*, sre-

bro lub ołów. Policjanci mieli dwa wyjścia – wziąć pieniądze i wykonać rozkazy szefów przestępczej organizacji albo zginąć.

Obowiązki służbowe *El Sicario* obejmowały między innymi dostarczanie pieniędzy przekazywanych przez kartel z Juárez kilku ekipom urzędników rządzących stanem Chihuahua w latach 90. Były to opłaty za sprawowanie kontroli nad *plazą*. *El Sicario* widział później, jak opłaceni urzędnicy awansowali na coraz wyższe stanowiska w meksykańskim systemie władzy. Gdy opowiada o tym, ukrywając się przed innymi *sicarios*, usiłującymi wykonać wydany na niego wyrok, w jego głosie pojawia się wyraźna nuta gniewu. Doskonale zna korupcyjną moc pieniędzy, które sam rozdzielał, umożliwiając innym dochodzenie do fortuny. Wie też, że ceną wysokiej pozycji, do jakiej doszło wielu meksykańskich polityków, jest krew setek zwyczajnych Meksykanów, takich jak on sam. Wie o tym doskonale, bo był zarówno myśliwym, jak i tropioną zwierzyną.

Trudno byłoby oszacować ilość pieniędzy wykorzystanych w takich transakcjach. W połowie lat 90. banki w teksańskim El Paso, graniczącym przez rzekę z Juárez, dysponowały depozytami, których wartość przekraczała przepływ gotówki w legalnej gospodarce o siedemset milionów dolarów rocznie. Doniesienia medialne z 1996 roku mówiły, że „władze amerykańskie szacują, że w samym El Paso dochodzi do wyprania trzech i pół miliarda dolarów pochodzących z handlu narkotykami”<sup>4</sup>). W 2007 roku w jednym domu w Mexico City, należącym do Zhenli Ye Gona, chińskiego biznesmena zajmującego się importem środków chemicznych wykorzystywanych do produkcji metamfetaminy, odkryto ponad dwieście pięć milionów dolarów w gotówce. Ye Gon twierdził później, że znaczna część tej sumy należała do rządzącej partii PAN i że został zmuszony do przechowania tych pieniędzy, które miały służyć politykom do nielegalnych przedsięwzięć<sup>5</sup>).

4) Charles Bowden, *Down by the River: Drugs, Money, Murder, and Family*, Nowy Jork 2002, s. 183. Według Bowdena szacunkowe dane dotyczące ilości pieniędzy z narkotyków, znajdujących się w bankach w El Paso, pochodzą z rozmów z miejscowymi pracownikami DEA przeprowadzonymi w połowie lat 90. Zob. też *U.S. Investigates Money Laundering in El Paso*, „Frontera Norte Sur”, X 1996, [www.nmsu.edu](http://www.nmsu.edu). „Frontera Norte Sur” cytuje artykuły z „El Paso Times” i „Diario de Juárez”.

5) Karin Brulliard, *In Tale of Millionaire Drug Suspect, Mexicans Judge Government Guilty*, „Washington Post”, 29 VII 2007.

Na początku XXI wieku organizacje zajmujące się handlem narkotykami zaczęły stopniowo przejmować kontrolę nad społeczeństwem, co zmieniło oblicze dzisiejszego Meksyku. Nasz rozmówca był świadkiem tej rewolucji. Zanim odszedł z organizacji, dla której pracował, wraz ze swoimi towarzyszami obsługiwał trans-

porty narkotyków o wartości od trzydziestu do nawet czterdziestu milionów dolarów. Przy obracaniu takimi pieniędzmi rodzi się pokusa kradzieży, więc do obowiązków służbowych *El Sicario* należało zabijanie ludzi, którzy próbowali oszukać szefa<sup>6</sup>).

6) Jeśli chodzi o obraz handlu narkotykami w Meksyku oraz skalę korupcji władz w drugiej połowie lat 90., zob. Komitet Reformy i Nadzoru Władz Izby Reprezentantów USA, Podkomitet ds. Bezpieczeństwa Narodowego, Spraw Zagranicznych i Sprawiedliwości, oświadczenie Thomasa A. Constantine'a, przedstawiciela organów ds. walki z narkotykami w Departamencie Sprawiedliwości USA, zeznanie w Kongresie przed przesłuchaniem dotyczącym współpracy z Meksykiem, 25 II 1997; [www.justice.gov](http://www.justice.gov). Zob. też Terrence E. Poppa, *Druglord: The Life and Death of a Mexican Kingpin*, El Paso, Teksas: Cinco Puntos 2010 – niezwykła relacja o tym, jak Pablo Acosta kontrolował *plazę* w mieście Ojinaga (stan Chihuahua) w latach 80., czyli przed wzrostem potęgi Amada Carrilla i kartelu z Juárez.

## **Kartele**

W świecie, w którym rządzi prawo, słowo kartel oznacza grupę firm dążących do opanowania rynku. U źródeł narodzin prawa antymonopolowego w Stanach Zjednoczonych legła właśnie walka z kartelami. Meksykańskie organizacje zajmujące się handlem narkotykami nigdy nie zdołały całkowicie opanować rynku i musiały walczyć z mniejszymi grupami, które starały się z nimi konkurować. Gdy giganci odkrywają takie pokątne interesy, po prostu mordują niepokornych. Menedżerowie z wielkich amerykańskich korporacji przywykli do tego, że ciężko pracują, zarabiają mnóstwo pieniędzy, a gdy ich czas się kończy, zostają zwolnieni lub idą na emeryturę, mając zapewniony wysoki standard życia. Jeśli chodzi o szefów karteli, to koniec biznesowej kariery łączy się często z wyprawieniem ich na tamten świat.

Drugą cechą charakterystyczną meksykańskich karteli narkotykowych jest brak stabilności. Od końca lat 80. do dziś w świecie meksykańskiego handlu narkotykami istniało kilka dominujących grup różniących się pochodzeniem i zasięgiem terytorialnym: Sinaloa, Juárez, Gulf, Tijuana, Beltran-Leyva, Los Zetaz czy La Familia Michoacana. Czasami różne grupy lub odłamy tego czy innego wielkiego kartelu łączą się ze sobą przy określonej transakcji i tworzą odrębną organizację. Bywa i tak, że z jednego kartelu wyłania się nowy byt rozpoczynający samodzielną działalność. Pomiędzy poszczególnymi grupami nieustannie dochodzi do tarć, a w biznesie narkotykowym skutkiem takich konfliktów są morderstwa.

Kartel z Juárez rozkwitł w połowie lat 80., gdy przez Meksyk zaczęły prze-

plywać dostawy kokainy z Ameryki Południowej. Kartel miał dwa podstawowe atuty: układy z producentami kokainy z Kolumbii, Peru i Boliwii oraz całkowitą kontrolę nad przejściem granicznym łączącym Juárez z El Paso. Pod koniec lat 90. szef amerykańskich służb ds. walki z narkotykami, Barry McCaffrey, szacował, że w Juárez magazynowano piętnaście ton kokainy. Gdy we wspomnianej dekadzie kartel z Juárez poszerzył wpływy i terytorium działania, pracownicy DEA obliczyli, że tamtejsza *plaza* generuje dla El Paso nadwyżkę gotówki w wysokości nawet siedemdziesięciu milionów dolarów rocznie. Pieniądze te wchodziły do północno-amerykańskiej gospodarki poprzez rynek nieruchomości i dóbr luksusowych<sup>7</sup>).

7) Robert Draper, *Carrillo's Crossing*, „Texas Monthly”, nr 12, XII 1995.

Głównym twórcą narkobiznesu w Juárez był Amado Carrillo Fuentes, który kontrolował *plazę* od maja 1993 roku aż do swojej śmierci w lipcu 1997 roku. Wcześniej zadbał o to, by jego poprzednik, Rafael Aguilar Guajardo, pożegnał się z tym światem, a następnie zajął jego miejsce. U szczytu swojej potęgi Amado Carrillo był właściwie nietykalny i przemieszczał się po całym Meksyku w towarzystwie kilkudziesięciosobowego oddziału ochroniarzy stworzonego z funkcjonariuszy policji federalnej. Carrillo był pierwszym szefem kartelu, który starał się zbudować strukturę wymuszającą współpracę między kartelami i umożliwiającą rozwój biznesu bez toczenia tak wielu kosztownych i krwawych walk. Zdołał też doprowadzić do zawarcia sojuszu między organizacjami handlującymi narkotykami a najwyższymi strukturami władzy w Meksyku. Po śmierci Amada Carrilla w 1997 roku naukowiec Peter Lupsha, zajmujący się przez wiele lat zagadnieniami związanymi ze zorganizowaną przestępczością oraz praniem brudnych pieniędzy w Ameryce Łacińskiej, powiedział:

– W Kolumbii narkotykowi *capos* stanowią zewnętrzne zagrożenie dla państwa, natomiast w Meksyku są elementem systemu państwowego<sup>8</sup>).

8) Phil Gunson, *End of the Line: This is the Face of Amado Carrillo Fuentes—and It May Have Cost Him His Life*, „The Guardian”, 17 VII 1997, s. T2.

Amado zmarł w 1997 roku w jednym z meksykańskich szpitali, w którym przeszedł operację plastyczną mającą zmienić jego wygląd. Na czele kartelu stanął jego brat, don Vicente Carrillo, który do dziś kieruje organizacją. Wszyscy twierdzą, że w przeciwieństwie do Amado woli nie rzucać się w oczy i działa z mniejszym rozmachem, czemu zawdzięcza zapewne niespotykaną wcześniej długość na stanowisku szefa kartelu z Juárez. *El Sicario* zetknął się z Vicente jako piętnastolatek i w czasie całej swojej kariery miał raz po raz do czynienia z jego wielką organizacją, zajmującą się handlem narkotykami. Jako młodzieniec był ochroniarzem najważniejszych członków kartelu, więc dziś może opisać, w jaki sposób zmuszano pracowników do całkowitego oddania szefom. Relacja *El Sicario*

ukazuje potęgę kartelu, a także brak stabilizacji i bezustanne napięcie wywoływane przez grupy rywalizujące o kontrolę nad *plazą*. Problemem byli też nielojalni członkowie kartelu, dopuszczający się oszustw względem organizacji. *El Sicario* nigdy nie mógł czuć się bezpiecznie – zawsze miał przy łożku nabitą broń i liczył się z tym, że może zostać zabity. Widział, jak awansowali i upadali jego koledzy, często otrzymywał też rozkaz wykonania wyroku na swoich współpracownikach.

Kiedy słuchamy jego opowieści, zaczynamy się orientować, że *El Sicario* nigdy nie miał pewności, dla kogo dokładnie pracuje i rzadko otrzymywał rozkazy od ludzi stojących znacznie wyżej w hierarchii. Opisuje szczegółowo strukturę kartelu opartą na komórkach organizacyjnych – pozwalała ona na ścisłą reglamentację i kontrolę przepływu informacji. Sytuacja zmieniła się w ostatnich latach jego pracy (2006–2007), kiedy cały system zaczynał się sypać, a on sam nie wiedział już zupełnie, kto wydaje rozkazy.

W tym samym okresie nastąpiło zaostrzenie konfliktu, który opisuje się zazwyczaj jako próbę przejęcia *plazy* w Juárez przez *la gente nueva*, nowych ludzi, związanych z kartelem z Sinaloa, na których czele stał Joaquin „El Chapo” Guzman. W grudniu 2006 roku prezydent Calderón ogłosił, że do walki z kartelami narkotykowymi stanie wojsko, które jednak od paru dekad współpracowało z narkotykowymi gangami – to zostało dowiedzione, nie zostawiając cienia wątpliwości<sup>9</sup>). Okazało się, że Meksyk czekała dalsza eskalacja przemocy. Od 2008 roku najbardziej krwawą areną tego konfliktu stało się Ciudad Juárez.

9) Carlos Fazio, *Mexico: The Narco General Case*, „Transnational Institute”, XII 1997, [www.tni.org](http://www.tni.org). W lutym 2011 roku w meksykańskiej i zagranicznej prasie pojawiła się kolejna depesza z Wikileaks zatytułowana *Aresztowanie majora armii meksykańskiej za pomoc organizacjom handlującym narkotykami*. Depesza, napisana przez ambasadora USA Tony’ego Garzę, nosi datę 20 I 2009 roku. Jest w niej mowa o aresztowaniu w grudniu 2008 roku majora armii meksykańskiej Artura Gonzaleza Rodrigueza, należącego do służb ochrony prezydenta Calderóna, pod zarzutem związku z handlarzami narkotyków. Z depeszy wynika też, że organizacje zajmujące się handlem narkotykami zdobyły dostęp do dokumentacji medycznej prezydenta Calderóna. Zob. [wikileaks.jornada.com.mx](http://wikileaks.jornada.com.mx) (*En manos de cárteles del narco datos confidenciales de Felipe Calderón*) i [www.laht.com](http://www.laht.com) (*Wikileaks: Cartel Got Mexican President’s Health Records*).

## Wojna prezydenta Calderóna

1 grudnia 2006 roku urząd prezydenta Meksyku objął Felipe Calderón, który odniósł nieznaczące zwycięstwo w wyborach i musiał pokonać kolejne przeszkody stawiane przed nim w kongresie przez politycznych przeciwników. Oszustwa wy-

borcze to w Meksyku narodowa tradycja, więc wielu obywateli widziało w Calderónie samozwańca, który bezprawnie doszedł do władzy w państwie. Wkrótce po objęciu stanowiska nowy prezydent wystąpił w wojskowym mundurze, co nie zdarzało się przywódcom Meksyku od czasów rewolucji. Wysłanie czterdziestu pięciu tysięcy żołnierzy do walki z kartelami narkotykowymi uznawano za manewr taktyczny, którego celem było ożywienie krytykowanej, słabej prezydentury. Ten śmiały krok miał dowieść, że prezydent potrafi rządzić *la mano dura*, twardą ręką.

Pojawienie się na ulicach wojska przyczyniło się do wzrostu przemocy w wielu regionach Meksyku. Spora część Meksykanów zorientowała się, że kartel z Sinaloa, kierowany przez Joaquina „El Chapo” Guzmána, znajduje się właściwie poza sferą zainteresowań wojskowych prowadzących wielką kampanię antynarkotykową. Ludzie zaczęli podejrzewać, że armia nie walczy z kartelami, ale stoi po jednej ze stron, a celem akcji jest skupienie kontroli nad wielkimi zyskami z handlu narkotykami, zwłaszcza nad *plazą* w Juárez. Prawnik Edgardo Buscaglia, który jest też ekspertem od zorganizowanej przestępczości w Mexico City, przeprowadził analizę danych dotyczących bezpieczeństwa publicznego i na podstawie tych statystyk stwierdził, że „spośród 53 174 osób aresztowanych w ciągu ostatnich sześciu lat za udział w zorganizowanych grupach przestępczych zaledwie 941 było związanych z Sinaloa”<sup>10</sup>). Państwowe radio zbadało oficjalne dane dostarczone przez biuro prokuratora generalnego Meksyku. Dotyczyły one zatrzymanych od początku kadencji Calderóna do maja 2010 roku. Okazało się, że zaledwie dwanaście procent spośród 12 600 osób oskarżonych przed sądami federalnymi o członkostwo w kartelu ma związek z organizacją z Sinaloa<sup>11</sup>). Były komendant policji z Juárez, który poprosił o azyl w USA, powiedział w nieoficjalnej rozmowie z jednym z kanadyjskich dziennikarzy, że w 2007 roku od kartelu z Juárez odłączyło się kilka gangów przemytniczych, które podjęły współpracę z organizacją z Sinaloa, usiłującą przejąć kontrolę nad tą zyskowną *plazą*. Zmiany sojuszy były przyczyną wielu zabójstw, które stały się prawdziwą zmorą miasta na początku 2008 roku<sup>12</sup>). Pracownicy DEA mówią nieoficjalnie, że dopóki prezydent Calderón sprawuje swój urząd, to El Chapo może się czuć bezpiecznie. Jak to zwykle bywa w Meksyku, plotka staje się faktem, podejrzania zastępują rzeczową analizę, a plotka w parze z podejrzaniem bywa czasami bliższa prawdy niż oficjalnie podawane informacje.

10) *Outsmarted by Sinaloa*, „The Economist”, nr 8664, 9 I 2010, s. 40–41.

11) John Burnett, Marisa Peñalosa i Robert Benincasa, *Mexico seems to Favor Sinaloa Cartel in Drug War*, National Public Radio, 19 I 2010, [www.npr.org](http://www.npr.org). W tym opracowaniu cytuje się meksykańskich polityków, naukowców, dziennikarzy oraz przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości USA, którzy (oficjalnie i nieoficjalnie) podają przykłady związków kartelu z Sinaloa z wysokimi oficerami armii i członkami najwyższych władz państwowych. Mówią też o stosunkowo uprzywi-



lejewanej pozycji tego kartelu za administracji Calderóna.

12) Bruce Livesey, *Drug War or Drug Deal? Mexico's Biggest Cartel Banks on Powerful Friends*, „Montreal Gazette”, 22 V 2010.

Trudno poznać prawdę dotyczącą związków między gabinetem Calderóna, wojskiem i kartelami, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Ciudad Juárez jest miejscem, z którego wypływa przemoc rozlewająca się po całym Meksyku i owocująca kolejnymi rzeziami. Władze przez cztery lata zachowywały wstrzeźliwość w kwestii ujawniania oficjalnych danych o ofiarach wojen narkotykowych, ale w końcu w styczniu 2011 roku meksykański rząd wydał raport (wraz ze statystykami), z którego można się dowiedzieć, że od objęcia urzędu przez prezydenta Calderóna w grudniu 2006 roku w Meksyku doszło do 34 612 morderstw związanych z handlem narkotykami. Każdego roku liczba ofiar rosła w coraz większym tempie<sup>13</sup>). Wedle danych zamieszczonych przez Jo Tuckman na łamach „The Guardian”, od 2008 roku Juárez jest miastem o najwyższej przestępczości mimo obecności armii na ulicach. Gazeta opublikowała też ważne zastrzeżenie, że „liczby nie mówią nic o tym, ilu zabitych miało jakieś związki z kartelami, ilu należało do służb bezpieczeństwa ani jak wielu przypadkowych cywilów padło ofiarami straszliwych porachunków”<sup>14</sup>).

13) José de Córdoba i David Luhnów, *In Mexico, Death toll in Drug War Hits record*, „Wall Street Journal”, 13 I 2011; Jorge Ramos Perez, *La Lucha anti-crimen deja 34 mil muertes en 4 años* [Walka z przestępczością przynosi 34 000 ofiar w ciągu 4 lat], „El Universal”, 13 I 2011. Niżej podano statystyki zabójstw związanych z narkotykami, popełnionych w całym kraju w poszczególnych latach za kadencji Calderóna: XII 2006 – 62; 2007 – 2826; 2008 – 6837; 2009 – 9614; 2010 – 15 273.

14) Johanna Tuckman, *Mexico Drugs War Murder Data Mapped*, „The Guardian”, 4 I 2011.

Na początku 2011 roku w różnych meksykańskich mediach pojawiły się kolejne doniesienia, w których liczba szacowanych ofiar sięgnęła niemal pięćdziesięciu tysięcy. Warto tu wspomnieć, że łączna liczba ludności Meksyku to 112 468 855 osób<sup>15</sup>). Oblicza się, że około dwadzieścia pięć procent wszystkich zabitych przypada na Juárez – miasto liczące ponad milion dwieście tysięcy mieszkańców.

15) Szacunkowe dane z początku 2010 roku zamieszczone w CIA World Factbook. Pod koniec 2012 roku liczba ta wzrosła do 116 901 761 osób.

W 2007 roku, w czasie, gdy *El Sicario* przygotowywał się do wyjścia z przestępczego systemu, w Juárez padł rekord, który zapisał się w oficjalnych statystykach 307 zabójstwami. W 2008 roku morderstw było pięciokrotnie więcej – liczba ofiar sięgnęła 1623. W tym samym roku, podczas wykopów, w kilku zakładach pogrzebowych odkryto czterdzieści pięć ciał, jednak ofiar nie ujęto oficjalnie w żadnych statystykach rocznych z powodu braku potwierdzonych informacji na temat czasu zgonu. W 2009 roku w mieście doszło do 2754 zabójstw, a rok 2010 zamknął się liczbą 3111 ofiar, co daje średnią osiem i pół morderstwa dziennie (dane pochodzą z „El Diario de Juárez”). Rekord padł w październiku 2010 roku, gdy w ciągu jednego miesiąca doszło do 359 zabójstw. Szacuje się, że pod względem liczby zabitych Juárez przewyższa wszystkie miasta na świecie. Wskaźnik ten wynosi dwieście pięćdziesiąt na sto tysięcy ludzi, a w latach 2007–2010 wzrósł o osiemset procent. Do 21 lutego 2011 roku zabito kolejne 384 osoby, więc łączna liczba ofiar z Juárez przypadających na cztery lata wojny Calderóna przekroczyła już osiem tysięcy<sup>16</sup>).

16) Liczba morderstw w Juárez ciągle rośnie. W marcu 2010 roku władze stanowe w Chihuahua ujawniły statystyki, z których wynika, że rocznie ginie 3,951 osób (11 dziennie), o 840 więcej niż w 2009 roku. Biorąc pod uwagę liczbę ludności w Juárez, około 1,2 miliona osób, liczba morderstw wynosi trzysta dwadzieścia dziewięć na sto tysięcy. Gwoli porównania: w wenezuelskim Caracas, przywoływanym często jako jedno z najbardziej niebezpiecznych miast świata, liczba ta wynosi około stu osób na sto tysięcy mieszkańców. W Nowym Jorku notuje się około sześciu morderstw na sto tysięcy, a w Detroit, znanym z wysokiej przestępczości i poważnych problemów społecznych – czterdzieści sześć. El Paso, w którym wskaźnik wynosił około dwóch morderstw, w najnowszych badaniach zostało zaliczone do najbezpieczniejszych miast liczących ponad pięćset tysięcy mieszkańców.

Nie miałyby sensu przypisywanie wszystkich ofiar wojnie z kartelami. Skoro mówimy o wojnie, to kto w niej walczy? Od początku 2008 roku ulice Juárez patroluje ponad osiem tysięcy żołnierzy i policjantów federalnych. W gazetach rzadko pojawiają się doniesienia na temat liczby zabitych żołnierzy, a armia meksykańska nie ma zwyczaju informować o jakichkolwiek ofiarach. Przez całe dwa lata, 2008–2009, gazety wydawane w Juárez napisały o zaledwie trzech żołnierzach zabitych w mieście. Raport rządowy z sierpnia 2010 roku ujawnił, że od czasu wypowiedzenia przez Calderóna wojny kartelom na terenie całego Meksyku zginęło w sumie 191 wojskowych oraz 2076 funkcjonariuszy policji federalnej, stanowej i miejskiej<sup>17</sup>), a łączna suma zabitych podana w sierpniu wyniosła dwadzieścia osiem tysięcy. W raporcie ze stycznia 2011 roku władze nie precyzują, którzy z zabitych służyli w wojsku lub innych służbach bezpieczeństwa.

17) „Jak wynika z listy nazwisk umieszczonej na ścianie muzeum walki z narkotykami w Departamencie Obrony, od grudnia 2006 roku do 1 sierpnia 2010 roku w walkach z gangami narkotykowymi zginęło w sumie 191 żołnierzy. Reporterzy zobaczyli ten wykaz w trakcie zwiedzania placówki i był to pierwszy przypadek ujawnienia takiej listy przez władze. 43 spośród zabitych to oficerowie. W ubiegłym tygodniu władze podały, że od grudnia 2006 roku zostało zabitych 2076 policjantów”. Zob. Associated Press, *Mexican Mayor Found Dead 3 Days after Kidnapping*, „USA Today”, 18 VIII 2010, [www.usatoday.com](http://www.usatoday.com).

Najważniejszą informacją, jaką można wyciągnąć z wszystkich opracowań rządowych, jest to, że najprawdopodobniej minimalizują one liczbę zabitych. Wiemy też, że skoro prezydent Calderón czy inni przedstawiciele rządów mówią, że dziewięćdziesiąt procent ofiar to przestępcy, to możemy być pewni, że państwo objęło śledztwem mniej niż pięć procent wszystkich tych zbrodni<sup>18</sup>). Wystarczy codziennie śledzić doniesienia w gazetach z Juárez, by się przekonać, że zdecydowana większość ofiar to zwyczajni ludzie – przeważnie biedni. Są wśród nich dzieci, nastolatki, staruszkowie, drobni przedsiębiorcy odmawiający płacenia haraczu, mechanicy, kierowcy, kobieta sprzedająca *burrito* z ulicznego wózka, żonglujący kłown zabity na skrzyżowaniu, chłopcy stojący na rogu i sprzedający gazety, gumę do żucia, a zapewne także woreczki z kokainą czy heroiną, coraz liczniejsze młode kobiety szukające pracy w biznesie narkotykowym oraz dziesiątki ludzi zamordowanych z zimną krwią w ośrodkach dla narkomanów. Pracownicy opieki społecznej szacują, że w samym Juárez jest od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy uzależnionych od narkotyków. W pewnym momencie *El Sicario* wspomina w swojej opowieści o tym, że coraz więcej biednych ludzi z Juárez używa narkotyków i zajmuje się ich rozprowadzaniem, podkreśla też dewastujący wpływ tego niewielkiego lokalnego rynku, który wciąż się rozrasta.

18) CNN–The Situation Room, „Wywiad z prezydentem Meksyku Felipe Calderónem; analiza wyników przyspieszonych wyborów” (transkrypcja), audycja z 19 V 2010, [transcripts.cnn.com](http://transcripts.cnn.com); Silvia Otero, *No investigan 95% de muertes en ‘guerra’* [W 95 procent przypadków „śmierci na wojnie” nie prowadzi się śledztwa], „El Universal”, 21 VI 2010, [www.eluniversal.com.mx](http://www.eluniversal.com.mx); *Las autoridades están rebasadas por los hechos, dicen especialistas; el Presidente ha asegurado que 90% de los decesos por lucha antinarco es de la mafia* [Specjaliści twierdzą, że rozwój wypadków przerósł władzę: prezydent zapewnił, że 90 procent zabitych w walce z narkotykami to członkowie mafii].

Ludzie nazywają wiele ofiar *malandros*, złymi facetami, hołotą, śmieciami. Gdy mówią o zabójstwach, często używają określenia *limpieza social*, oczyszczenie społeczeństwa. Prawda jest taka, że mniej niż pięć procent zabójstw w Meksy-

ku doczeka się kiedykolwiek śledztwa bądź wyjaśnienia<sup>19</sup>). Coraz więcej osób zdaje sobie sprawę, że mamy do czynienia z wojną, przynajmniej po części prowadzoną przez potężne siły istniejące na łonie władzy, które walczą z biednymi, zmarginalizowanymi warstwami społeczeństwa meksykańskiego.

19) Julie Watson i Alexandra Olson, *AP Impact: Mexico Justice Means Catch and Release*, „El Paso Times”, 27 VII 2010; *Llegan a juzgados pocos homicidios* [Rzadko które zabójstwo znajduje finał w sądzie], „El Diario de Juárez”, 7 XI 2009; *El 99% de los delitos en Mexico quedan impunes y todavía estan pendientes 400,000 ordenes de arresto* [99 procent zbrodni w Meksyku pozostaje bezkarnych, na wykonanie czeka 400 000 nakazów aresztowania], „Europa Press”, [b.d.], [www.lukor.com](http://www.lukor.com).

W październiku 2010 roku meksykańską prasą wstrząsnęła prawdziwa sensacja – ogólnokrajowa gazeta „El Universal” opublikowała artykuł zatytułowany *Oczyszczanie społeczeństwa, nie wojna z narkotykami*. Wedle autora „prawodawcy twierdzą, że państwo dopuszcza istnienie szwadronów śmierci... W związku z ogromną liczbą egzekucji Senat Republiki domaga się raportu na temat istnienia szwadronów śmierci”<sup>20</sup>). W artykule szczegółowo przedstawiono starania kilku opozycyjnych senatorów, którzy nalegali na to, aby wywiad wewnętrzny (CISEN) opublikował raport zawierający dowody na istnienie paramilitarnych szwadronów śmierci zamieszanych w liczne zabójstwa. Przedstawiciele organizacji społecznych zajmujących się przestrzeganiem praw człowieka w stanach Chihuahua, Sinaloa, Sonora, Tamaulipas, Zacatecas, Nuevo Leon i Baja California przedstawili przypadki śmierci i tajemniczych zniknięć, które nigdy nie trafiły do opinii publicznej: „Ta cisza przeraża. Nie mówi się o tym, co się naprawdę dzieje, a gdyby można było ujawnić te »czarne operacje«, dowiedzielibyśmy się, że nie mamy do czynienia z dwudziestoma ośmioma tysiącami zabitych, jak twierdzą władze, ale z ponad czterdziestoma tysiącami”. Autor twierdził, że dezercerzy z armii i policji – a wielu z nich wyrzucono za korupcję – tworzą wspomniane szwadrony śmierci i „działają w oficjalnych mundurach, jeżdżąc samochodami patrolowymi z bronią, odznakami i kajdankami, tak samo jak przedstawiciele sił państwowych”. Jeden z prawników działających na rzecz praw człowieka w Baja California stwierdził, że szwadrony śmierci zostały nazwane „czarnymi komandami”. „Nie możemy mówić po prostu o grupach zbirów, uzbrojonych bandziorach, *sicarios* i handlu narkotykami – te oskarżenia zakładają pełny udział instytucji państwa”.

20) Ignacio Alvarado, *Ven 'limpia social', no narcoguerra* [„Oczyszczanie społeczeństwa”, a nie wojna z narkotykami], „El Universal”, 18 X 2010.

Wspomniany artykuł nie odbił się żadnym echem w mediach zagranicznych, w Meksyku też nie wywołał właściwie żadnej reakcji. A przecież wszystkie za-

mieszczono w nim rewelacje czyta się jak rozdział z opowieści *El Sicario*.

### **Victor Manuel Oropeza**

3 lipca 1991 roku Victor Manuel Oropeza, doktor stomatologii i felietonista z Juárez, został zasztyletowany w swoim gabinecie. Nigdy nie ustalono sprawców zabójstwa, mimo że dysponowano dowodami sądowymi, a świadkowie mówili o czterech mężczyznach, którzy wieczorem w dniu mordu weszli i wyszli z gabinetu stomatologa. Doktor Oropeza należał do najbardziej znanych osobistości w Juárez, a o jego zabójstwie było w meksykańskich mediach bardzo głośno. Na przestrzeni osiemnastu lat od tego wydarzenia w samych tylko gazetach wychodzących w stanie Chihuahua ukazało się ponad czterysta artykułów na ten temat. Wzmianki o morderstwie pojawiły się też w prasie zagranicznej. Aresztowano kilku podejrzanych, których zatrzymano na parę miesięcy, po czym zwolniono ze względu na wymuszanie przyznania się do winy za pomocą tortur. Późniejsze przesłuchania wykazały, że nie mieli oni żadnego pojęcia na temat okoliczności zbrodni. Niektórzy wysocy funkcjonariusze policji stanowej prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Oropezy, pojawiali się wcześniej w jego tekstach – oskarżał ich o udział w handlu narkotykami w Juárez. Wedle niektórych doniesień prasowych o popełnienie tego morderstwa podejrzewani byli policjanci odpowiedzialni za śledztwo<sup>21</sup>).

21) *Free Press, Free People*, „Globe and Mail” (Kanada), 17 III 1997, s. A10.

W ciągu kolejnych lat, poza kilkoma nieudolnymi dochodzeniami prowadzonymi przez prokuraturę generalną i prokuratora stanowego z Chihuahua, toczyły się też niezależne śledztwa. Zajmowały się nimi meksykańska Narodowa Komisja ds. Praw Człowieka, Interamerykańskie Stowarzyszenie Prasy oraz Organizacja Państw Amerykańskich.

Z opowieści *El Sicario* wywnioskowaliśmy, że był tą sprawą niezwykle zainteresowany. Morderstwo miało miejsce w początkowym okresie jego pracy w policji stanowej w Chihuahua, kiedy należał do zespołu zapewniającego ochronę cynglom. Doskonale wie, że stwierdzenia wysuwane w felietonach Oropezy były prawdziwe. *El Sicario* uznaje dokonane na nim morderstwo za jedną z pierwszych udanych prób uciszenia przez kartele wszystkich ludzi, zwracających uwagę na coraz mocniej utrwalane związki systemowe między organizacjami przestępczymi, policją i organami państwa meksykańskiego. Warto zauważyć, że 2 stycznia 1992 roku na łamach „El Norte de Ciudad Juárez” ukazało się podsumowanie „jednego z najkrwawszych lat w historii Juárez”. W roku, w którym zginął Oropeza, zanotowano w mieście łącznie sto trzydzieści cztery morderstwa<sup>22</sup>).

22) *Termina uno de los años mas violentos en la historia de Juárez; denunciados mas de 22 mil delitos; de 134 asesinatos ocurridos, 40 aclarados* [Kończy się najkrwawszy rok w Juárez; odnotowano ponad 22 000 przestępstw, wyjaśniono 40 spośród 134 morderstw], „Norte de Ciudad Juárez”, 2 I 1992.

El Cora de Sinaloa – człowiek, którego *El Sicario* uznaje za organizatora tego zabójstwa – nie pojawia się w żadnych doniesieniach, do jakich udało mi się dotrzeć, ale trudno się temu dziwić<sup>23</sup>). W meksykańskich gazetach rzadko publikuje się wiadomości, które nie zostały zaakceptowane przez organizacje handlujące narkotykami i przez oficjalne władze. Komitet Ochrony Dziennikarzy regularnie zalicza Meksyk do najbardziej niebezpiecznych państw na całej półkuli zachodniej. Wedle Reporterów bez Granic od 2000 roku zabito co najmniej sześćdziesięciu siedmiu meksykańskich dziennikarzy, a kolejnych jedenastu przypadło bez wieści. Ludzi, którzy grożą dziennikarzom, porywają ich i zabijają, niemal nigdy nie osiąga kara<sup>24</sup>).

23) El Cora był narkotykowym bossem działającym w latach 90. W tej książce *El Sicario* przybliżyła nam nieco jego sylwetkę. O wielu członkach karteli nigdy nie ma żadnej wzmianki w prasie. Być może filmik o *narco-corrido*, *El Sinaloense y El Cora – Los Incomparables de Tijuana* na YouTube dotyczy tego samego człowieka, ale nie ma co do tego absolutnej pewności. W meksykańskiej prasie udało mi się znaleźć jedną wzmiankę o człowieku nazywanym El Cora de Sinaloa, jednak nie wiadomo, czy jest to ta sama osoba, którą znał *El Sicario*; zob. Juan Vellediaz, *Hostil recibimiento en tierra de nadie* [Wrogie przyjęcie na ziemi niczyjej], „El Universal”, 14 XII 2006, [www.eluniversal.com.mx](http://www.eluniversal.com.mx).

24) *Two More Journalists Shot Dead in Continuing Media Bloodshed*, „Reporters Without Borders”, 12 VII 2010, <http://en.rsf.org>.

## **General Rebollo**

W grudniu 1996 roku generał armii meksykańskiej Jesús Gutiérrez Rebollo został mianowany przez prezydenta Ernesta Zedilla głównym oficerem ds. walki z narkotykami, czyli „narkotykowym carem”. Przed nominacją odpowiadał za wojsko w regionie obejmującym Guadalajarę i w opinii amerykańskich urzędników z DEA oraz innych agencji miał czystą kartotekę. Dało się jednak zauważyć, że w przeszłości skupiał większość starań na walce z kartelem narkotykowym z Tijuany, konsekwentnie pomijając Juárez. Podejrzenia pojawiły się w chwili, gdy generał Rebollo wynajął w Mexico City mieszkanie, którego standard okazał się zdecydowanie zbyt wysoki jak na człowieka z pensją wojskowego. W wyniku dochodze-

nia ustalono, że prawdziwym właścicielem mieszkania był Amado Carrillo<sup>25</sup>).

25) Charles Bowden, *Down by the River*, s. 288–291; *Murder, Money, and Mexico: The Rise and Fall of the Salinas Brothers*, film dokumentalny *Frontline*, [www.pbs.org](http://www.pbs.org). Zob. też *Family Tree: General Jesus Gutierrez Rebollo*, Fazio, *Mexico: The Narco General Case*.

W tamtym okresie Rebollo miał dostęp do informatorów, kartotek policyjnych oraz do wszelkich tajnych danych dotyczących walki z narkotykami. Podejrzewa się, że przekazywał te informacje Amadowi Carrillovi. W lutym 1997 roku został aresztowany i oskarżony o łapówkarstwo, przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości, ułatwianie transportu kokainy oraz bezpośrednie wsparcie Amada Carrilla. W związku z zarzutami Stany Zjednoczone znalazły się w kłopotliwej sytuacji, gdyż zaledwie kilka tygodni wcześniej generał został przyjęty w Waszyngtonie przez amerykańskiego szefa służb ds. walki z narkotykami Barry'ego McCaffreya, który wychwalał pod niebiosa jego uczciwość, prawość i profesjonalizm w ściganiu handlarzy narkotyków. Podczas wspomnianej wizyty DEA przekazała generałowi Rebollovi poufne dane wywiadowcze, które najprawdopodobniej zagrażały życiu informatorów w Meksyku. W tym kraju często się zdarza, że wyrok ma się nijak do oficjalnie postawionych zarzutów, więc mogło tak być i w przypadku generała Rebollo. DEA donosiła w 1998 roku, że został uznany za winnego i skazany na trzynaście lat i dziewięć miesięcy więzienia za nielegalne użycie broni palnej<sup>26</sup>). Rebollo był pierwowzorem postaci generała Salazara występującej w nagrodzonym Oscarem filmie *Traffic* (2001)<sup>27</sup>).

26) Susan E. Reed, *Certifiable: Mexico's Corruption, Washington's Indifference*, „The New Republic”, 1997, przedruk na [www.pbs.org](http://www.pbs.org); zeznanie DEA przed Kongresem, oświadczenie Donnie Marshall, Urząd ds. Walki z Narkotykami, Departament Sprawiedliwości USA, przed Komitetem ds. Reform i Nadzoru Spraw Wewnętrznych, sprawa dotycząca międzynarodowej kontroli obrotu narkotykami, 18 III 1998, [www.justice.gov](http://www.justice.gov).

27) Zob. Internet Movie Database, *Traffic*.

*El Sicario* wykorzystuje przykład generała Rebollo, jako ilustrację wieloletnich, utrwalonych związków między meksykańskimi organizacjami przestępczymi zajmującymi się handlem narkotykami i wojskiem, choć wierzy, że ten przypadek był jednak w tamtych latach czymś wyjątkowym. W czasie swojej pracy dla kartelu odnotował zmianę obyczajową, jaka zaszła na imprezach dla wysokich urzędników – oficerowie wojska zaczęli regularnie bywać na wiejskich fiestach w Chihuahua, podczas których *El Sicario* zapewniał towarzystwo kobiet i inne rozrywki. Szacuje, że ta zmiana nastąpiła mniej więcej w 2003 roku.

## José Luis Santiago Vasconcelos i Juan Camilo Mouriño

*El Sicario* kilkakrotnie podkreśla znaczenie pracy wykonanej przez *señora* José Luisa Santiago Vasconcelosa na stanowisku asystenta prokuratora w biurze federalnego prokuratora generalnego w Meksyku. Uważa, że Vasconcelos odegrał główną rolę w ujawnianiu miejsc tajnych pochówków i przeprowadził wiele innych akcji, które uderzyły w organizacje zajmujące się handlem narkotykami. Kres jego działalności położyła tragiczna śmierć w katastrofie lotniczej w Mexico City 4 listopada 2008 roku. W nekrologu zamieszczonym w „The Guardian” napisano, że „stał twarzą w twarz z najbardziej osławionymi meksykańskimi baronami narkotykowymi”. Vasconcelos doprowadził do ekstradycji kilku ważnych członków karteli do USA i narobił sobie wielu wrogów wśród meksykańskich polityków, nadzorując śledztwa w sprawie prania brudnych pieniędzy. Wielokrotnie grożono mu śmiercią, ale „zachował opinię człowieka będącego ponad korupcją”<sup>28</sup>). We wspomnianej katastrofie zginął też wpływowy minister *gobernación*, spraw wewnętrznych, Juan Camilo Mouriño. Tuż przed śmiercią Vasconcelos został przeniesiony na mniej eksponowane stanowisko, oddalone od pierwszej linii frontu wojny z narkotykami. Rząd Calderóna zaprzeczył, aby śmierć tych dwóch ludzi miała jakikolwiek związek z ich stanowiskami i walką z przestępczością zorganizowaną, jednak większość Meksykanów, w tym *El Sicario*, wierzy, że zarówno Mouriño jak i Vasconcelos zostali zamordowani za to, że rzucili wyzwanie potężnym handlarzom narkotyków.

28) Adam Thomson, *Mexico Crime Fighters Die in Air Crash*, „Financial Times”, 5 XII 2008. Zob. też nekrologi: Jo Tuckman, *Obituary: José Luis Santiago Vasconcelos: Mexican Anti-Drugs Prosecutor Whose Life Was Often Threatened*, „The Guardian”, 17 XI 2008, s. 34; Juan Camilo Mouriño, „The Times” (Londyn), 24 XI 2008, s. 52.

*El Sicario* nigdy nie poznał Vasconcelosa, jednak przyznaje, że zastanawiał się, czy nie zwrócić się do niego o pomoc, gdy próbował zerwać z życiem zabójcy pracującego dla kartelu. Początek i koniec kariery *El Sicario* wyznaczają spotkania z dwiema postaciami, które w jego oczach starały się uczciwie przedstawiać zbrodnie meksykańskiego aparatu państwowego: walczącym w imię idei dziennikarzem Oropezą i Vasconcelosem – urzędnikiem, który wytrwale tropił zbrodnie. Swoją własną historię wzbogaca lekcją pogładową z ich udziałem.

Tuż po północy 31 stycznia 2010 roku grupa uzbrojonych i zakapturzonych mężczyzn zajęła kilka furgonetkami do dzielnicy Villas del Salvárcar w Juárez, zablokowała ulicę i zaczęła strzelać do kilkudziesięciu osób z pistoletów maszynowych. Większość ofiar stanowiła młodzież bawiąca się na imprezie w jednym



z domków. W wyniku napaści zginęło szesnaście osób. Przedstawiciele władz, w tym prezydent Calderón, natychmiast oskarżyli zabitych o to, że byli gangsterami zastrzelonymi przez członków konkurencyjnej grupy. Przeciw takim stwierdzeniom zaprotestowały matki ofiar, które – jak się okazało – były w większości znakomitymi studentami lub sportowcami. Kilka dni później aresztowano mężczyzn, których rozpoznano jako członków La Linea – grupy „żołnierzy” kartelu z Juárez. Przyznali się do udziału w masakrze, ale najprawdopodobniej doszło do jakiejś pomyłki i zaatakowali niewłaściwy cel. Władze jak zwykle twierdziły, że prowadzą dochodzenie, ale podejrzani, którzy przyznali się przed kamerami do udziału w zbrodni wyglądali, jakby ich przed chwilą mocno pobito. Gdy poprosiliśmy *El Sicario* o komentarz, powiedział:

– Zawsze podkrecają atmosferę i wykorzystują zamieszanie, bo w mętnej wodzie łatwiej złowić rybę. Nie wiedzą, gdzie jest Numer 10 [człowiek, który miał zlecić operację], więc co im pozostaje? Tym razem ciśnienie było ogromne, ponieważ zginęło wielu niewinnych ludzi. Nie ma już szacunku dla nikogo. Nikt niczego nie kontroluje. Z każdym dniem jest coraz gorzej. Koniec końców szefowie policji wciąż zgarniają pieniądze od każdego, kto się nawinie, nie zwracając uwagi na to, jakie szkody przy tym czynią. Ci, których aresztowano, to były jakieś płotki, kompletni amatorzy, którzy nie korzystają z profesjonalnych technik. Coś tam po prostu udają. Mam nadzieję, że szybko dopadną prawdziwych zabójców, zanim poczynią jeszcze większe szkody.

*El Sicario* jest przekonany, że pomimo eskalacji przemocy i gwałtownego wzrostu liczby zabójstw, jaki miał miejsce po jego ucieczce na drugą stronę granicy, biznes narkotykowy wciąż ma się doskonale. Mówi, że zna kogoś postawionego na szczytach hierarchii w organizacji Carrilla Fuentes. Człowiek ten jest teraz odpowiedzialny za dostawy narkotyków przez granicę do Stanów Zjednoczonych. Gdy *El Sicario* przegląda zdjęcia lotnicze w Google Earth, potrafi rozpoznać narkotykowe *bodegas*, magazyny po obu stronach granicy i widzi, że ogromne ciężarówki wciąż krążą między nimi tam i z powrotem. To, że w ostatnich trzech latach na ulicach zabito tysiące osób, dla organizacji handlujących narkotykami nie ma żadnego znaczenia, ponieważ ci ludzie nie przynosili im żadnych pieniędzy. *El Sicario* uważa, że nieokiełznana przemoc to zasłona dymna dla prawdziwych interesów, a zyski są dziś większe niż kiedykolwiek wcześniej.

W październiku 2010 roku w Internecie pojawił się cykl nagrań wideo z udziałem brata byłego prokuratora generalnego z Chihuahua. Stwierdził w nich, że zarówno on, jak i jego siostra byli ważnymi postaciami w kartelu z Juárez i że wspomniana siostra w ostatnich latach zleciła lub ułatwiła wiele głośnych zabójstw policjantów, dziennikarzy, polityków i działaczy społecznych w Chihuahua. Na filmie mężczyzna siedzi w kajdankach, a wokół niego stoją ludzie w czarnych maskach i mundurach khaki, mierząc z broni automatycznej w jego głowę i korpus.

Oburzona siostra przekonywała, że zarówno porwanie, jak i nagrania to sprawka funkcjonariuszy policji stanowej, których wyrzuciła z pracy za korupcję. Utrzymała też, że film został najprawdopodobniej nagrany w komendzie policji stanowej w Juárez, bo poznała wnętrza po kolorze ścian, które zostały odmalowane w trakcie zleconego przez nią remontu budynku. Kilka dni później na wpół zwęglone zwłoki jej brata zostały znalezione na jednej z farm na prowincji. Rodzina postanowiła poczekać z odebraniem ciała, dopóki badania DNA nie potwierdzą jego tożsamości<sup>29</sup>).

29) William Booth i Nick Miroff, *Mexican Drug Cartel Forces Lawyer's Video Confessions*, „Washington Post”, 30 X 2010; Tracy Wilkinson, *Kidnapped Chihuahua Attorney Found Dead*, „Los Angeles Times”, 6 XI 2010.

Mój przyjaciel, który pracuje w jednej z redakcji w Juárez, napisał: „Są takie dni, kiedy nie umiem poradzić sobie z niepokojem, bo czuję, że znowu się coś wydarzy – coś bardzo, bardzo złego... Wtedy, uwierz mi, modłę się, prosząc Boga, żeby wziął pod swoją opiekę moją rodzinę i wszystkich, których kocham. A potem... Pojawia się to nagranie... Czy może być lepszy dowód na totalny rozpad całego systemu politycznego w Meksyku?”.

Miesiąc później w okolicach przygranicznego miasteczka Palomas w stanie Chihuahua odkryto w ziemi zwłoki kolejnych dwudziestu osób, w tym przynajmniej trzech kobiet i jednego mężczyzny z amerykańskimi dokumentami. Ciała przewieziono do prosektorium w Juárez, a władze poprosiły o pomoc w identyfikacji te rodziny, które zgłaszały zaginięcie krewnych. Ofiar nie można było ująć w statystykach dotyczących konkretnych miesięcy, ponieważ nie udało się stwierdzić, kiedy zakopano zwłoki. W prosektorium w Juárez pojawili się członkowie pewnej rodziny z Nowego Meksyku, by zidentyfikować zaginionego krewnego. Po wyjściu z kostnicy stwierdzili, że w zaginięcie była zamieszana armia meksykańska, ponieważ dzięki sygnałowi GPS zlokalizowano jego telefon w kwaterze wojskowej w pobliżu Palomas<sup>30</sup>).

30) *Soldados Metidos en un Broncón* [Żołnierze w poważnych opałach], „La Polaka”, 2 XII 2010, **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze..**

Rzadko trafia się na człowieka, który potrafi opowiedzieć sensowną i prawdziwą historię z życia wziętą. Jeszcze rzadziej spotyka się kogoś, kto żył w świecie narkotyków, doskonale posługuje się słowem i przejawia jasność umysłu, która ułatwia opowiedzenie tej historii. Większość ludzi żyjących w tym systemie nigdy o nim nie opowiada. Będąc w środku, nie można o nim opowiadać i przeżyć. A ci nieliczni, którzy z niego wyszli, mają znacznie większą szansę na przetrwanie, jeśli milczą.

Charles Bowden dowiedział się o *El Sicario* z zaufanego źródła – od czło-

wieka, który zapewnił mu schronienie po jego ucieczce z kartelu. Kolejne poufne źródło to człowiek, który pracował i w policji, i dla kartelu, więc znał przeszłość naszego rozmówcy i ręczył za prawdziwość jego doświadczeń. *El Sicario* nie opowiada swojej historii, by zdobyć sławę – domaga się, by nigdy nie ujawniać jego twarzy, głosu ani nazwiska. W jego słowach nie ma przesady czy przechwałek. Nigdy nie mówi, że wie więcej, niż rzeczywiście przeżył. Gdy opowiada o rzeczach, o których jedynie słyszał lub gdy snuje przypuszczenia, zawsze czyni w tej kwestii wyraźne zastrzeżenia. Nigdy nie postawiono mu zarzutów w sprawie jakiegokolwiek zbrodni, więc nie ma potrzeby targowania się z wymiarem sprawiedliwości. Dlatego właśnie wierzymy w jego odpowiedź na nasze pytanie o to, dlaczego zdecydował się opowiedzieć swoją historię. Wyjaśnia, że kieruje nim poczucie obowiązku płynące z nawrócenia na chrześcijaństwo. Wierzy, że Bóg dał mu nowe życie, które musi wykorzystać, aby powiedzieć innym ludziom uwikłanym w świat narkotyków, że zbawienie jest możliwe. Chce odpokutować za część swoich czynów, wyjaśniając, jak naprawdę funkcjonuje meksykański system.

W jednej z niedawnych rozmów *El Sicario* wyznał nam:

– Długo biłem się z myślami, zanim zacząłem rozmawiać z Chuckiem [Bowdenem], a teraz stał się on moim współnikiem. Zapytałem Boga: „Dlaczego miałbym mu zaufać?”. Potrzebowałem wprowadzić kogoś w swój świat, żeby osiągnąć spokój. Poprosiłem Boga o znak, a On mi go przekazał, więc postanowiłem, że opowiem Chuckowi o tym, co uczyniłem. Z początku mu nie ufałem, ale wiedziałem, gdzie mieszka, więc gdyby cokolwiek złego przytrafiło się mojej rodzinie, mógłbym go odnaleźć. Później było mi ciężko, kiedy uświadomiłem sobie, że muszę zaufać jeszcze jednej osobie – tłumaczce, ale skoro miałem przedstawić moją opowieść w odpowiedni sposób, potrzebowałem także Molly. Porozmawiałem z duchownym mojego Kościoła, ale chrześcijanie wiedzą, że Bóg może zbawić *El Sicario*. Chcę, żeby wiedzieli to też wszyscy ludzie na świecie, a zwłaszcza inni grzesznicy.

Podczas tego samego spotkania *El Sicario* wyznał nam, że możliwość opowiedzenia o swoim życiu przyniosła mu ulgę.

– O tych rzeczach nie mogę porozmawiać z żoną.

Zaangażował nas w swoje życie i oplótł swoimi opowieściami. Znalazł sposób, by podzielić się z kimś swoim ciężarem, nie zмагаć się samotnie z własną przeszłością. Dzięki nam zmył z siebie nieco brudu<sup>31)</sup>. Pomijając motywację, czynnikiem otwierającym *El Sicario* drogę do nowego świata stała się jego umiejętność opowiadania i elokwencja.

31) *El Sicario* użył hiszpańskiego słowa, którego nigdy wcześniej nie słyszałam: *embarrar*. Oznacza ono: zamazywać błotem, gliną lub gipsem. Można go użyć w znaczeniu „obrzucać błotem”, ale może też oznaczać wciąganie człowieka

w coś, zaangażowanie w romans lub komplikowanie sytuacji. Słowo to może też opisywać zachowanie ptaków, które gromadzą się wśród gałęzi drzew, by ukryć się przed prześladowcą.

– Możesz zapytać: „Dlaczego miałbym wierzyć w to, że zbawienie w Bogu może być dane komuś, kto popełnił takie zbrodnie?”. Odpowiem tak: „To jest jego przekonanie, które potrafi jasno i składnie uzasadnić. Wierzy, że został ocalony dzięki boskiej łasce, a przeżył, ponieważ Bóg wyznaczył mu cel, jakim jest odwołanie innych od takiego życia”. – *El Sicario* ma za co pokutować i dopiero uczy się życia w duchu chrześcijaństwa. Zaczyna od niczego i kończy z pustymi rękami. Wierzy, że jedynym źródłem przebaczenia jest łaska i potęga Boga. Wprawdzie wie, że Bóg ma moc przebaczenia, ale nie jest pewien, że dostąpi tej łaski, ponieważ popełnił tak wiele straszliwych grzechów.

Pewnego razu *El Sicario* zabrał Gianfranca Rosiego i mnie na mszę dla młodzieży w ogromnym kościele w pobliżu granicy. Świątynia znajduje się na obrzeżach miasta i zajmuje dawny magazyn, w którym ładowano i rozładowywano ogromne ciężarówki wożące towar w ramach wolnego handlu. Na metalowym suficie widać setki obracających się wentylatorów, które lekko schładzają powietrze. Do obszernego, pozbawionego okien pomieszczenia wstawiono kilka tysięcy składanych krzeseł. Jest letnie popołudnie. Na parking zajeżdżają tysiące samochodów z Teksasu, Nowego Meksyku, Arizony, Kalifornii, Nevady, Michigan, Tennessee, Karoliny Południowej, a także Chihuahua, Sonory i innych stanów meksykańskich.

W kościele odbywa się wielki festiwal młodzieży. *El Sicario* zajmuje się obsługą oświetlenia i nagłośnienia podczas chrześcijańskiego koncertu rockowego. Jasne słońce bezlitośnie praży wielką betonową konstrukcję przykrytą falistą blachą, ale w środku panuje niemal zupełna ciemność. Nagle rozbrzmiewają pierwsze akordy w wykonaniu rockowego zespołu i wewnątrz wybucha kolorami i dźwiękami. *El Sicario* podnosi ręce do modlitwy, śpiewając słowa wyświetlane na gigantycznym ekranie nad sceną. Chciał, żeby Gianfranco sfilmował go podczas pracy na rzecz kościoła, która ma się przyczynić do jego zbawienia.

Wierzę w jego nawrócenie i szczerą wiarę chrześcijańską z innego bardzo ważnego powodu: bycie chrześcijaninem to jego gwarancja. Wiara zabrania mu zabijania, choć ci, którzy go szukają, zabijają go na miejscu, nie zawahają się przed porwaniem jego rodziny, by go dopaść. Wiara skłania go do opowiedzenia tej historii i ocalenia w ten sposób życia innych, a to oznacza o wiele większe ryzyko, niż gdyby zachowywał milczenie. Wiara skłania go do podejmowania próby pokuty za grzechy, choćby do pracy w tym kościele. Gdy go obserwowałam podczas koncertu, uzmysłowiłam sobie, że spędza tam dużo czasu i ma wielu przyjaciół. A każdy człowiek, którego zna, i każda godzina spędzona na jakimkolwiek wielkim zgromadzeniu czy w miejscu publicznym naraża go na niebezpieczeństwo. Każde sło-

wo wypowiedziane do nas w pokoju 164 i każdy wyraz zapisany na tych stronach oznacza dla niego jeszcze większe ryzyko.

Podczas dwóch lat pracy nad tym projektem *El Sicario* musiał w pewnym stopniu ograniczyć swoją działalność publiczną, w tym chodzenie do kościoła. W miarę eskalacji przemocy w Juárez coraz więcej osób przeprowadza się na drugą stronę granicy. Są wśród nich ludzie powiązani z organizacjami przestępczymi. Rozpoznanie go przez kogoś z tamtej strony to tylko kwestia czasu, a każde pojawienie się w miejscu publicznym to narażenie zarówno jego, jak i całej rodziny na jeszcze większe ryzyko. Ze względu na swoje dawne zajęcia wie, że wystarczy jeden błąd, by zamienić się z porywacza w porwanego. *El Sicario* musi się ukrywać przed przestępcami ze świata, w którym sam kiedyś żył, czyli przed takimi samymi ludźmi jak on, a jego życie po drugiej stronie musi pozostać niezauważone dla jakichkolwiek organów władzy, gdyż w przeciwnym razie czeka go deportacja i pewna śmierć.

Tego samego wieczoru jedziemy do tymczasowego domu *El Sicario*. Gdy wysiadamy z samochodu, mój przewodnik i nasz gospodarz nie mogą się powstrzymać od malutkiej przyjemności – odrobiny czarnego humoru, która przywołuje mi na myśl inne domy, pojawiające się w opowieści o życiu *El Sicario*: „Hej, Molly! A teraz cię porwiemy!”. Ja zaczynam jęczeć, oni wybuchają śmiechem – istne braterstwo świętych głupców.

*El Sicario* nosi w swoim mózgu dokładną mapę bezpiecznych kryjówek i meksykańskich katowni, w których przetrzymywał, torturował, zabijał i grzebał ludzi. Zdarzało się, że porywał ofiary po amerykańskiej stronie granicy, a następnie dostarczał do Juárez, gdzie czekała je śmierć.

Wchodzimy do domu i poznajemy rodzinę *El Sicario*. Ktoś przynosi mi szklanekę z kranówką, potem przez kilka minut bawię na rękach niemowlaka. Niemowlę to kolejna postać dramatu w pokoju motelowym, w którym *El Sicario* opowiadał swoją historię: wszystko zostało zaplanowane tak, by mógł w kilka minut stawić się w razie potrzeby u boku ciężarnej żony.

Pewnego razu popadł w rozpacz, bo dziecko mogło przyjść na świat lada moment, a w szpitalu zażądali specjalnego fotelika dla noworodka – w przeciwnym razie nie mógłby zawieźć go do domu swoim samochodem. Nie miał wtedy pieniędzy, więc wystarałam się o fotelik z hipermarketu i dostarczyłam mu następnego dnia. Później zobaczyłam zdjęcie dziecka i fotografię przedstawiającą szarą autostradę, ciemne chmury i niewyraźny łuk tęczy. *El Sicario* napisał wtedy:

*Dzieci są spuścizną Pana.*

*Owoce łona są naszą nagrodą.*

Na zakończenie każdego spotkania, czy to w motelu, czy w samochodzie krążącym po mieście, odmawiamy modlitwę. Tego wieczoru, już po dziesiątej, tworzymy koło w opustoszałym pokoju, w którym stoi tylko komputer, połamany stół i pusta lodówka. Matka tuli dziecko. Obejmuję ją prawym ramieniem, drugim mężczyzną po lewej stronie, a wtedy kolejny, stojący za nim, unosi potężne ramiona nad naszą grupką i intonuje modlitwę. Maleństwo nieco się wierci i popłakuje, więc gładzę je po kędzierzawej główce.

Człowiek, który tego wieczoru jest moim przewodnikiem, to mentor *El Sicilia* – jeden z tych, którzy stanowili dla niego oparcie na początku jego drogi do chrześcijaństwa. To człowiek, któremu ufam i powierzyłabym życie w jego ręce. Odwozi mnie do mojego samochodu, ostrożnie i powoli sunąc przez całe miasto. Choć zazwyczaj jest wesoły, dziś wydaje się smutniejszy i cichszy niż kiedykolwiek. Rozmawiamy o dwóch miastach i dwóch krajach, o życiu tych ludzi i ich ustawicznej walce na pierwszej linii frontu. Gdy docieramy do mojego samochodu, którym ruszę w drogę do domu, w głowie pojawia mi się myśl, żeby go poprosić o modlitwę za nas wszystkich. Wiem jednak, że i bez tego ją odmówi.

## Jarzmo

*Głowę spowitą ma w czarny woal. Nie jest mocno zbudowany, ale wydaje się, że jego ciało wypełnia cały pokój. Gdy zaczyna mówić, podnosi dłonie ku obiektywowi kamery i nie widać już niczego poza nimi. Mówi:*

Chcę wam opowiedzieć o  
dwudziestu latach mojego życia  
dwudziestu latach mojego życia,  
kiedy służyłem handlowi narkotyków,  
służyłem kartelowi,  
służyłem szefowi,  
tymi dłońmi.

Służyłem im, torturując,  
służyłem im, zabijając wielu ludzi,  
tymi rękami.

Chcę o tym opowiedzieć ludziom, którzy wciąż należą do grup *sicarios*  
którzy wciąż są z kartelem,  
którzy żyją *en el chaca*<sup>32)</sup>

32) Gdy później poprosiłam go o wyjaśnienie terminu *el chaca*, napisał tak:  
EL SIGNIFICADO DE ESTA PALABRA EN EL AMBITO DE GRUPOS DE  
CARTELES SE LES DENOMINA CHACAS O CHACALOSOS A LOS  
JEFES

PATRONES

QUIEN MANDA

QUIEN ORDENA

EL QUE ESTA A CARGO

(W świecie karteli słowa *el chaca* lub *los chacalosos* opisują  
szefów,

patrones,

*tych, którzy dowodzą,*

*tych, którzy wydają rozkazy,*

*tych, którzy kierują).*

wśród narkotyków

W świecie karteli

*El chaca* to szef

*Patron,*

Ten, który dowodzi, który wydaje rozkazy.

Żyć *en el chaca*

to znaczy być człowiekiem,  
który strzeże szefa dwadzieścia cztery godziny na dobę  
i ma tylko jeden wolny dzień w tygodniu.  
Skoro strażnik wie wszystko o szefie  
i wie też to, co wie szef,  
on także musi być pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę.  
Tak wygląda życie w świecie karteli.  
Ale chcę wam też powiedzieć,  
że możecie żyć w szczęściu,  
że możecie zrzucić jarzmo, które jest dla was ciężarem,  
kiedy należycie do kartelu...



## Paczka

Drzwi się otwierają, potem zamykają.

Pamiętam wyraźnie, że zamknąłem okna i zasunąłem zasłony.

Dobrze, w porządku, pomyślałem, nie będzie za jasno. A tyle światła wystarczy.

– Hej – zawołałem kumpli. – Wchodźcie. Dawajcie go tu. Jest czysto.

Weszli. Zamknęliśmy drzwi na klucz. Chłopcy kopali go po całym pokoju niczym piłkę.

– Cisza. Uspokójcie się. Zgaś światło.

Zgasilem.

– Dobra! Słuchaj. Klęknij tu. Na kolana! I słuchaj!

Gdy w końcu ukląkł, zacząłem mówić.

– Nie zrobimy ci krzywdy. Założymy ci tylko kajdanki. Zakneblujemy cię i zawiążemy ci oczy. To dla twojego i naszego dobra. Daj ręce do tyłu.

Przełożył ręce za plecy, a ja założyłem mu kajdanki.

– Mamy rozkaz, żeby ci nie zrobić krzywdy. Ty musisz zrobić tylko jedno. Chcemy, żebyś zwrócił pieniądze, które wydałeś. Pieniądze, które nie były twoje. Oddasz je, obojętne jak. Teraz będziemy czekali na rozkazy. A ty zrobisz wszystko, cokolwiek ci każemy.

– Jasne? Teraz wstań.

Nie mógł się podnieść, więc postawiliśmy go na nogi. Zaprowadziliśmy go do łazienki i odkręciliśmy wodę. Może pomyślał, że zapewnimy mu nieco komfortu, ale się mylił. Wsadziliśmy go do wanny.

– Tu będziesz siedział. Jeżeli usłyszysz hałas, jeśli choćby piśniesz, będziesz miał duże kłopoty. A wiesz, co to znaczy, gdy mówimy, że będą kłopoty... Chcemy, żebyś zachowywał się spokojnie. Będziemy czekali na rozkazy. Zrozumiałeś?

Pokiwał tylko głową. Nie mógł mówić. Zamknęliśmy drzwi.

Powiedziałem do chłopaków:

– Dobra, włączcie telewizor. Posłuchamy muzyki. Dajcie głośno, to nikt nie usłyszy, nawet jak zacznie hałasować.

– Przynieście piwo. Weźcie fajki i *el perlico*, kokainę. Spokojnie, na razie wszystko w porządku.

Pamiętam, że chłopcy wyszli i wrócili z piwem.

Dziesięć czy piętnaście minut później zadzwonił telefon.

– Tak, proszę pana, jakie są pańskie rozkazy? Czy wszystko w porządku? Tak, proszę pana, wszystko dobrze. Mamy go, jest bezpieczny. Co trzeba z nim zrobić? Tak, proszę pana. Dobrze. Zadzwoni.

Przynieśli więc „czysty” telefon. On będzie dzwonił. Poszliśmy do łazienki i wyciągnęliśmy go z wanny.

– Hej! Wstawaj! Wstawaj!

Przyprowadziliśmy go tutaj i posadziliśmy na łóżku.

– Zatelefonujesz do rodziny i powiesz, że wszystko w porządku. Powiesz im, że ktoś do nich zadzwoni i przekaże instrukcje, dokąd mają przynieść pieniądze. A co najważniejsze, powiesz im, że mają uważać, bo jeśli nie, będą kłopoty. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i dostarczą to, co mają dostarczyć, nic ci się nie stanie. Porozmawiaj z nimi i powiedz, że u ciebie wszystko w porządku.

– Jasne? Zrozumiałeś? Teraz pozwolę ci rozmawiać.

Skulem mu ręce z przodu, wybrałem numer i przekazałem telefon.

Zamiast mówić, zaczął się śmiać.

Rozłączyłem go.

– Wiecie co, on chyba nie łapie – mówię do pozostałych. Nie chce zrozumieć. Patrzcie, jak się śmieje.

Oni na to:

– Serio?

Spytałem go:

– Więc tego chcesz?

Potem odkręciłem wodę. Wypełniliśmy wannę mniej więcej do połowy i zafundowaliśmy mu małą terapię.

– Chodź no tu. Będziesz mówił?

Podtopiliśmy go.

– Ych... Brrr...

– Będziesz mówił?

Po trzech sesjach pod wodą postanowił w końcu porozmawiać. Usiadł, a ja wybrałem numer. Zrobił, co mu kazaliśmy. W porządku. Potem wrócił do wanny, a my zakręciliśmy wodę. Powiedzieliśmy, że ma nie hałasować i zamknęliśmy drzwi.

W oczekiwaniu na kolejne instrukcje przesiedzieliśmy tam cały następny dzień, popijając od czasu do czasu... Czasami trzeba było skorzystać z łazienki, ale zawsze bardzo uważaliśmy, zachowywaliśmy się cicho i nie robiliśmy żadnego hałasu. Pilnowaliśmy, żeby drzwi były zamknięte, bo z łazienki dochodził najcichszy nawet szmer. Musieliśmy być bardzo uważni, bardzo ostrożni. Następnego dnia, gdy pojawiła się pokojówka, żeby posprzątać pokój, wyszliśmy do niej i po prostu daliśmy napiwek.

– Nie martw się. Sami posprzątam pokój. Niczego nam nie trzeba.

Kolejnego ranka już wiedzieliśmy, że musimy wzbudzić w facecie zaufanie i sprawić, żeby poczuł się pewniej. Niech nam choć troszkę zaufa. Weszliśmy więc do łazienki.

– No cześć, dzień dobry. Jak się czujesz? W porządku? No dobra. Jakie jajka lubisz? Wiesz, przynieśliśmy tylko jajka na twardo. Masz. Wstawaj. Zjedz coś.

Przełożyliśmy mu ręce do przodu, daliśmy jajko i szklankę wody. Wprowadziłem go do pokoju – nieco utykał po tym, jak go potraktowaliśmy. Posiedziałem z nim parę minut przed lustrem. Był skuty kajdankami.

*Wzdycha, a jego głos łagodnieje.*

Zapytał mnie:

– Dostarczyli pieniądze?

– Chyba tak.

– Wszystko w porządku? Wypuście mnie?

– Tak, tak, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wypuścimy cię. Źle zrobiłeś, wydając pieniądze, które do ciebie nie należały. Popełniłeś błąd, próbując oszukać szefa. Wiesz, że nikt, absolutnie nikt nie może przechytryć szefa.

– Ale zapłacę. Zapłacę.

– No wiesz, właściwie to twoja rodzina zapłaci. To bardziej odpowiada prawdzie. Oczywiście mam nadzieję, że nie pójdą na policję. Pamiętaj, pamiętaj – wiesz, że szef wie wszystko. Wszystko. Jeśli pójdą na policję, będziesz miał bardzo duże kłopoty.

– Nie, nie, oni nikomu nic nie powiedzą. Wiedzą, co się ze mną stanie, jeśli tak zrobią.

– No dobra, chcesz się na chwilę położyć?

– Tak, jeśli mi pozwolicie.

Zaprowadziłem go do łóżka, przespał się na nim ze dwie czy trzy godziny. Leżał na skraju materaca. A my kontynuowaliśmy naszą małą *pachanga*, imprezę, popijając wódkę z colą. Gdy się obudził, trochę nas przestraszył, bo gwałtownie podskoczył i narobił hałasu. Musieliśmy mu parę razy przyłożyć.

– Kto ci kazał wstawać? Teraz leż spokojnie i zamknij dziób, bo jak nie, to będziemy musieli cię znowu wsadzić do łazienki!

– Nie, nie, nie!

Znowu go zakneblowaliśmy. Gdy to robiliśmy, zadzwonił telefon.

Chłopak, który odebrał telefon, powiedział do mnie:

– Słuchaj, oni chcą gadać z tobą – wręczył mi telefon.

– Tak, co się stało? Jakie są rozkazy, proszę pana? Jak nam idzie? Tak, tak, rozumiem. Wszystko w porządku. Nie, nie, nie. Lepiej mu. Czuje się dobrze. Proszę się nie martwić. Dobrze.

Kazałem chłopakom przynieść telefon. I znowu z nim rozmawiałem.

– Słuchaj, twoja rodzina próbuje coś kręcić. Dostarczyli tylko połowę pieniędzy. Musisz nam dać całość kasy. Wiemy, że na twoich rachunkach bankowych nie ma już ani grosza, ale wiemy też, że masz nieruchomości – jakieś rancza, ziemię

i kilka domów. Musimy zadzwonić, a ty załatwisz przekazanie tego majątku w ręce innej osoby, agenta nieruchomości, który je sprzeda, podczas gdy ty będziesz tutaj. Kiedy pieniądze zostaną dostarczone, my cię wypuścimy.

– Ale nic mi nie zrobicie?

– Posłuchaj, po prostu oddaj wszystkie pieniądze. Rozumiesz? My nie żartujemy.

Potem go pobiliśmy.

– Posłuchaj! Dlaczego twoja rodzina nie oddała wszystkich pieniędzy, skoro miałeś je w banku?

– Nie, nie, ja nie mam tych pieniędzy. Wydałem je...

– Skopcie go porządnie. Zlejcie go... Nie, nie, spokojnie. Niech dojdzie do siebie. Posłuchaj, pozwolę ci leżeć na łóżku. Zaufaj mi.

– Och, dziękuję, dziękuję. Jesteś dobrym człowiekiem. Kiedy stąd wyjdę, dam ci samochód. Zachowujesz się wobec mnie naprawdę uprzejmie.

– Chodź tu. Połóż się, rozciągnij wygodnie. Może piwo?

– Uhm.

– Ha! Zwariowałeś? Myślisz, że dam ci piwo? Dam ci szklanę wody. Hej, chcesz szklanę wody?

– Tak.

– Dostaniesz tylko wodę, nic więcej. Chcesz jeszcze jedno jajko?

– Tak.

– To wszystko, co dostaniesz do jedzenia.

– Dobra, teraz się połóż. Jeśli chcesz wstać, musisz nam dać sygnał. Zrobisz to tak, cicho i spokojnie: „Proszę pana, czy mogę wstać?”. Pytasz, a potem czekasz na mój rozkaz, na moje pozwolenie. Jeśli nadal będziesz hałasował i wstawał tak gwałtownie, to chłopcy wsadzą cię z powrotem do wody!

– Tak, proszę pana.

– W porządku.

Jakoś przetrwał ten dzień.

Nocą:

– Wstań, proszę. Będziesz mógł się znowu położyć w swoim łóżku. Zostań tu. Nie hałasuj. Nie zadzwonili, wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Będziemy jeszcze czekać.

Inni chłopcy zaczęli się niecierpliwic:

– Co się dzieje?

– Nic, nie zadzwonili.

– Dlaczego się nie dowiesz? Będziemy musieli płacić za kolejną dobę w tym hotelu, czy co?

– Dobra, daj telefon. Zadzwonię.

– Proszę pana, co mamy robić? Jakie są rozkazy? Dobrze, czekamy kolejny

dzień.

Następnego dnia wciąż tu siedzieliśmy. Pamiętam jak dziś – było bardzo wczesnie, koło siódmej czterdzieści pięć rano. Parę minut przed ósmą. Zadzwoił telefon, na wyświetlaczu pojawił się numer szefa.

– Tak, jakie są rozkazy? Tak, proszę pana. Wszystko w porządku. Jest tutaj, czuje się dobrze. Nie, nie, nie. Wszystko idzie jak trzeba. Gdzie go dostarczyć? Natychmiast. Tak, proszę pana. Za chwileczkę. Jesteśmy blisko mostu. Bardzo blisko. Dobrze.

Wyjaśniłem więc pozostałym chłopakom:

– Wypuścimy go. Pozwolimy mu wziąć kąpiel, przebrać się i doprowadzić do porządku. Musimy go dostarczyć na drugi brzeg. Musimy go tam dowieźć.

Do niego natomiast powiedziałem:

– Teraz wszystko jest w porządku. Przygotuj się. Zdejmę ci kajdanki. Jaki numer butów nosisz? Dziewiątkę? W porządku.

Rzuciłem do chłopaków:

– No to załatwcie mu spodnie i nową bluzę. Przynieście maszynkę do golenia. I tenisówki numer dziewięć. Pamiętajcie o tej maszynce.

– Teraz cię wypuścimy. Chcemy, żebyś dobrze wyglądał i dobrze się czuł. Weź prysznic i się ogarnij.

Przynieśli spodnie, buty w rozmiarze dziewięć i maszynkę. Facet szybciotko się wykąpał, ogolił, ubrał i doprowadził do porządku.

Był naprawdę szczęśliwy. Nie wyglądał źle, żadnej opuchlizny. Ten numer z wodą to była pestka. I nie oberwał zbyt dotkliwie.

– Chodźmy.

Co z nim zrobiliśmy? Wsadziliśmy go na tylne siedzenie w samochodzie. Ja usiadłem po jego prawej, on siedział w środku, po lewej miał kolejnego chłopaka, a z przodu kierowcę. Potem przejechaliśmy przez most i przekazaliśmy go w ręce naszych współpracowników. Od tego momentu nigdy już o nim nie słyszałem. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia.

Gdy paczka została dostarczona, nie próbowałem się dowiedzieć, co się zdarzyło dalej. Tego nie było w zakresie moich obowiązków. Moje zadanie polegało na dostarczeniu paczki. Wiesz, kiedy już dostarczyłem paczkę, to był koniec roboty. Tym się zajmowałem i – jak już ci mówiłem – zawsze dobrze wykonywałem swoją pracę. Jeśli później zdarzyło się coś złego, to przyczyna była jedna – błąd popełniony wcześniej.

I ten, kto go popełnił, musiał za to zapłacić.

## Dziecko

*Siedzi w pokoju 164 i mówi:*

*– W moim życiu są cztery etapy: moje dzieciństwo, moje dojrzewanie, w czasie którego ukształtowałem się jako człowiek... potem dorosłem i stałem się mężczyzną, a na koniec przyszło zbawienie w Chrystusie.*

*Rysuje w zeszycie te cztery etapy:*

DZIECKO / NASTOLATEK / MĘŻCZYŻNA / DZIECKO BOŻE

*– Możemy zacząć od mojego dzieciństwa...*

Gdy pada słowo „dzieciństwo”, jego głos łagodnieje. Może to kwestia tego czarnego woalu na twarzy. Mówi gdzieś z głębi siebie, do siebie. Wspomnieniom towarzyszą westchnienia, które czasem wydaje z uśmiechem, a często ze szlochem.

*Mówi przez dwa dni.*

*Bez wahania, bez potknięć.*

*Wie, dokąd zmierza.*

NIÑO

ADOLECEN

HOMBRE.

HIJO-DIOS

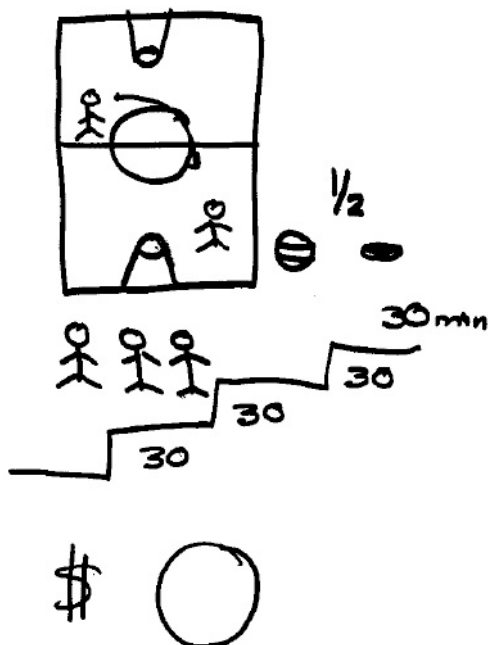
Jako mały dzieciak byłem najzupełniej zwyczajny, całkiem przeciętny. Rodzice nie mieli środków, żeby nas posłać do dobrych szkół. Nasza rodzina była duża, miałem liczne rodzeństwo. Tłoczyliśmy się w maleńkich pokoikach, a wszystkie dzieci sypiały razem na podłodze. Rodzice pracowali i dzięki nim nigdy, ale to nigdy nie brakowało nam na jedzenie. Imali się wszystkiego, harowali, prosili czasem innych o pomoc, ale zawsze znajdowali sposób, żeby nas wszystkich wyżywić.

Doskonale pamiętam pewne wydarzenie. Byłem w podstawówce, w trzeciej czy czwartej klasie, kiedy jakiś duży chłopak pobił mojego brata. Brat był starszy ode mnie, chodził wtedy do szóstej klasy. Wściekłem się tak straszliwie, że zacząłem szukać okazji do zemsty. Poczekałem przed szkołą na tego chłopaka i rzuciłem się na niego z pięściami. To nie był najlepszy pomysł. Wprawdzie kilka razy przywaliłem mu całkiem porządnie, ale boleśnie mi oddał. To wydarzenie sprawiło, że poczułem w sobie wielką gorycz. Straszliwie mnie zabolalo, że nie potrafiłem się obronić.

Rodziców wezwano do szkoły. Mama, jak każda porządna matka, poszła, bo przecież została wezwana przez dyrektora. Powiedział jej, co się wydarzyło, ona wysłuchała, zachowała to dla siebie i wszystko mi właściwie uszło na sucho, ponieważ, no cóż, ona rozumiała, że broniłem starszego brata.

Ech, mój starszy brat był na mnie tak wściekły, że nie odzywał się do mnie całymi miesiącami. Jego sytuacja w szkole stała się nieciekawa... Koledzy dokuwali mu, mówiąc, że nie potrafił się obronić i że dopiero ja, młodszy brat, musiałem stanąć w jego obronie. Inne dzieci zaczęły go więc traktować jak powietrze. Mama była wprawdzie wezwana na spotkanie z dyrektorem, ale nigdy mnie nie ukarała. Była ze mnie dumna, bo broniłem brata, mimo że był ode mnie starszy.

W dzieciństwie, gdy tylko nadarzała się okazja, biegliśmy pograć w koszykówkę. Pamiętam, że musieliśmy grać szybki mecz, bo mieliśmy uszkodzoną piłkę. Miała małą dziurkę, przez którą uchodziło powietrze. Napompowanie kosztowało peso, a wystarczało za ledwie na trzydzieści minut. Wychodziliśmy z przyjaciółmi na boisko i właśnie tyle czasu mieliśmy na mecz. To była prawdziwa przyjemność, mimo że trwała tak krótko. Fajnie było tak biegać po boisku i beztrudnie się bawić, grając starą piłką.



Gdy tak teraz wspominam to pół godziny spędzane z piłką... gdy patrzę na to z dystansu, dociera do mnie, że w gruncie rzeczy obserwuję w ten sposób upływ czasu i zaczynam myśleć o swoim dorastaniu. Zaczynam się zastanawiać nad swoim życiem – życiem przeżyтым szybko w świecie, który pędził w tym samym tempie. To pół godziny było takie krótkie i minęło tak błyskawicznie jak dzieciństwo... Dorosłem zbyt wcześnie a moje życie przeszło niczym chwila. Zamiast dobrze się zastanowić, podjąć decyzję o wyborze zawodu, iść na uniwersytet, zdobyć dyplom, stopniowo piąć się po szczeblach kariery, podejmowałem pochopne decyzje, rozważając je przez jakieś trzydzieści minut, dokładnie jak w tych podwórkowych meczach. Gdy porzuciłem uniwersytet i zrezygnowałem z normalnej kariery zawodowej, podjąłem tę decyzję równie błyskawicznie, a i potem szukałem zawsze najszybszego sposobu zdobycia tego, czego chciałem – pieniędzy, narkotyków, władzy. To można było dostać szybko i łatwo.

Minęło kilka lat. Nadal chodziłem do szkoły i zawsze miałem dobre oceny. Dostałem parę różnych stypendiów, większych i mniejszych, więc dawałem sobie radę, ale w środku wciąż czułem żal i bezsilność – otóż nie mogłem sobie pozwolić na samochód. A trzeba wiedzieć, że w szkole średniej widywałem już kolegów jeżdżących samochodami. Mogli sobie wyjeżdżać na miasto, podjechać do kina, dobrze się zabawić...

Przez cały czas, gdy tak sobie żyłem i dorastałem, myślałem o tym, że zostanę w życiu kimś. Kimś ważnym, mającym władzę. Kimś, kto będzie mógł realizować wszystkie swoje zamierzenia. Kimś bez ograniczeń. Człowiekiem, który powie: „Chcę tego” i będzie to miał. Człowiekiem, który będzie miał wielką ochotę na jakiś przysmak i go dostanie. Chciałem być człowiekiem, który będzie mógł



spełnić marzenie o naprawdę wielkim domu i stanie się jego właścicielem.

Byłem bardzo młody, ale miałem wielkie pragnienia. Nie były może dobre, ale za to wielkie i prawdziwe. Chciałem mieć wszystko natychmiast, więc szukałem najszybszego i najłatwiejszego sposobu na zdobycie tego.

Cóż, gdy wspominam teraz matkę i ojca, pamiętam, że w ich życiu była tylko praca, praca i praca. Trudno mówić o jakichś relacjach łączących rodziców z nami. Nie miałem pojęcia o kinie czy teatrze, ponieważ po prostu nie mieli pieniędzy, żeby zabierać nas w takie miejsca.

Jedyna chwila, kiedy zrobiliśmy coś wspólnie – pamiętam to dobrze i nigdy nie zapomnę – to dzień, gdy w mieście pojawił się cyrk i nasi rodzice znaleźli jakiś sposób, żeby się do niego wybrać. Zabrali mnie i moich dwóch młodszych braci, postawili nam jednak warunek: kiedy już wejdziemy do cyrku, nie możemy prosić o nic innego, bo pieniędzy starczyło tylko na bilety. W związku z tym mama, która przewidziała, że zgłodniejemy w czasie występów i będziemy się domagać jedzenia czy łakoci, przygotowała w domu prowiant.

Kupiła *Galletas Marias*, herbatniki, które cieszyły się wtedy w Meksyku dużym wzięciem oraz *mole*, pikantny sos czekoladowy, po czym zrobiła nam kanapki z ciastek. Gdy oglądaliśmy przedstawienie, ojciec kupił dwie wody sodowe i wypiliśmy je na spółkę. Pamiętam, że sos się wylewał, ciastka się kruszyły i przyklejały do papierowych serwetek, w które były zawinięte, ale my się tym wcale nie przejmowaliśmy. Nic a nic...

*Głos mu się łamie. Dalszą część tej historii opowiada przez łzy. Jest w nich radość tamtych chwil i smutek wywołany jedynym wspomnieniem o czasie spędzonym wspólnie z ojcem.*

Tamtego dnia ja i moi bracia byliśmy naprawdę szczęśliwi, szczęśliwsi niż kiedykolwiek wcześniej. Tata nas nigdzie nie zabierał i nie wiedzieliśmy, jak to jest być w cyrku. Nie wiedzieliśmy, jak to jest dobrze się bawić. Zawsze zazdrościliśmy innym dzieciom tego wszystkiego, co one miały, a my nie. Ale w tamtej chwili czuliśmy się tacy dumni, jedząc te ciastka i *mole*, mimo że przy okazji musieliśmy też wcinać papierowe serwetki. Bez końca dziękowałem ojcu za radość, której nam dostarczył i za to, jak się dla nas poświęcił. Ta wyprawa do cyrku kosztowała go pewnie tyle, co tygodniowe wyżywienie całej naszej rodziny, a może i więcej, sprawiła jednak, że byłem najszczęśliwszym dzieciakiem na świecie.

Od tamtego dnia minęły całe lata, ale kiedykolwiek spotykamy się z braćmi, nawet po długiej rozłące, jest to pierwsza rzecz, którą wspominamy.

- Pamiętasz, jak poszliśmy do cyrku?
- Pamiętacie, jak jedliśmy te ciastka z *mole*?
- Pamiętacie, jak tata musiał wyłożyć jeszcze parę groszy, żeby kupić dwie wody sodowe?

– Pamiętacie, jacy byliśmy szczęśliwi?

W tamtej chwili niczego więcej nie pragnęliśmy, niczego więcej nie było nam trzeba. Dowiedziałem się wtedy, kim jest mój ojciec. Wcześniej, patrząc z własnej perspektywy, uważałem za niesprawiedliwe, że tata zajmuje się wyłącznie robotą. Tymczasem on chciał nas nauczyć wyłącznie jednego – jak pracować:

– Bierz się do roboty, wymieszaj cement, zrób pustaki, żebyśmy mogli budować do domu parę pokoi.

Miałem ochotę się rozerwać, ale dla mojego ojca rozrywką było zmuszanie nas do jakichś obowiązków. Nie wiem, czy tego dnia, gdy nas zabrał do cyrku, dostał jakąś premię, ale przez całe swoje życie będę mu za to wdzięczny. To była chwila, która odcisnęła się na naszym dzieciństwie i zbliżyła nas do siebie.

Młodszy bracia i ja zawsze biliśmy się o najróżniejsze rzeczy. Gdy najstarszy z nas dostał nowe skarpetki, pozostali musieli czekać, aż z nich wyrośnie, żeby je po nim przejąć. Gdy ja dostawałem jakieś ubranie, młodsi musieli czekać. Najmłodszy musiał czekać tak długo, że zanim dostał cokolwiek, było już okropnie znoszone i zniszczone. Tak było z bielizną, spodniami, wszystkimi ubraniami. To były takie schody – rodzice kupowali jakieś rzeczy starszym dzieciom, a potem stopniowo przechodziły one w ręce młodszego rodzeństwa.

Ten dzień, kiedy poszliśmy do cyrku, był niesamowity. Wszyscy trzej byliśmy sobie równi. Jedliśmy to samo. Bawiliśmy się tak samo dobrze. Pamiętamy ten dzień jako najlepszy, jaki przeżyliśmy w całym dzieciństwie. Te chwile to coś, co jest moje, własne – coś, co należy do mnie. Gdy spotykamy się teraz z braćmi i wspominamy wyjście do cyrku, wszyscy zaczynamy płakać, ponieważ żaden z nas nigdy się nie dowiedział, skąd nasz ojciec wytrzasnął pieniądze na bilety.

Często myślę o niedzielach. Wszystkie dzieci z *colonia*, czyli naszego osiedla, wybiegały wtedy z domów, żeby kupić lody w waflu lub na patyku albo jakieś cukierki, bo każdy dostawał tego dnia drobne. Nie wiedziałem, o co chodzi z tą niedzielą, poza tym, że musimy iść na mszę i zostawić jałmużnę dla biednych. W naszej rodzinie nie było drobnych do czasu, gdy tata dostał ciut lepszą pracę, a mama zaczęła dorabiać, sprzątając domy. Wtedy mogli już nam dać pięć czy dziesięć centów na drobne wydatki.

Och, to było coś! Dziesięć centów na niedzielne wydatki!

– Idziemy do sklepu po cukierki.

I tak cała nasza piątka – wszyscy bracia i siostry – zbierała się i kupowała jedną wielką torbę cukierków. Czasem wybieraliśmy wielką paczkę popcornu i dzieliliśmy ją między siebie, licząc każde ziarenko, żeby nam starczyło na cztery dni. Odkładaliśmy sobie po dwadzieścia ziarenek na dzień. W ten sposób w dniu, w którym szliśmy oglądać telewizję (nie mieliśmy własnego telewizora, więc płaciliśmy peso i szliśmy do sąsiadów), mogliśmy przynieść własny popcorn.

Co poniedziałek zbieraliśmy się i oglądaliśmy program *El Chavo del Ocho*,

który cieszył się w Meksyku naprawdę wielką popularnością. Każdy z nas przynosił wtedy swoje dwadzieścia ziarenek popcornu. Tak było tylko w poniedziałek, gdy puszczały ten program.

## Nastolatek

Ciągle rosnę... Zmieniałem szkoły. Pojawiły się nowe zainteresowania. Niektórzy chłopcy mieli już samochody, ale ja zawsze musiałem jeździć autobusem. Żeby dojechać z domu do szkoły, musiałem płacić, dlatego czasami szedłem pieszo, bo nie miałem pieniędzy na bilet, a duma nie pozwalała mi prosić o podwiezienie. W tamtych czasach Juárez było jeszcze całkiem sympatycznym i bezpiecznym miastem. Ludzie odnosili się do siebie przyjaźnie, łatwo było znaleźć kogoś, kto mógł podrzucić do szkoły dzieciaki z tornistrami.

W szkole średniej poznałem nowych kumpli, ale wciąż czegoś mi brakowało. Chciałem być coraz lepszy, prześcignąć innych i posiadać więcej niż oni. Jednak było to dla mnie trudne, nie mówiąc już o moich rodzicach. W takiej sytuacji trzeba było wybrać drogę na skróty.

Gdy byliśmy w szkole średniej, pewien człowiek zaprosił nas na imprezę i pokazał, jak przyjemne może być życie. Zobaczyliśmy, że możemy pić i świetnie się bawić, a co więcej – możemy mieć pieniądze, a nawet samochód.

Zapytałem go:

– No dobra, ale jak? Co muszę zrobić?

On na to:

– Nic, po prostu jedź tym samochodem do szkoły i oddaj mi go rano. Gdy wyjdiesz ze szkoły po południu, pojedziesz do El Paso i tam mi go oddasz.

– A potem?

– Potem dam ci następny samochód, którym pojeździsz cały tydzień, będzie zatankowany. W weekend mi go oddasz, potem odwieziesz mi go do El Paso, a potem pożyczę ci następny samochód i ci zapłacę.

– I to wszystko?

– Nie, nie wszystko. Masz tu dom, z którego możesz korzystać, a także dziewczyny, które ci będą pomagać i spełniać twoje zachcianki. Spodoba ci się. Możesz nawet tu mieszkać, jeśli tylko chcesz.

No cóż, było nas wtedy czterech i wszyscy powiedzieliśmy, że jasne, czemu nie. Mama bardzo za mną tęskniła, ponieważ rzadko pojawiałem się w domu. Nie umiałem nawet jeździć samochodem, ale wystarczył jeden dzień, żeby ktoś nauczył mnie prowadzić. Nie miałem prawa jazdy, ale załatwiono mi je w pół godziny.

Pamiętam z tamtych czasów jedno zdarzenie. Przejeżdżałem przez granicę do Stanów, jadąc wielkim samochodem z tablicami z Kolorado. I zatrzymali mnie na moście.

Faceci z urzędu imigracyjnego zapytali mnie, do kogo należy samochód, a ja na to:

– Do przyjaciela.

- A dlaczego nim jedziesz?
- Bo mi go pożyczył.
- Masz prawo jazdy?
- Tak.
- Masz pieniądze?
- Oczywiście.
- A czym się zajmujesz?
- Uczę się.
- A skąd masz pieniądze?
- Pracuję.
- Co robisz?
- A tam, sprzątam pokoje w motelach.
- Gdzie?
- W Meksyku.
- No dobra.

Wzięli mój paszport, i polecili wejść do kabiny. Gdy wszedłem, kazali mi usiąść koło metalowej szyny. Usiadłem, po chwili pojawił się facet z niewielkim psem i otworzył bagażnik, a wówczas pies zaczął szaleńczo szczeleć. No i wtedy nie zdążyłem się nawet obejrzeć, a już obskoczyło mnie sześciu gości, którzy mnie powalili i przygnietli do ziemi.

Mówię do nich:

- Hej, co jest grane? O ile wiem, to niczego nie wiozę.

Wsadzili mnie do malutkiego pokoiku z pryzkami, jednymi drzwiami oraz jednym oknem, przez które nic nie było widać. Może oni mogli mnie zobaczyć. Nie wiem. W każdym razie ja ich nie widziałem.

Facet mówi do mnie:

– Będziesz musiał zdjąć ubranie i położyć tutaj wszystkie swoje rzeczy. Zrewidujemy cię.

- Dlaczego? – zapytałem.
- Możliwe, że w samochodzie przewozisz narkotyki.
- Nie, to nieprawda.
- Dobra. Zrewidujemy cię. Rozbieraj się.

No więc zdjęli ze mnie ubranie. Wyciągnęli wszystko z portfela. Sprawdzili każdy papierek, jaki wiozłem. Przez trzy godziny wypytywali mnie o każdą informację znaną w portfelu.

- Czyj to numer? Kim jest ten twój znajomy?

Miałem przy sobie plik kartek z amerykańskimi numerami telefonów, a oni zapytali o każdy z nich. Nagle widzę, jak do pokoju wchodzi facet z psem. Nie do końca rozumiem, co mówią do siebie po angielsku.

Facet zwrócił się do mnie:

– Dobra, odłóż swoje rzeczy.

Wcześniej pozwolili mi się ubrać, więc odłożyłem wszystko, a oni położyli przede mną kartkę.

– Masz, weź.

– A co to jest? – zapytałem.

Oni na to:

– Patrz. Musisz to podpisać i potwierdzić, że nie traktowaliśmy cię źle, tylko po prostu wykonywaliśmy swoją pracę. I że nie zrobiliśmy ci nic złego. A wtedy cię wypuścimy i nie będziesz miał żadnych kłopotów.

– No dobra, tylko powiedzcie, o co chodziło. Dlaczego mnie tak długo trzy-  
maliście?

On na to:

– Mamy psa, który wykrył, że w samochodzie wiesz narkotyki. Wzięli-  
śmy twój wóz na kanał, popatrzyliśmy na podwozie i okazało się, że śruby od  
zbiornika paliwa były odkręcane. Robiłeś coś z tym autem, zmieniałeś te śruby?

– Nie.

Powiedziałem im, że samochód jest pożyczony i nigdy nic przy nim nie robi-  
łem.

– Nie jestem mechanikiem. Jestem uczniem, który pracuje dorywczo. Przyje-  
chałem tu, żeby się trochę zabawić.

Doskonale pamiętam tamte czasy, kiedy miałem tylko tyle pieniędzy, że led-  
wo starczało mi na pizzę. Pizza w Peter Piper Pizza w El Paso to było dla nas wte-  
dy naprawdę coś, *lo maximo!* W Meksyku mogliśmy najwyżej pomarzyć o takim  
lokalu jak Peter Piper. Kiedy już jechaliśmy tam na pizzę, to było wiadomo, że je-  
steśmy przy kasie!

– Dobrze, no cóż, nie podpiszę tego – odparłem. – Chcę się skontaktować  
z moim adwokatem.

Jak to powiedziałem, wściekli się na mnie na dobre. Zaczęli robić groźne  
miny i powiedzieli, że mi nie oddadzą mojej *mica*, przepustki uprawniającej do  
przekraczania granicy.

No cóż, gdy mi to powiedzieli, uświadomiłem sobie, że bez *mica* nie będę  
mógł jeździć samochodami ani dostawać co tydzień pięćdziesięciu dolarów. Nie  
mógłbym robić jeszcze wielu innych rzeczy. W końcu jednak przepustkę oddali<sup>33</sup>).

33) Ponad rok po pierwszym wywiadzie *El Sicario* powiedział nam podczas  
luźnej rozmowy, że pewien amerykański funkcjonariusz pracujący wówczas  
w urzędzie na granicy (było to prawdopodobnie pod koniec lat 80.) pomógł mu od-  
zyskać przepustkę po wspomnianym incydencie na moście. Dodał też, że wiele lat  
później znowu stracił przepustkę podczas kokainowej imprezy po amerykańskiej  
stronie granicy. Interweniował wtedy ten sam urzędnik, z czego wynika, że handla-  
rze narkotyków, dla których *El Sicario* pracował w tamtym okresie, mieli swoich

ludzi w amerykańskich urzędach.

Najprzyjemniejsze z tego wszystkiego, co wówczas robiłem, było odkładanie dwudziestu dolarów z zarobionej pięćdziesiątki dla mojej matki. Co dwa tygodnie, gdy dostawała wypłatę, szła na zakupy dla całej rodziny, a ja wówczas mówiłem:

– Proszę, masz tu jeszcze dwadzieścia dolarów.

Zawsze się wtedy rozpromieniała i pytała, skąd mam te pieniądze.

– Zarobiłem – odpowiadałem i mówiłem, że pracuję, porządkując ogródki w El Paso.

Mama była naprawdę szczęśliwa. Nigdy nie wiedziała, co tak naprawdę robię, żeby zdobyć te pieniądze. Ja z kolei nigdy nie wiedziałem, co przewożę przez most. Wiedziałem tylko, że mam w samochodzie ładunek, ale nie miałem pojęcia, jakie to są narkotyki, ile ich jest ani gdzie są ukryte. Kiedy mi powiedzieli o tym zbiorniku paliwa zrozumiałem, że tam właśnie jest towar, ale nigdy nie dowiedziałem się tego na pewno. Zatem przez trzy lata żyliśmy z tego z trzema innymi chłopakami i na tym zesłała nam szkoła średnia.

To były piękne czasy. Uniezależniłem się finansowo od rodziców. Gdy tylko mogłem, dawałem im pieniądze. Sam sobie kupowałem ubrania, stać mnie było na prawdziwe converse'y. Do dziś pamiętam, jak kupiłem sobie reeboki. Super! Kosztowały osiemdziesiąt dolarów. W szkole nikt poza mną nie miał reeboków. Kupiłem je w JCPenney's. Wszyscy mi zazdrościli, drażnili się ze mną i przydeptywali mi te buty, żeby mnie wkurzyć. A ja naprawdę się wtedy wściekałem.

Kumple tak się z tym nie obnosili. Zajmowali się tą robotą już dłużej. Ja jeździłem mniej więcej co dwa tygodnie. Rzadko się zdarzało, żebym to robił co tydzień. Niektórzy jeździli trzy razy w tygodniu. Moi rodzice byli bardziej konserwatywni i nie pozwalali mi spędzać zbyt wiele czasu poza domem. Nie mogłem wyjeżdżać tak często.

Uczyłem się dużo, miałem naprawdę dobre oceny i automatycznie dostałem się do szkoły przygotowującej do studiów. Nie była to najlepsza szkoła w Juárez, ale i tak całkiem niezła. W takiej szkole człowiek musiał mieć samochód, być sprawny, grać w futbol amerykański, często chodzić do siłowni i mieć kasę. W ten sposób można było poderwać dziewczyny. Zazwyczaj chodziłem z jedną czy dwiema, nie było problemu. W szkole przygotowującej zrezygnowałem na jakiś czas z pracy dla tych ludzi, bo dostałem stypendium i musiałem poświęcić cały swój czas na naukę i sport. Stypendium było dość niskie.

W związku z tym wszystkim wziąłem niewielką kwotę z pieniędzy zaoszczędzonych w ciągu trzech lat pracy i kupiłem sobie samochód. Zacząłem też pracować w innym, tym razem legalnym interesie. Ale zdałem sobie sprawę, że jestem już w kręgu zła. Zawsze widziałem, że są na świecie ludzie naprawdę dobrzy, są i tacy, którzy są dobrzy, ale czasem postępują tak sobie, no i są ludzie po prostu źli.

Żli ludzie chętnie przesiadywali w knajpach i zażywali narkotyki. W tamtych czasach umieszcząłem siebie gdzieś pośrodku tej skali. Jednak *desgraciadamente*, niestety, wybrałem życie ze złymi ludźmi.

Zacząłem też zażywać narkotyki. Nie paliliśmy specjalnie dużo marihuany, a o kokainę nie było wtedy łatwo. Jak chcieliśmy ją dostać, musieliśmy wysłać kogoś do El Paso w Teksasie, on tam kupował towar i nam przywoził. Jeśli w tamtych czasach ktoś miał kokainę, to znaczyło, że ma mnóstwo pieniędzy<sup>34</sup>).

34) Od początku lat 90. aż do śmierci Amada Carrilla w 1997 roku kartel utrzymywał zakaz sprzedaży niemal wszelkich nielegalnych narkotyków w mieście Juárez. Był to jeden z punktów układu zawartego między kartelem z Juárez a władzami. Ten zakaz przestał obowiązywać po śmierci Carrilla. Rodzimy rynek narkotykowy jest dziś ważną gałęzią biznesu w całym Meksyku.

W samym mieście nie było specjalnie dużo narkotyków. Wiem, że Juárez jest i zawsze było kanałem, przez który wędrują narkotyki do Stanów, ale w tamtych czasach w mieście się nimi nie handlowało. Obowiązywał zakaz otwierania transportów kokainy. Narkotyki przyjeżdżały do Meksyku i były przemycane do Stanów Zjednoczonych, ale u nas nie można było ich kupować. Jeśli chodzi o niewielkie ilości marihuany, to tak, ale o kokainie nie było mowy. Heroina była natomiast na rynku od bardzo dawna. W przeszłości nie lubiłem ani marihuany, ani heroiny. W szkole średniej paliłem czasami trawę, ale robiło mi się po niej niedobrze i wymiotowałem później przez dwa dni. Kokainę zacząłem zażywać dopiero później, w szkole przygotowującej, gdy stopniowo wchodziłem w środowisko złych ludzi i zacząłem mocno imprezować.

Co się zatem stało? W tamtych latach gram kokainy kosztował sto dwadzieścia dolarów. Trzeba było jakoś zdobyć taką kasę. Oznaczało to, że każdy z naszej czwórki musiał wyłożyć trzydzieści dolarów. Trzeba było się napracować, żeby tyle kupić, ale gram koki to niewiele, więc zawsze nam było mało. Na nas czterech trzeba było o wiele więcej. *Un ocho*, dwadzieścia osiem gramów – tyle musielibyśmy kupić, żeby nam wystarczyło na parę dni imprezowania.

Wciąż mieliśmy w szkole dobre oceny. Byliśmy młodzi i naprawdę sprawni. Mogliśmy biegać, organizmy nas słuchały. Gdy się naćpaliśmy (kokainą), jakoś łatwiej nam było znieść kontuzje podczas gry w futbol amerykański czy przy uprawianiu innego sportu. Podejrzewam, że groził mi wtedy atak serca albo coś równie poważnego, ale na szczęście nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło.

Wielokrotnie szedłem do szkoły pijany lub na porządnym haju. Piliśmy całą noc, po czym wkładaliśmy mundurki i maszerowaliśmy na lekcje. Moi rodzice nigdy się nie zorientowali, co jest grane. Ojciec pracował na nocnej zmianie. Po robocie przychodził o szóstej rano do domu i spał aż do szóstej wieczór. Nie wiedział więc, co robię przez cały dzień. A tym bardziej, co robiłem przez całą noc.



A co potem? Moja mama sprzątała u ludzi. Gdy się tym zajmowała, nie było jej w domu od poniedziałku do piątku, wracała dopiero na sobotę i niedzielę. Pracowała tak, żebyśmy mieli pod dostatkiem jedzenia i żeby opłacić nasze szkoły.

Cóż, szkoła nie była dla mnie żadnym problemem. Myślę, że gdybym po prostu uczył się dalej, mógłbym zostać dobrym inżynierem, architektem, lekarzem czy kimś w tym rodzaju. Dostawałem dobre oceny bez żadnego wysiłku. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek uczył się do testu. Przychodziłem na parę lekcji przed sprawdzianem, czytałem podręcznik przez godzinę, potem szedłem na egzamin i nigdy nie dostawałem oceny niższej niż siedem na dziesięć. Najczęściej miałem dziewięć lub prawie dziesięć.

Czasami brak znajomości materiału objętego testem nie miał większego znaczenia, bo zawsze miałem jakieś pieniądze. Siadałem obok chłopaka, który był dobrze przygotowany, on pisał test i zostawiał puste miejsce na imię i nazwisko. Potem dawał mi kartkę, ja wpisywałem swoje dane, oddawałem nauczycielowi i płaciłem koledze za przysługę, dając mu jeszcze swój niewypełniony test. Wszystko było proste, bo pieniądze przychodziły mi bez trudu.

Nie miałem żadnych problemów. Właśnie wtedy, gdy chodziłem do szkoły przygotowującej, poznałem jednak innych ludzi. Zaproponowali nam, żebyśmy rozprowadzali narkotyki w szkole. No cóż, nie mogłem zrobić w tej dziedzinie wielkiej kariery, bo byłem w dwóch drużynach – futbolu amerykańskiego i koszykówki. Miałem mało czasu, a w związku z tym, że dostawałem stypendia sportowe, nie chodziłem z pustym portfelem. Wspomniani ludzie chcieli mi jednak zapłacić za drobną przysługę – dostęp do moich szafek. Miałem dwie zamknięte szafki, więc w jednej trzymałem ich narkotyki, a w drugiej swoje rzeczy. Musiałem jednak bardzo uważać i pilnować, żeby nikt nie otworzył tej z narkotykami. Czasem musieliśmy przyjść do szkoły wieczorem, wyjąć narkotyki, a potem sprzedać je klientom.

Dla mnie wiązało się to z olbrzymimi emocjami, prawdziwą burzą. Nie, nie było to wcale trudne, ale w tamtym czasie wszystko wywoływało we mnie silne emocje. Miałem szesnaście lat i mogłem prowadzić takie życie! Nie brakowało mi pieniędzy, mogłem się umówić z każdą dziewczyną i zaprosić ją na kolację do porządnej restauracji. Mogłem zamówić u *mariachi* każdą piosenkę, jaką tylko chciałem usłyszeć.

– Hej, panowie! Zagrajcie *El Muchacho Alegre*, zagrajcie *El Rey*. Ile chcecie? Dobra, proszę bardzo.

Mało który chłopak mógł sobie pozwolić na takie przyjemności. A my przecież tylko naśladowaliśmy ludzi, którzy naprawdę mieli pieniądze i wiedli takie życie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wydawana tak szybko kasa – gdybyśmy tylko umieli odłożyć choć część – mogła w przyszłości przynieść nam wiele dobra. Naprawdę źle wydawaliśmy te pieniądze, ale byliśmy wtedy tacy szczęśliwi.

Czasem po kilku dniach zostawaliśmy bez grosza przy duszy i nie mieliśmy nawet na benzynę. W takich sytuacjach prosiłem ludzi, którzy nas opłacali o pożyczkę. Oni wtedy mówili:

– Dobra, jasne, ile potrzebujesz?

– Tyle a tyle.

– Dobra, ale żeby dostać pożyczkę, będziesz musiał zrobić kurs do El Paso.

Wiem, że w ten sposób nas wykorzystywali, bo mieli nad nami przewagę. Na początku płacili mi tylko pięćdziesiąt dolarów za przejazd samochodem. Nigdy nie wiedziałem, co wiozę, ani ile tego jest. Prosiłem o wyższą stawkę:

– Słuchajcie, potrzebuję co najmniej sto dolarów.

W końcu pewnego dnia usłyszałem:

– Nie damy ci stu dolarów, damy ci tysiąc. Ale samochód stoi zaparkowany niedaleko mostu. Ktoś, kto miał nim jechać, pękł i teraz tak się boi, że nie da rady dostać się na drugą stronę. Chcesz ten tysiąc?

– No kurczę, jasne, że chcę.

Odszukałem więc ten samochód, wsiadłem i przejechałem. Pamiętam doskonale, że podczas tego transportu przez cały czas jechały za mną dwa samochody, towarzyszące mi aż do apartamentów w El Paso, przy których miałem zostawić auto. Gdy już dotarłem w wyznaczone miejsce, wysiadłem z samochodu, poszedłem do umówionego mieszkania i odebrałem kopertę z gotówką. Wtedy po raz ostatni widziałem tych ludzi.

Potem dowiedziałem się, że człowiek, który stchórzył, to ten sam, który wciągnął mnie do tej roboty, gdy chodziłem do szkoły średniej. Przestraszył się, ponieważ dwa razy z rzędu przytrafiło mu się to samo, co mnie wtedy na moście – został zatrzymany i zrewidowany. Doszedł do wniosku, że to już nie jest bezpieczne zajęcie, skoro kontroluje się kierowców, a i nasze samochody zostały zapewne namierzone.

Dla mnie nie miało to większego znaczenia. Potrzebowałem pieniędzy. Oczywiście nie wszystko dawałem matce na utrzymanie domu. Dużą część wydawałem na siebie i własne przyjemności. Ważne było dla mnie to, że w szkole wszyscy mnie znali. Szedłem do baru z sześcioma czy siedmioma kumplami i wszystkimi naszymi dziewczynami, mówiłem, żeby sobie zamówili, co tylko chcą, a ja płaciłem za wszystkich. Podobało mi się to, bo dzięki temu w czasie meczów miałem mnóstwo kibiców. Wszyscy wiedzieli, że po zawodach zaproszę ich do baru. To było naprawdę przyjemne.

Mniej więcej wtedy – gdy miałem szesnaście lat – poszedłem pierwszy raz na dyskotekę. Pamiętam, że bramkarz powiedział:

– Za młody jesteś. Nie mogę cię wpuścić. – Kiedy jednak wcisnąłem mu pięćdziesięciodolarówkę, rzucił:

– W porządku, nie ma sprawy... – I tak po raz pierwszy znalazłem się na

dyskotece. Nie potrafiłem tańczyć, ale mogłem dużo wypić i dobrze dogadywałem się z kelnerami.

To było cudowne. Wypijałem dwa lub trzy kufle piwa za mniej więcej dwadzieścia pięć dolarów i zostawiałem trzydzieści dolarów napiwku – więcej niż wynosił rachunek. Kelnerzy byli naprawdę zadowoleni. Czasem przyprawdzałem grupę przyjaciół, a kelnerzy okazywali mi wtedy szczególne względy: „O, *señor*, zapraszamy, zapraszamy. Trzymamy stolik dla pana”. To były najpiękniejsze chwile. Poznałem moc pieniędzy i zrozumiałem, że dzięki nim mogę zrobić wszystko. Mawiało się wtedy: „Jak masz pieniądze, możesz sprawić, że pies będzie tańczył. A bez pieniędzy to ty tańczysz jak pies”.

W naszej rodzinie pojawiły się jednak kłopoty. Mama zachorowała i to na tyle poważnie, że wkrótce nie była już w stanie pracować. Coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Ja natomiast postanowiłem iść na uniwersytet i skończyć z dawnym procederem.

To, co się działo z moją matką, to po części wina... No cóż, wszystkie matki jakoś wyczuwają, co się dzieje z każdym z ich dzieci. Nawet, gdy nic nie mówią, to po prostu czują. Moja mama wiedziała, że jestem czarną owcą w naszej rodzinie. Zawsze się o mnie martwiła. Zauważyłem, że gdy którykolwiek z braci lub sióstr zrobił coś złego, mama go strofowała i wskazywała, jak powinien się zachować, a w moim przypadku ograniczała się tylko do paru słów: „Uważaj”, „dobrze się zachowuj”, „spróbuj postępować dobrze”, „zaufaj Bożej opiece”, „postępuj dobrze”.

Wyglądało na to, że zawsze się o mnie bardzo martwiła. Za każdym razem, gdy miałem spędzić kilka dni poza domem, dzwoniłem z budki (nie było wtedy jeszcze komórek) do sąsiadów, żeby przekazać mamie, że spędzę noc z przyjaciółmi i żeby się nie przejmowała, bo będę chodził do szkoły, a tylko przez parę dni nie zanocuję w domu.

Potem się dowiedziałem, że moja matka wylewała wiele łez, kiedy spałem poza domem. Nie wiedziała, gdzie jestem, co robię i czy wszystko u mnie w porządku. Martwiła się o mnie tak bardzo, że pewnego dnia odbyło się spotkanie całej rodziny. Usiedliśmy wszyscy przy stole – było nas chyba trzynaścioro – a że był duży, to miejsca nie zabrakło dla nikogo.

*Rysuje okrągły stół i szkicuje wszystkich członków rodziny.*

Rodzinne zebranie zwołała moja najstarsza siostra (właściwie przyrodnia siostra, bo była córką mojej mamy z innego związku). Wszyscy moi bracia i siostry rzucili się na mnie i powiedzieli, że choroba mamy to moja wina. Mówili tak:

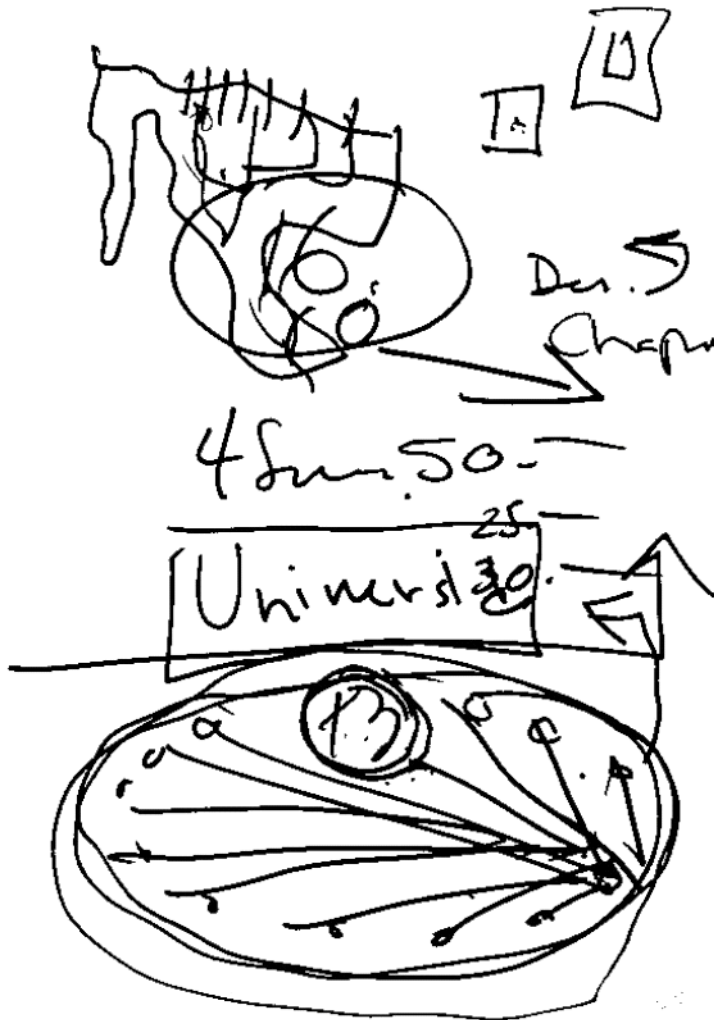
- Przez ciebie moja mama jest chora.
- Moja mama jest chora, bo nie wracasz do domu.
- Moja mama jest chora, bo wie, co kombinujesz.
- Moja mama jest chora, bo pijesz i ćpasz...

Ostatnia miała zabrać głos najstarsza osoba przy stole, moja przyrodnia siostra. Powiedziała:

– Zawsze wszyscy traktowaliście mnie jako najstarszą, ale byłam poza tą rodziną. Tak, mam tylko matkę. To moja mama. Wasz tata nie jest moim ojcem. Mam tylko matkę, bardzo ją kocham, chcę ją chronić i cieszyć się jej obecnością. Powiem ci jedno. Jeśli chcesz tak dalej postępować, lepiej będzie, jeśli znikniesz na zawsze, a my powiemy, że umarłeś. Poza matką nie mam żadnej rodziny. Albo się weźmiesz za siebie i zaczniesz się dobrze prowadzić, albo wyślemy cię do wojska.

– No nieeeee... – buchnąłem śmiechem. I odparłem: – No jasne. Ty naprawdę sądzisz, że pošlecie mnie do wojska? Wolne żarty! Nie martwcie się o mnie. Sam wszystko naprawię.

Wystarczyły mi dwa dni. Byłem wtedy na czwartym semestrze studiów. W ciągu dwóch dni, dzięki rekomendacjom udzielonym przez przyjaciół i znajomych [ludzi, których poznał przy przemyśle narkotyków], udało mi się rozpocząć karierę w policji. Żeby dostać się do akademii, trzeba było spełnić kilka warunków. Po pierwsze – skończyć osiemnaście lat. Po drugie – mieć kartę powołania do wojska, a żeby ją dostać, trzeba było być pełnoletnim. Po trzecie – z reguły przyjmowano tylko żonatych. Po czwarte – należało przejść badanie na obecność narkotyków w organizmie. Po piąte – testy sprawnościowe. Nie byłem pełnoletni, nie miałem karty powołania. Nie przeszedłbym badań na narkotyki. Nie byłem żonaty. Jedynym wymogiem, jaki mogłem spełnić, był egzamin sprawnościowy.



Podczas rozmowy kwalifikacyjnej z dyrektorem akademii usłyszałem:

– Mamy tu tylko dwa problemy, które mogą sprawić, że nie zostaniesz przyjęty. Skoro jednak masz dobre rekomendacje, to jakoś to załatwimy. Musisz jednak wyświadczyć mi przysługę. Rzuć narkotyki. To, że nie jesteś żonaty, to żadna przeszkoda. Nie masz karty powołania, ale wyślę cię do sztabu armii, tam porozmawiasz z konkretnym człowiekiem, a on ci ją załatwi.

Odparłem na to:

– Nie, nie muszę, ponieważ człowiek, który przysłał mnie do pana, powiedział, że przyjmie mnie pan bez żadnych papierów. Czy mam do niego zadzwonić i powiedzieć, że jednak chce pan jakieś dokumenty?

Wtedy dyrektor powiedział:

– Dobra, nieważne, spływasz stąd. Idź, zgłoś się do tego a tego. Przynies kilka ubrań na zmianę, krótkie spodenki i tenisówki.

I tak zaczęła się moja kariera w akademii policyjnej.

## Mężczyzna

Dwa razy mi się poszczęściło. Teraz więc – po tym, jak cała rodzina mnie odrzuciła, gdy powiedzieli mi, że jestem najgorszy, że matka rozchorowała się z mojej winy i że nikt mi już nie da ani grosza – po tym wszystkim powiedziałem:

– Żaden problem... Wszystkim się zajmę.

Natychmiast rzuciłem uniwersytet, bo nie miałem pieniędzy na dalsze studia. Dzięki pomocy wpływowych ludzi, dla których pracowałem, mogłem spełnić wymagania wstępne, zapisałem się więc do akademii policyjnej i rozpocząłem kurs szkoleniowy. Nauczyłem się maszerować, stawać w szeregu, wyrównywać szyk, stać na baczność, zachowywać postawę wyprostowaną i wykonywać rozkazy.


Nauczyli nas nawet punktualności i przestrzegania rozkładu dnia. Jeśli budzisz się o piątej czterdzieści pięć, to na piątą pięćdziesiąt musisz być ogolony, umyty i ubrany. Musisz też zdążyć się załatwić. Gdy stałem w szeregu, żeby rano zasalutować do flagi, nie mogłem się nagle wyrwać i powiedzieć: „Poczekajcie, ja muszę do łazienki”. Musiałem być gotowy – gotowy na ciężkie szkolenie.

To szkolenie trwało pół roku. Jedno z zadań, jakie otrzymałem w tym czasie od moich szefów z organizacji zajmującej się handlem narkotykami, polegało na werbowaniu innych chłopaków. Moja pozycja w grupie wzrosła błyskawicznie – głównie ze względu na pewną sumę pieniędzy (pochodzących z USA), jaką ludzie z amerykańskiej strony granicy wpłacili na rzecz uczestników policyjnego kursu szkoleniowego. Kadeci w akademii otrzymywali mniej więcej połowę pensji funkcjonariusza, który skończył kurs i był już na służbie. Dla mnie te pieniądze były po prostu śmieszne, naprawdę dużą sumę dostawałem co miesiąc z El Paso. Miałem zatem wszystko, czego potrzeba było mnie i kolegom z akademii – przysyłano mi kasę, narkotyki i dziewczyny.

Cóż więc robiliśmy? Nocą pilnowali nas strażnicy, żebyśmy nie opuszczali akademii. Na jej terenie są koszary, boiska do koszykówki i strzelnice. Jest płot, za którym stoją zaparkowane samochody, no i są strażnicy. Przekupywaliśmy ich, dając im sto dolarów i gram kokainy, byle tylko wypuścili nas nocą poza szkołę. Wychodziliśmy koło siódmej wieczorem i wracaliśmy o piątej trzydzieści rano. Dlaczego o piątej trzydzieści? Ponieważ o piątej czterdzieści pięć rozbrzmiewał gwizdek, a o piątej pięćdziesiąt musiałem już stać w szeregu na apelu i salutować do flagi.

5:45 am. →  
 5:50.  


---

 1111   
 Sabado - 12:00  
 Lunes. - 5:30.  


---

 Tiro ~~\$1500~~  
 Amsto.   
 Purocu. \$1000  
 Deti Dron.  
 Pata Lulu.  
 Psa Gamis.

Dlaczego werbowano tych wszystkich kadetów? W tamtym czasie zupełnie nie rozumiałem, w czym rzecz. Jeśli o mnie chodzi, wszystko układało się świetnie. Byłem szczęśliwy. Miałem pieniądze, samochody i narkotyki. Przysyłali mi dziewczyny i płacili za hotele. W sobotę w południe wypuszczali nas na weekend, przy czym najpóźniej trzeba było się pojawić z powrotem w poniedziałek o piątej trzydzieści rano. Byłem wyjątkiem, bo nigdy nie trafiłem do aresztu ani nie wplątałem się w żadne kłopoty. Bardzo pilnowałem porządku dnia. Obejmował on wszystko: kąpiel pod prysznicem, posiłki, ćwiczenia fizyczne i lekcje. Mieliśmy zajęcia ze strzelania, procedury aresztowania, ścigania podejrzanych, wykrywania narkotyków, prowadzenia śledztwa w sprawie kradzieży samochodów, psychologii kryminalistycznej...

Ludzie powiązani z handlarzami narkotyków płacili za mnie i za innych kadetów, którzy wcześniej czy później mieli być zwerbowani i podjąć dla nich pracę. Władze oficjalnie płaciły mi około sto pięćdziesiąt pesos miesięcznie, co było niewielką sumą – nieco ponad dziesięć dolarów. Jednak wspomniani ludzie z zewnątrz dawali każdemu z nas tysiąc dolarów miesięcznie! Wiedzieli, że po ukończeniu akademii będziemy dla nich pracować. Nikt w życiu nie zapłaciłby nam tyle, co oni, handlarze narkotyków. Przechodziliśmy zatem szkolenie. Ale o co w tym wszystkim tak naprawdę chodziło? Dlaczego uczyli mnie tego wszystkiego, skoro byłem opłacany z zewnątrz?

*Desgraciadamente*, niestety, wszystkie meksykańskie akademie związane z wymiarem sprawiedliwości i bezpieczeństwem wewnętrznym – wszelkimi siłami policyjnymi, policją kryminalną, żandarmerią wojskową i wojskiem – były i są wykorzystywane przez organizacje zajmujące się handlem narkotykami jako ośrodki

szkoleniowe dla przyszłych pracowników. W ten sposób wszyscy absolwenci akademii mogą być łatwo zwerbowani przez *narcos*. Za wszystkie umiejętności zdobyte w tych akademiach – posługiwanie się bronią, prawo jazdy, prowadzenie inwigilacji, odczytywanie tablic rejestracyjnych, rozpoznawanie twarzy, sprawne prowadzenie pościgu samochodowego w mieście – organizacje narkotykowe chętnie płaciły grube pieniądze. Skoro *narcos* mogli korzystać z oficjalnych akademii podlegających wymiarowi sprawiedliwości i służbom bezpieczeństwa publicznego, nie musieli się specjalnie przykładać do szkolenia swoich ludzi. Mogli po prostu wykorzystać prowadzone przez władze kursy, a następnie zwerbować do siebie kadetów takich jak my.

W soboty wychodziliśmy poza mury akademii... Pamiętam, że przyjeżdżali po mnie czerwonym motocyklem harley indian i samochodem. Jechaliśmy do El Paso. Naszą wyprawę zaczynaliśmy od centrum i sklepu o nazwie Starr Western Wear. Zaopatrywaliśmy się w naprawdę porządne błękitne dżinsy, kowbojskie koszule i wielkie fantazyjne sprzączki do pasów. W tamtych latach nosiło się ubrania, które rzucały się w oczy, w których się błyszczało i dawało znak, że ma się pieniądze i władzę. Policjanci lubili fajne buty. Funkcjonariusze policji miejskiej nosili mundury, ale gdy wychodzili na miasto, wkładali kowbojki.

Po zakupach najczęściej jechaliśmy do apartamentu. Nie do hotelu. Bawiliśmy się bardzo głośno, więc nie chcieliśmy robić skandali po hotelach. Kilka razy byliśmy w domu z basenem. Gdy przyjeżdżaliśmy, szefowie kartelu, którzy płacili za nasze rozrywki, mówili:

– Macie tu dziewczyny. Zostaną z wami, dopóki nie wyjedziecie w niedzielę w nocy. Bierzcie, które chcecie.

Zostawiali nam koperty z pieniędzmi, działki kokainy, marihuanę i psychotropy. Zaopatrywali we wszystko, co mogło nam zapewnić dobrą zabawę. Chcieli, żebyśmy byli zadowoleni i cieszyli się z ich opieki. Zawsze, ale to zawsze dawali nam do zrozumienia, że jesteśmy dla nich ważni. Nie prosili nas wtedy o zbyt wiele w ramach rewanżu. Chcieli sprawiać nam przyjemność: pieniędzmi, narkotykami i kobietami. Gdy ktoś potrzebował wsparcia finansowego, mawiali: „Nie ma sprawy...”. Wyciągaliśmy rękę i mieliśmy wszystko. Potem weekend się kończył i wracaliśmy do akademii na dalsze szkolenie.





Zakończyliśmy naukę, stając się absolwentami akademii. W ostatnim dniu odbywała się selekcja. W roczniku kończącym szkołę było około dwustu absolwentów. Dwustu na cały stan Chihuahua, który jest bardzo duży. Nasz rocznik szkolono na potrzeby policji w miastach Juárez, Villa Ahumada, Chihuahua City, Parral, Camargo, Delicias, Ojinaga, a także do służby w stanowych placówkach granicznych w Durango i Sonorze. Pięćdziesięciu spośród tych dwustu absolwentów było już na liście płac organizacji handlujących narkotykami. Pozostawało zatem stu pięćdziesięciu absolwentów, którzy mieli być przydzieleni do placówek w całym stanie. Jednak spośród tych pięćdziesięciu pracujących dla *narcos*, aż dwudziestu pięciu zostawało w Juárez, pięciu szło do Chihuahua City, pięciu do Parral i pięciu do Ojinagi. Rozdzielało się ich w ten sposób, żeby w punktach wjazdowych na granicy stanu byli już ludzie pracujący dla organizacji narkotykowych, co gwarantowało łatwy przepływ narkotyków z Durango, Sonory lub Coahuili do Chihuahua.

Bardzo, ale to bardzo często do transportu narkotyków wykorzystuje się służbowe samochody policyjne. Wielokrotnie zdarzało się, że wystarczyło tylko dobrze schować narkotyki w ciężarówce, która potem jechała sobie spokojnie, mając błogosławieństwo policji. Obowiązywała jednak wówczas niezwykle ważna zasada, której przestrzegano bez wyjątków – nigdy, ale to nigdy nie otwierano trans-

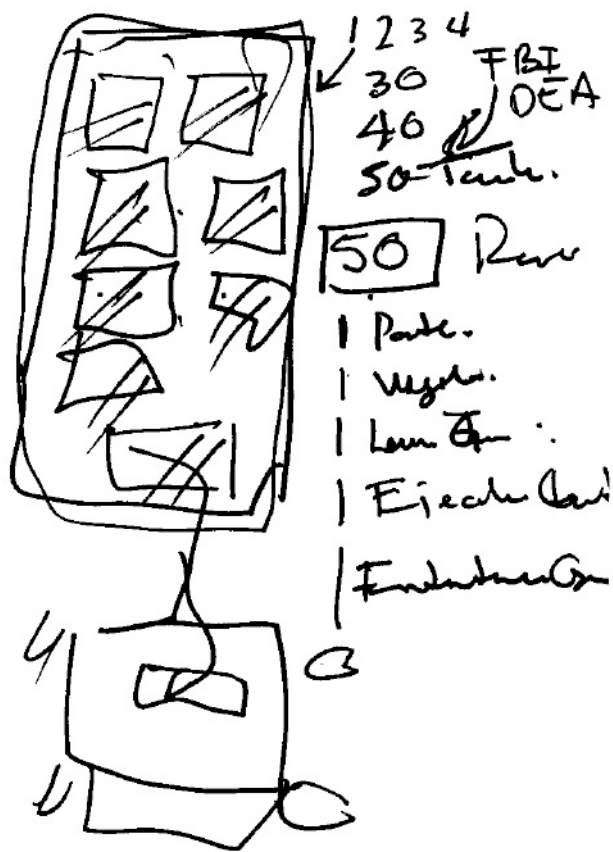
portu z narkotykami w samym Juárez.

Przyjeżdżające ciężarówki trafiały do magazynów na rozładunek. Najpierw demontowano wewnętrzne ścianki naczepy, po czym oddzielano narkotyki od legalnego ładunku i ciężarówka odjeżdżała. W ten sposób transportowano głównie marihuanę i kokainę, jednak niemal nigdy nie przewożono tak heroiny, która wędrowała z Parral lub z odległych wiosek samochodami osobowymi. Wszystkie towary przewożone w chłodniach – banany, papaje czy inne łatwo psujące się rzeczy (w zależności od typu naczepy mogło ich być czterdzieści ton lub nawet więcej) – rozładowywano i rozdawano mieszkańcom ubogich *barrios*, dzielnic. Rozwoziliśmy te towary furgonetkami. W tym samym czasie ludzie z organizacji handlującej narkotykami otwierali komory w naczepach, rozładowywali narkotyki i przepakowywali je do innych pojazdów, po czym towar zabierano do dziupli.

Ile takich dziupli jest obecnie w użyciu? Dużo. Tak dużo, że jedna osoba z gangu może wiedzieć najwyżej o ośmiu, maksymalnie dziesięciu. Ja na przykład znałem dziesięć takich kryjówek w Juárez, ale to wszystko. *El Dos*, Numer Dwa, kontrolował kolejny zestaw dziupli i był za nie odpowiedzialny.

Organizacje zajmujące się handlem narkotykami działają niezwykle ostrożnie. Każdy członek grupy zna tylko niektóre kryjówki, a szefowie dokładnie wiedzą, za które z nich odpowiedzialni są poszczególni „żołnierze”. Szefowie mówią ci tylko tyle, ile masz wiedzieć. Gdyby ci przyszło do głowy oszukać organizację, dotrą do ciebie na podstawie miejsca, w którym doszło do przecieku, bo wiedzą, że skoro nikt inny o nim nie wie, to tylko ty mogłeś je wystawić.

Jeśli chodzi o marihuanę... Sposób, w jaki ją transportują, jest wręcz niewiarogodnie bezczelny. Właściwie wcale się nie wysilają, żeby ją chować. Mocują naczepę–platformę do pickupa z uchwytem holowniczym i gotowe. Na platformie leżą pudła z marihuaną, a ciężarówki krążą po całym mieście jak z każdym innym towarem. Nie mówimy o jednej, dwóch, trzech czy czterech... mówimy o trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu tonach marihuany, która musi być transportowana, magazynowana i strzeżona.



W dniu rekrutacji prowadzonej na akademii, każdemu z pięćdziesięciu absolwentów opłacanych przez organizacje handlujące narkotykami zostaje przydzielona jakaś funkcja. Zadaniem niektórych jest ochrona dziupli. Inni mają inwigilować strażników. Kolejna grupa będzie porywać dłużników albo tych, którzy podjęli pracę dla obcego gangu czy konkurencyjnej grupy. Są też tacy, którzy specjalizują się w przeprowadzaniu egzekucji i w końcu ci, których zadaniem jest grzebanie zwłok po egzekucji. Każdy ma swoje zajęcia i jest w swojej dziedzinie specjalistą.

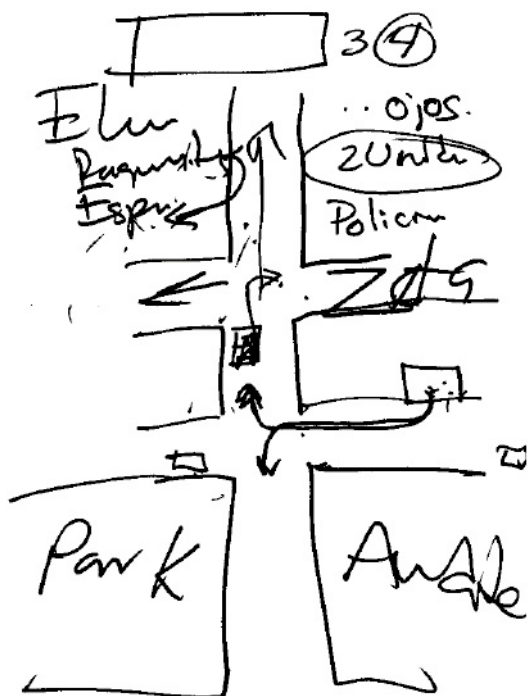
Skąd bierze się ten podział zadań? Oto, czego się dowiedziałem, a co bardzo dobrze oddaje powiedzenie: Nigdy nie mieszaj Bożego Narodzenia z Nowym Rokiem. Na przykład – jeśli zostałeś wyznaczony do porwania jakiegoś człowieka, to potem dostarczasz ofiarę do kolejnej osoby, *El Dos*, Numeru Dwa, która z kolei dostarcza ją do *El Tres*, Numeru Trzeciego, tamten przekazuje ją w ręce osoby dokonującej egzekucji, a egzekutor – osobie zajmującej się pochówkiem zwłok. Wygląda to na prosty układ trójkowy, w którym ludzie zajmujący się porywaniem, przesłuchaniami, zabijaniem i grzebaniem ciał mogą ogarnąć całość systemu. Organizacje narkotykowe działają jednak inaczej. W tym układzie, opartym na ścisłym podziale zadań, chodzi bowiem o jedno – ukrycie wiedzy o miejscu pochówku zabitych.

Dopiero po wielu latach twojej pracy dla organizacji szef komórki nabiera ta-

kiego zaufania do ciebie i twojej mądrości, że pewnego dnia mówi:

– Zrobisz tak – porwiesz gościa, dostarczysz go do tego a tego, potem poczekaś, aż go pochowają i to by było na tyle.

*Mówiąc, szkicuje rysunek opisywanej operacji.*

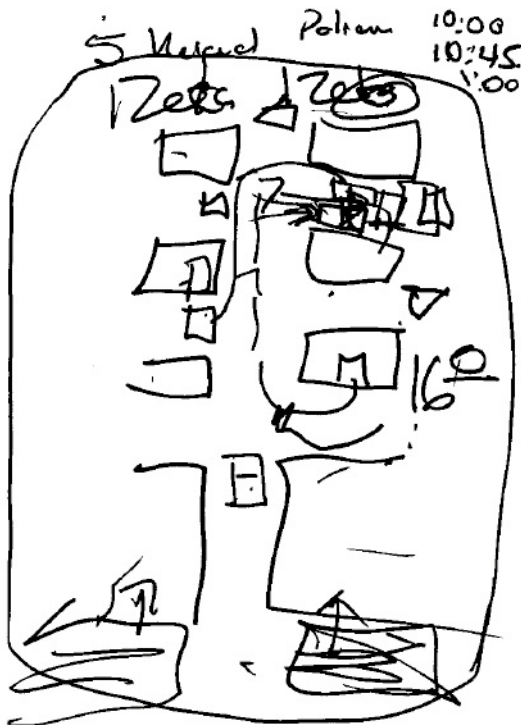


Mamy ulicę. Tu jest park, a tu sala widowiskowa. Człowiek, który ma zostać porwany, będzie wcześniej obserwowany. Do tego potrzeba dwóch ludzi zwanych *ojos*, oczy. Będą przyglądać się wyznaczonemu domowi z różnych punktów obserwacyjnych. Zobaczą dokładnie, kiedy ten człowiek wychodzi i wraca do domu, gdzie bywa, z kim chodzi do restauracji i tak dalej... Przez cały tydzień lub dłużej będą dokładnie śledzić jego rozkład dnia i chodzić za nim krok w krok.

„Oczom” będą pomagać dwa samochody – nie prywatne auta, ale radiowozy policyjne. Gdy zwykły obywatel dokądś jedzie i widzi podążający za nim oznakowany samochód policyjny, ani przez chwilę nie będzie podejrzewał, że zostanie porwany lub przypadnie bez wieści. Bo przecież policja jest po to, żeby służyć i chronić obywateli. Ten człowiek nie będzie przecież podejrzewał, że funkcjonariusze policji – jeszcze w akademii – są werbowani, kupowani i opłacani przez handlarzy narkotyków i mają do wykonania konkretne zadania w organizacjach przestępczych<sup>35</sup>).

35) Ludzie, którzy pracowali dla organizacji handlujących narkotykami, wykonywali te zadania zarówno na służbie, jak i poza nią. W kolejnym wywiadzie *El Sicario* opisał, jak płacono patrolom po kilkaset peso, żeby nie przeszkadzały podczas imprez lub jakichś przestępczych działań.

Po tygodniu inwigilacji, gdy już wiadomo, dokąd i jakimi trasami przemieszcza się obserwowany człowiek, wyznacza się zespół złożony z pięciu samochodów. Parkują one w różnych miejscach wokół domu obserwowanego człowieka. „Oczy” nadal prowadzi inwigilację. W dniu akcji najpierw uprzedza się policję, żeby wycofała wszystkie patrole z wyznaczonego sektora. Ta informacja nie trafia do funkcjonariuszy z patroli, ale do samego szefa policji. Wygląda to tak – dzwoni ktoś do komendanta i mówi: „Chcemy, żeby w tej okolicy nie było przez jakiś czas żadnego policjanta”. Czasem każe komendantowi zwołać zebranie policjantów na określoną godzinę, na przykład od dziesiątej do za piętnaście jedenasta. Wiadomość brzmi tak: „Nie chcemy żadnej policji na ulicach... Mamy robotę”.



Ofiara wychodzi z domu. Na ulicy czeka radiowóz albo dwa, które wyglądają jak policyjne, ale należą do gangsterów. Samochody ruszają do akcji, jadą za obserwowanym człowiekiem i go zatrzymują. Czasami ofiara nie chce się zatrzymać. Gdy facet jest naprawdę *plebe malandro*, po prostu bardzo złym człowiekiem, wie, że jest winien szefowi pieniądze i że nie czeka go nic dobrego, to raczej nie zatrzyma się na wezwanie patrolu. Dlatego właśnie wokół domu czeka pięć samochodów – jak na obrazku.

*Szkicuje w zeszycie plan – jeden, dwa, trzy, cztery, pięć samochodów w postaci małych klocków – jak trener futbolu omawiający jakieś zagranie.*

„Oczy” cały czas podążają za ofiarą. Spośród wszystkich samochodów tylko jeden będzie wykorzystany przy zabiciu lub porwaniu śledzonego człowieka. Jeśli radiowóz nie jest w stanie go dopaść i zatrzymać, wtedy pozostałe samochody za-

blokują mu drogę, nawet jeśli miałyby dojść do kolizji. Tu pojawia się pytanie – czy szef chce mieć tego człowieka żywego, czy martwego? Jeśli martwego, sprawa jest prosta.

„Oczy” jadą, drugi samochód rusza, a ten, który ma zatrzymać ofiarę, pozostaje z tyłu. Równocześnie kolejne auto blokuje drogę z przodu. Nigdy nie docho-  
dzi do ognia krzyżowego. Jeden samochód podejżdza z boku, padają strzały i akcja się kończy. Wszyscy się wycofują. Wystarczą niecałe trzy minuty i wszystkie pięć samochodów znajduje się sześć czy siedem przecznic dalej – w starannie strzeżo-  
nych dziuplach. A ty po prostu odchodzisz z miejsca akcji, wsiadasz do podejżdza-  
jącego auta i jedziesz na obiad do pobliskiej restauracji. Jesteś spokojny i opanowa-  
ny, jakby nic się nie zdarzyło.

Wszystkie policyjne patrole zostały wezwane na zebranie, więc policja zja-  
wia się na miejscu zdarzenia najwcześniej po godzinie. Do tego czasu miejsce  
zbrodni jest zatem dostępne dla gapiów, którzy chodzą, sprawdzają, co się zdarzyło  
i zacierają wszelkie pozostawione ślady. W pobliżu kręci się też kilku kieszonkow-  
ców, którzy wyciągają gapiom portfele. To wszystko elementy naszego planu.

Są jednak takie przypadki, kiedy szef chce dostać żywego człowieka, a to  
wymaga innej strategii.

Musisz wtedy obserwować cel bardzo uważnie od chwili, kiedy opuszcza  
dom, poczekać na odpowiednie miejsce, w którym można go zatrzymać, a następ-  
nie zmusić do wyjścia z auta. Gdy wysiądzie z samochodu, trzeba błyskawicznie  
zapakować go do swojego auta. Towarzyszy temu uczucie, którego nie określiłbym  
jako strach, ale raczej jako przyływ adrenaliny. Taka jest ludzka natura... A skoro  
sam jesteś człowiekiem, to wiesz, że nie wystarczy po prostu powiedzieć do gościa:  
„Cześć, chodź ze mną” i spodziewać się, że cię posłucha.

On nie ma zamiaru cię posłuchać. No więc podchodzisz i musisz go złapać,  
przyłożyć mu, skuć go i wsadzić siłą do swojego samochodu. Nie jesteś jednak na  
drodze sam. Z przodu masz trzy auta, a z tyłu kolejne dwa. Jeśli prawdziwy patrol  
policyjny odważyłby się podjąć interwencję, wtedy jeden z tych samochodów może  
staranować radiowóz, a gdy policjanci nie zrozumieją tego przekazu, niewykluczo-  
ne, że trzeba ich będzie ostrzelać.

Gdyby podczas pobytu w akademii policyjnej kadeci wiedzieli, że są szkole-  
ni, by służyć określonej osobie czy organizacji i będą musieli wykonywać polece-  
nia... Teraz, kiedy nadszedł czas pracy, otrzymują rozkazy od jednego z szefów or-  
ganizacji handlującej narkotykami, zdają więc sobie sprawę, że albo go wykonają,  
albo zostaną zabici. Tak właśnie przedstawia się sytuacja. Co innego, kiedy spokoj-  
nie mówi się policjantom, żeby zeszli z drogi, a co innego, gdy słyszą rozkaz, który  
nie pozostawia żadnego wyboru, bo mają po prostu wypierdalać z drogi! Właśnie  
dlatego policja daje się szykanować i jest teraz tak bardzo krytykowana<sup>36</sup>).

36) *El Sicario* nawiązuje do niezwyklej eskalacji przemocy, jaka zaczęła się

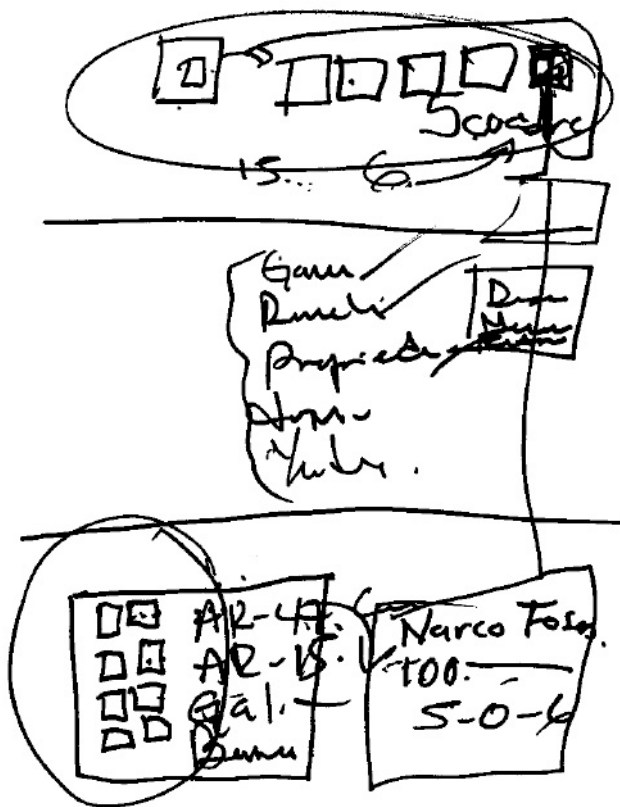
w styczniu 2008 roku i trwa do dziś.

Jeszcze kilka lat temu narkotykowi baronowie szanowali życie kobiet i dzieci. Jednak mniej więcej od 2008 roku zapomniano nawet o tej zasadzie. Dlaczego? Otóż *narcos* zaczęli werbować kobiety, które pracują dla nich jako egzekutorki dłużników. Na dodatek usiłują one chronić siebie, wykorzystując swoje dzieci jako żywe tarcze. Niepisana zasada przestała zatem działać. Dawniej, jeśli ofiara wychodziła z domu z dzieckiem, misja była przerywana, dopóki dziecko było przy niej obecne. Do zabójstwa dochodziło kiedy indziej. Teraz takie reguły już nie obowiązują.

Dokąd zabiera się porwanych? Powiedzmy, że kogoś łapiesz. Wyciągasz go z auta, pakujesz do innego samochodu. Zawsze, ale to zawsze kryjówka będzie się znajdowała nie więcej niż pięć przecznic – taka jest największa dopuszczalna odległość – od miejsca porwania. Samochód wjedzie do garażu, drzwi się zamkną, porwany zostanie wyciągnięty z pojazdu i rozpocznie się przesłuchanie. Często po takim przesłuchaniu ofiary jeszcze żyją. W zależności od tego, co tacy ludzie są winni szefowi, i co mogą dać, pozostają przy życiu przez pewien czas – jedni przez kwadrans, inni przez sześć miesięcy. Wyobraźcie to sobie: porwanie, sześć miesięcy życia w komórcie i jeden posiłek dziennie.

Przez cały ten czas pracujemy też z członkami rodziny porwanego, zmuszając ich, także siłą, do przekazania nam całego majątku – bydła, ziemi i innych nieruchomości, biżuterii, jachtów – wszystkiego, co mają. Dokładnie wszystkiego. Gdy planujemy porwanie dłużnika, dysponujemy dokładnym wykazem jego majątku i listą wszystkiego, co chcemy mu zabrać. Po miesiącu, dwóch lub trzech wysyłamy rodzinie film, żeby pokazać, że ich ukochany krewny żyje i wzmocnić w niej przekonanie, że bezpiecznie wróci do domu.

Gdy jednak zabierzemy mu już wszystko, pozbawiając majątku także całą rodzinę, zostanie natychmiast zabity. Ten punkt programu nazywa się *carne asada*, grillowanie. Ludzie pracujący w dziale „chłodniczym” lub „mięsa na zimno” odpowiadają za zabijanie ofiary oraz ćwiartowanie i grzebanie zwłok. Nie zawsze grzebie się je w miejscu morderstwa. To trudna sprawa. W każdym razie, kiedy dochodzi do egzekucji, zwłoki przewożone są samochodami w miejsca, które w ostatnich latach nazywają się *narco-fosas*, czyli narko-groby. Myślę, że tu, w rejonie przygranicznym... Dobrze, można powiedzieć, że jeśli takich *narco-fosas* jest sto, to odkryto zaledwie pięć lub sześć z nich.



W dziuplach trzyma się wiele skradzionych pojazdów. Jeśli garaż pomieści dziesięć samochodów, to właśnie tyle będzie się w nim znajdowało. Samochody wykorzystuje się do przewożenia zamordowanych ludzi i do transportu narkotyków. Wszystkie pochodzą z kradzieży. Podczas wykonywania naszej roboty, często zostają poważnie uszkodzone i musimy się ich pozbywać.

Wszyscy ludzie pracujący w takich organizacjach przeszli w akademii szkolenie w zakresie wykorzystania sprzętu taktycznego – wojskowych butów i mundurów, beretów, masek i rękawic. Wszystkich przeszkolono w posługiwaniu się karabinem AR-15 oraz kałasznikowem, zwanym potocznie *cuerno de chivo*, czyli kozim rogiem. „Żołnierze” używają też izraelskich karabinów Galil, Barrettów, wielkokalibrowych karabinów mogących unieszkodliwić pojazdy opancerzone oraz takiej broni, jaką dysponuje wyłącznie wojsko.

Całe szkolenie odbywa się w akademii. Baronowie narkotykowi kupili i opłacili wielu ludzi, którzy podobnie jak ja zdobyli wszystkie te umiejętności podczas nauki w szkole policyjnej. Później *narcos* po prostu zbierają plon tego, co sami zasiali. Kiedy ktoś – tak jak ja – postanowi odejść ze służby na rzecz kartelu, zostanie zabity.

Przychodzi czas, kiedy zespoły są już tak doskonale wyszkolone... objaśnię to dokładniej. Zespół składa się z pięćdziesięciu członków. Dwudziestu z nich zostaje wyznaczonych do pilnowania i transportu narkotyków. Kolejnych dwudziestu



zajmuje się porwaniami i egzekucjami, natomiast dziesięciu ma za zadanie ochraniać osobę, która kieruje komórką.

Ile komórek działa w mieście? W ostatnich latach było ich... no dobrze, powiedzmy, że rozmawiamy o naprawdę poważnych gościach... El Chapo<sup>37)</sup> może mieć ich w Ciudad Juárez pięć, *don Vicente*<sup>38)</sup>, jako że jest szefem *plazy*, może mieć nawet dwadzieścia. Inne grupy, niepozostające w związku z żadnym ze wspomnianych szefów wielkich karteli, także mogą mieć w mieście parę czynnych komórek. Pomiędzy nimi wszystkimi obowiązuje – lub obowiązywał – podział rynku. Problem się zaostrzył, gdy członkowie poszczególnych komórek zaczęli za sobą walczyć.

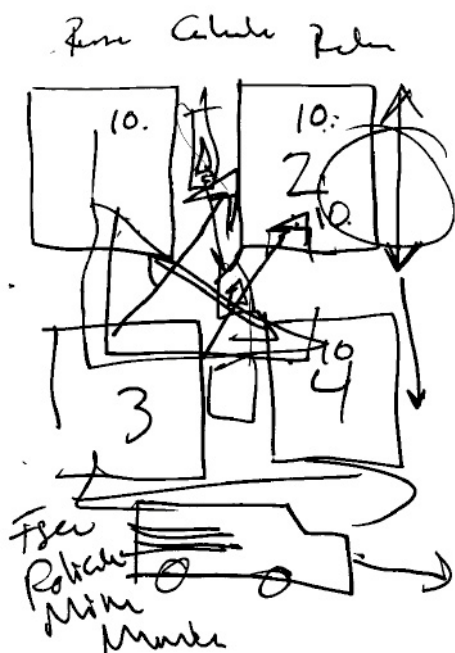
37) Boss kartelu z Sinaloa, Joaquin „El Chapo” Guzman Loera, jest uznawany za jednego z najbogatszych ludzi nie tylko w Meksyku, ale i na świecie. Podobno walczy w tej chwili z Vicente Carrillem Fuentesem o kontrolę nad *plazą* w Juárez. Zob. M.J. Stephey *Joaquin Guzman Loera: Billionaire Drug Lord*, „Time”, 13 III 2009, [www.time.com](http://www.time.com).

38) Vicente Carrillo Fuentes uchodzi za przywódcę wielkiej, słynącej z okrucieństwa organizacji zajmującej się handlem narkotykami, znanej jako Organizacja Vicente’a Carrilla Fuentes. Grupa ta jest prawdopodobnie odpowiedzialna za przewożenie każdego roku wielu ton kokainy i marihuany przez przejście graniczne Ciudad Juárez–El Paso. Zob. [www.fbi.gov](http://www.fbi.gov).

Jedną z najważniejszych spraw, z jakimi się zetknąłem, będąc w centrum tego wszystkiego, było...

*Rysuje wykres struktury komórki, do której wówczas należał.*

...Załóżmy, że były cztery komórki. Należałem do tej, która dobrze się dogadywała na przykład z ludźmi z czwartej. W ten sposób członkowie obydwu pracowali wspólnie i mogli liczyć na wzajemną pomoc. Ale dziesięciu innych facetów z komórki – dajmy na to – numer dwa zachowywało się naprawdę niewłaściwie – za dużo pili, gwałcili kobiety, znęcali się nad ludźmi, otwierali paczki z narkotykami i dealowali nimi, a to wszystko było zakazane. Co się zatem stało?



My w tych sprawach nie mieliśmy nic do powiedzenia – rozkazy przychodziły z góry. Zwoływano zebranie komórki, która sprawiała kłopoty. Gdy goście pojawiali się w umówionym miejscu, rozbrajano ich, obezwładniano, skuwano i zabijano. Wszystkich, co do jednego. Przewiezienie zwłok dziesięciu mężczyzn stanowiło jednak poważny problem. Ciała nie mieściły się do żadnego zwykłego pojazdu. W takich sytuacjach używano ciężarówki z zamkniętą paką eskortowanej w drodze na miejsce pochówku przez policję państwową.

Zmarłych nie zawsze jednak grzebie się w ziemi.

Pamiętam powszechnie znaną i głośną sprawę. Rozkaz, bezpośredni rozkaz, wydał człowiek znany jako El Cora. Zawierał on polecenie zabicia doktora Victora Manuela Oropezy. Ten lekarz był zarazem felietonistą piszącym do jednej z gazet w Juárez. Pytanie brzmiało: Kto wykona zlecenie? Wiadomo, że trudno jest zamordować kogoś, kto był w Juárez tak poważany i ceniony jako dziennikarz.

Właśnie z tego powodu w sprawę nie chciała się wplątywać żadna z komórek działających wtedy w mieście. Istniała jednak pięcioosobowa grupa pod kierownictwem El Cory, zajmująca się wyłącznie egzekucjami ludzi na ulicach. I właśnie oni przyjęli zlecenie. Opracowano i zrealizowano plan, zabijając doktora w jego gabinecie.

Jak jednak doskonale wiadomo, bo informacje o sprawie wielokrotnie pojawiały się w mediach, nie wszystko ułożyło się zgodnie z zamysłem. Morderstwo miało wyglądać na efekt napadu rabunkowego. Zabójcy nie byli jednak zbyt dobrze przygotowani i zapomnieli zabrać portfel ofiary. Wyciągnęli jakieś pieniądze, lecz w zamieszaniu zgubili je i zostawili na miejscu zbrodni.

Ta sprawa okazała się bardzo istotna. Kiedy El Cora przybył z Sinaloa do

Chihuahua, żeby dokonać egzekucji, doszło do przełomu. Po tym wydarzeniu, które wzbudziło powszechne oburzenie, wraz ze swoją grupą zaczął tracić wpływy. A byli to naprawdę zaufani ludzie. Morderstwo doktora otworzyło drogę do przejęcia *plazy* w Juárez przez El Señora de los Cielos, Pana Niebios, Amada Carrilla, który został szefem kartelu z Juárez.

A teraz kilka słów o El Corze, bo taki był pseudonim wspomnianego człowieka – El Cora de Sinaloa. Przed przejęciem władzy przez El Señora de los Cielos to właśnie on, wraz z pewnym porucznikiem armii, przewodził grupie zabijającej ludzi na zlecenie kartelu. Operował na terenie Sinaloa, Durango, Torreón, Chihuahua i Sonory. Wedle mojej wiedzy dobrze wykonywał swoją pracę. Nie był wojskowym, ale miał przy sobie oficerów armii. Stał na czele wyspecjalizowanej, profesjonalnej grupy zajmującej się egzekucjami. Jej członkowie przyjeżdżali na *plazę*, wykonywali rozkaz likwidacji określonego człowieka, po czym znikali. Nie zajmowali się niczym innym – byli specjalistami w swojej dziedzinie. Nigdy nie zostawiali ciał na ulicy, nie zabijali rodzin ani nie wdawali się w strzelaniny w środku miasta. W tamtym okresie, na przełomie lat 80. i 90., El Cora działał z sensem. Zdawał sobie sprawę z sytuacji. Nie tykał kobiet ani dzieci. Jeśli otrzymywał rozkaz zabicia człowieka, wykonywał zadanie i słuch o gościu ginął – facet zniknął i lądował w grobie.

Jednak wtedy, gdy doszło do partactwa przy morderstwie doktora Oropezy, El Cora tracił już wszelką władzę. Nie był w stanie kontrolować tego, co się działo na granicy. Gdy różne komórki zaczęły skupiać w swoich rękach coraz większą władzę, każda z nich podjęła się przemytu narkotyków do USA na własną rękę. Następnie poszczególne grupy zaczęły szukać prostszych sposobów na transport narkotyków na terytorium Stanów, co stało się przyczyną nowych problemów. Transporty zaczęły ginąć. Pomiędzy wspomnianymi pięcioma komórkami wybuchła taka rywalizacja, że doszło do walki o kontrolę nad *plazą*.

*W kolejnej rozmowie, która nie została nagrana, El Sicario ujawnił więcej szczegółów związanych ze sprawą zabójstwa doktora Oropezy. Była ona dla niego ważna, ponieważ miała miejsce mniej więcej wtedy, gdy zaczynał karierę w policji stanowej, a ludzie El Cory brali udział w jego szkoleniu. Ofiara była postacią znaną, więc sprawa stała się głośna, a władze wszczęły śledztwo, które jednak zabrnęło w ślepy zaułek. W swoich ostatnich felietonach doktor Oropeza wyśledził związki niektórych funkcjonariuszy policji z organizacjami, które zajmowały się handlem narkotykami i działały w jego mieście. Okazuje się, że ci sami policjanci, którzy byli odpowiedzialni za śledztwo w sprawie morderstwa, powinni zostać umieszczeni w gronie podejrzanych o popełnienie tej zbrodni. Informacje o tym pojawiły się w swoim czasie zarówno w prasie meksykańskiej, jak i zagranicznej, ale El Sicario zna szczegóły tej sprawy z pierwszej ręki, ponieważ został wyznaczony do zapewnienia schronienia koledze z policji stanowej, który miał związek z morderstwem.*

Wtedy właśnie wkroczyła do akcji grupa, do której należałem. Nazwijmy ją zespołem taktycznym. Skąd taka nazwa? Otóż był to zespół, który znał się na broni. Nasze umiejętności i sprawność zapewniały nam możliwość poruszania się po całym mieście. Umieliśmy działać jak policja, bo przecież byliśmy policjantami. Zналиśmy rozkład dnia każdego z namierzonych celów, ponieważ bez przerwy ich śledziliśmy. Mieliliśmy dziuple z urządzeniami do podsłuchu i nagrywania rozmów przez komórki. Mogliśmy też przechwytywać i rejestrować wszystkie SMS-y.

Każda komórka miała przypisany numer. Jeden zaczynał się od 229, inne od 221, 223, 224... Nie musieliśmy kupować telefonów, bo dostawaliśmy je od szefów. Jeden był przeznaczony do komunikacji z rodziną. Drugi do pracy. Kolejny do odbierania połączeń od szefa. W tamtym czasie, zajmując taką a nie inną pozycję w grupie, miałem do dyspozycji nawet osiem telefonów. Musiałem mieć bezpośredni dostęp do służb bezpieczeństwa publicznego – policji miejskiej, stanowej policji kryminalnej, federalnej policji kryminalnej, przedstawicieli policji państwowej przyjeżdżających z innych stanów oraz policji specjalnej.

Gdy pojawił się wspomniany problem<sup>39)</sup> i wysłano grupę taktyczną, by opłamała to, co wymykało się spod kontroli, stworzono zespół, do którego należał sierżant ze służb bezpieczeństwa publicznego oraz około czterdziestu ludzi. Z naszej strony przydzieliliśmy kolejnych pięćdziesięciu chłopaków. W ten sposób powstał zespół złożony z dziewięćdziesięciu mężczyzn wyszkolonych przez wojsko. Wszyscy umieli posługiwać się bronią, znali techniki obronne, potrafili prowadzić pościg samochodem i wiedzieli, jak podsłuchiwać rozmowy prowadzone przez komórki. Zнали techniki przesłuchiwania i mieli meliny w całym mieście. Celem tego zespołu, złożonego z dziewięćdziesięciu wyszkolonych mężczyzn, była likwidacja pięciu czy sześciu osób<sup>40)</sup>. Okazało się, że bardzo trudno się ich pozbyć.

39) *El Sicario* odnosi się tu do chaosu, jaki spowodowało zabójstwo Oropezy, oraz do toczącej się później walki o kontrolę nad *plazą* w Juárez.

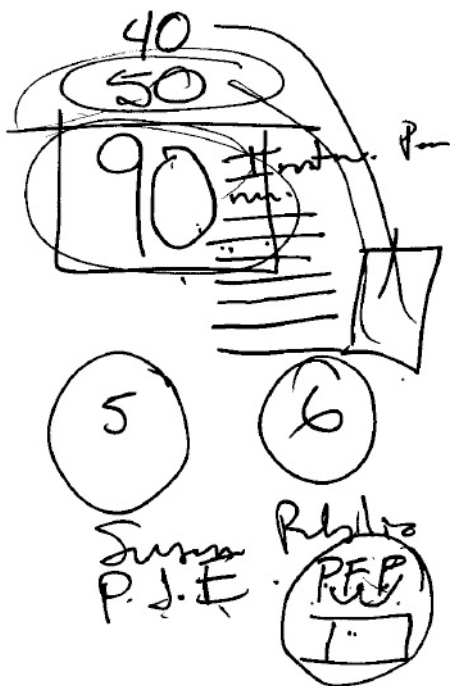
40) Byli to dowódcy w różnych jednostkach policji.

Zespół taktyczny przez jakiś czas trzymał się razem. Byliśmy odpowiedzialni za usunięcie kilku wysokich dowódców służb bezpieczeństwa publicznego. Pozbyliśmy się komendantów stanowej policji kryminalnej – działaliśmy naprawdę doskonale. Pamiętam, że kiedyś przysłano do Juárez dowódcę z federalnej policji do spraw prewencji. Jeździł opancerzonym jeepem cherokee. Problem z nim polegał na tym, że nie miał zamiaru dojść do porozumienia z organizacjami zajmującymi się handlem narkotykami. Żeby go zatem przekonać o tym, jak silny jest nasz zespół, i pokazać, że ten opancerzony jeep nie zapewni mu całkowitego bezpieczeństwa, pojazd skradziono z parkingu przed komendą, zabrano do parku i spalo-

no. Do tamtego czasu komendant myślał, że nie może go spotkać nic złego. Sądził, że jest nietykalny. Jednak po tym fakcie zrozumiał, że ma do czynienia z naprawdę potężną organizacją, która jest świetnie zorganizowana, zadomowiona w mieście, stosuje skuteczną strategię, a jej członkowie są całkiem zdeprawowani. Zrozumiał, że musi zgodzić się na to, co mu zaproponowano.

Co się stało później? Po tym, jak udało nam się załatwić sprawę z pierwszymi przedstawicielami federalnej policji do spraw prewencji, którzy pojawili się w stanie Chihuahua? Organizacje handlujące narkotykami zaczęły odzyskiwać kontrolę nad *plazą* i wprowadzać pewien porządek po okresie chaosu i anarchii. Ale w związku z tym, że nasz zespół – dziewięćdziesięciu mężczyzn, którzy zaczęli działać razem – kontrolował alkohol, narkotyki i inne artykuły konsumpcyjne, zaczęto robić wśród nas porządki. Z dziewięćdziesiątki zostało najpierw trzydziestu, a potem tylko piętnastu. Co się stało z pozostałymi? Nigdy się tego nie dowiedziałem<sup>41</sup>).

41) *El Sicario* nie podaje szczegółowych informacji ani nazw grup walczących w tamtym czasie o kontrolę nad *plazą*. Wydaje nam się, że chodziło o wewnętrzne konflikty kartelu z Juárez. *El Sicario* sugeruje, że czasami dostawało się rozkaz zabicia człowieka, z którym się niedawno współpracowało, a ludzie pozostający w hierarchii na takim szczeblu jak on wykonywali takie zadania, nie zadając zbędnych pytań.



W tamtym okresie pracowałem w Juárez, Chihuahua, Sinaloa lub Durango i nie sprawiało mi to żadnego problemu. Wystarczyło przyjechać na lotnisko, wsiąść do samolotu i lecieć. Nic trudnego. Broń i gotówkę także przewożono pry-

watnymi samolotami. Na każdym lotnisku wszystko było zorganizowane w ten sposób, że loty małych prywatnych samolotów typu cessna nadzorowali żołnierze, loty komercyjne pozostawały natomiast pod kontrolą federalnej policji do spraw prewencji, więc wszystko robiono według naszych wymagań. Jeśli czegoś nie można było wnieść na pokład ze względu na wykrywacze metali (na przykład broni, niewielkich ilości narkotyków czy gotówki przekraczającej dziesięć lub sto tysięcy dolarów), wkładano to do teczki i przekazywano nam, gdy byliśmy już w samolocie.

Do czego zmierzam? Piętnastoosobowa grupa musiała jeździć do Sinaloa, Sonory, Durango i Chihuahua, gdzie obowiązywał układ z gubernatorem o nietykalności pewnych osób. Jeździliśmy jednak do tych stanów, by znaleźć ludzi, którzy byli winni pieniądze, a naszym zadaniem było dokonanie egzekucji. Gdy wysyłano naszą grupę, nikt się nie zastanawiał, czy uda się wykonać zadanie, czy nie. Musiało być wykonane i już. Wiedzieliśmy, co mamy zrobić. Zgodnie z naszymi zasadami, gdy jeden z członków zostałby zabity lub ranny, nie można go było opuścić. Tworzyliśmy elitarną – już tylko piętnastoosobową – grupę, więc gdy ktokolwiek padał w akcji, reszta musiała go podnieść i zabrać ze sobą. Nikogo nie można było zostawić samego.

Niestety, zdałem sobie sprawę z tego, że... To wynikało prawdopodobnie z narkotyków, które brałem, i z mojego stylu życia... Miałem poczucie, że jestem nietykalny – jeśli ktokolwiek krzywo na mnie spojrzał, natychmiast stawałem przed nim twarzą w twarz, pytając: „Hej, czego chcesz?”, a potem po prostu wyciągałem pistolet i strzelałem... Nigdy jednak nie byłem całkowicie pewny, że gdy sam oberwę, to któryś z moich kumpli mnie wyciągnie. Nie miałem tej pewności... Wydawało mi się bardziej prawdopodobne, że mnie zabiorą, a potem zabiją, żeby nie zostawić żadnych niedoróbek. Gdy teraz zastanawiam się, co się stało z tym piętnastoosobowym zespołem, to wydaje mi się, że ośmiu członków nadal żyje. Spośród tych ośmiu prawdopodobnie pięciu pracuje nadal w zespole. Nie mam pojęcia, co się dzieje z pozostałą trójką. Nie wiem, jak potoczyły się ich losy.

Jak doszedłem do tego, że zabijałem ludzi bez żadnych skrupułów? Dotarłem w swojej karierze i w swoim życiu do takiego punktu, w którym zarabiałem mnóstwo pieniędzy. Ten moment przychodzi wtedy, gdy słyszysz: „Zapłacimy ci pięć tysięcy dolarów miesięcznie”. Są jednak ludzie, którzy są bardzo ważni, niezwykle wpływowi i mają wokół siebie mnóstwo ochrony. Wtedy wraca twój szef i mówi:

– Zróbmy układ. Pozbądź się tego człowieka, a zapłacimy ci czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Zbierz swój zespół i zajmij się tą sprawą.

– Zgoda.

W pewnym momencie, gdy jesteś dobrze wyszkolony, masz niezbędne umiejętności i doświadczenie, można wykonać takie zadanie z grupą liczącą nie więcej niż cztery osoby. Gdy jednak pracujesz z zaledwie czteroosobową ekipą, żaden

z jej członków nie może okazywać strachu. Kiedy choćby jeden się boi, robota zostanie spartaczona. Gdy ktoś nie panuje nad strachem, zawodzą nerwy, a wtedy zadanie nie może zostać wykonane. Nie jeden i nie dwa razy musieliśmy odwołać akcję z powodu człowieka, który stracił zimną krew i nie można było na niego liczyć.

Co musieliśmy zrobić, żeby mieć pewność, że się uda? Jak przygotowywaliśmy się do zadania? Przede wszystkim prawie w ogóle nie spaliśmy i braliśmy dużo narkotyków. Całymi dniami piliśmy i ćpaliśmy. Nagle ktoś dzwonił.

– Osoba, której szukacie, je obiad w restauracji.

– W porządku.

Jedziemy zatem we czterech dwoma samochodami, a za nami sunie kolejne auto na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Jedna osoba wysiada, druga stoi przy drzwiach, a reszta wypatruje policji i drogi ucieczki. Co chcemy teraz zrobić z tym facetem? Zależy, jakie mamy zlecenie. Opcja pierwsza: stajemy przed nim i dokonujemy egzekucji.

*Uderza w stół pięć razy, naśladując odgłos wystrzałów.*

Druga opcja zakłada konieczność przesłuchania gościa, więc musimy go wziąć żywcem. Skoro otrzymujemy rozkaz pojmania żywcem, to musimy go pojąć żywcem.

Trzecia możliwość polega na tym, żeby obezwładnić, pobić, torturować, ale nie zabijać.

Jeden z najtrudniejszych rozkazów do wykonania, a zarazem rzecz, najtrudniejsza do pojęcia to sytuacja, gdy siedzisz na mecie z człowiekiem, który jest już dokładnie stłuczony, czeka na niego wykopany dół, a tu nagle słyszysz w słuchawce, że masz go nie zabijać.

– Ma żyć.

Pamiętam kilka takich akcji, że wysyłali nas z poleceniem porwania jakiegoś człowieka. Nie mieliśmy dokonywać egzekucji na miejscu, tylko go złapać, a zabić dopiero później. Co zatem robiliśmy? Porywaliśmy gościa, zawoziliśmy w bezpieczne miejsce, a potem rozpoczynaliśmy egzekucję. Nagle, ni stąd ni zowąd dzwoni telefon.

– Czekaj, czekaj, to szef...

– Tak, proszę pana. Jakie są pańskie rozkazy? Tak, proszę pana, tak, proszę pana, tak, proszę pana... Tak, proszę pana, tak, proszę pana.

– Stój! Stój!

W tym przypadku rozkaz polegał na przywróceniu do życia gościa, który znalazł się już na krawędzi śmierci, tuż-tuż, zaledwie kilka sekund od uduszenia. Musieliśmy go jakoś rozruszać.

– Ożywcie go.

– To niemożliwe. Proszę pana, potrzebujemy lekarza, nie damy rady go po-

stawić na nogi, praca była bardzo zaawansowana, proszę pana. Tak, proszę pana.

Dla narkotykowych baronów nie ma jednak rzeczy niemożliwych.

Minęło ledwie kilka minut i już pojawił się lekarz – oczywiście nie w karetce, ale dyplomowany medyk. Lekarz przywrócił pacjenta do życia i zostawił go w naszych rękach w stanie stabilnym. A my znowu przejęliśmy ster.

Mogło minąć pięć, dziesięć, piętnaście, a nawet trzydzieści dni, ale nie stanowiło to żadnego problemu, ponieważ naszym zadaniem było wyłącznie utrzymanie tego człowieka przy życiu. Po to tam byliśmy – mieliśmy go doglądać i strzec aż do kolejnego telefonu.

Gdy dzwonił, oznaczało to wyzwolenie – zarówno dla nas, jak i dla ofiary.

– Tak, proszę pana, jakie są pańskie rozkazy? Jesteśmy tutaj i czekamy, proszę pana. Nie, nie, on się czuje dobrze. Je. Co je? Ha! Nie, nie, jest w porządku... nabiera sił. Aha, aha. Dobrze, proszę pana, jak pan sobie życzy.

Tym razem nasz przyjaciel nie miał takiego szczęścia. Być może jego rodzina zapłaciła już wcześniej. Być może utrzymywaliśmy go przy życiu tylko po to, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo, traktując go jak polisę. Być może miał być żywy tylko na jakiś czas, żeby porozmawiać z rodziną... Ale rozkaz, jaki pojawił się w rozmowie brzmiał:

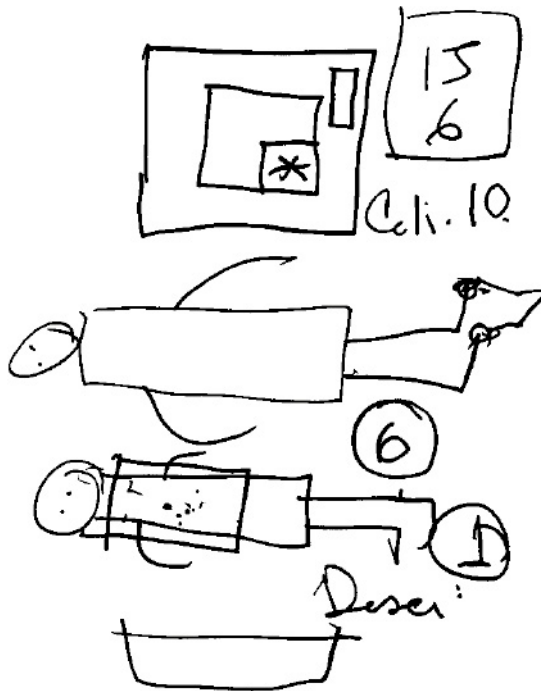
– Załatwcie go. Skończcie z nim.

Teraz dla tego człowieka, który już został ocalony, gdy o mało go nie zadusił na śmierć, nie było jednak odwrotu. Tym razem telefon nie zadzwonił. Tym razem musieliśmy pociągnąć za sznur, i to bardzo mocno.

*El Sicario zaczyna opisywać sposoby torturowania ludzi w celu wydobycia z nich informacji. Mówiąc, rysuje coś w zeszycie.*

Cóż, są różne sposoby zabijania. Żaden z nich nie jest specjalnie przyjemny. Najłatwiej jest ich po prostu zastrzelić. Jednak prawie żaden z bossów nie chce, żeby umierali szybko czy bezproblemowo. Co się zatem robi? Dusi się ich, zadaje cierpienie, wyrywa paznokcie jeden po drugim, wbija pod paznokcie igły. Znamy techniki, które sprawiają, że zaczynają mówić.





Weźmy dla przykładu prąd. Ubranie moczy się w wodzie, a następnie podłącza ciało do gniazdka elektrycznego kablem dziesiątką, żeby wytrzymał napięcie... Kable mocuje się do palców u stóp i włącza do prądu. Po dwóch dziesięciosekundowych zabiegach człowiek powie ci wszystko, co chcesz, dosłownie wszystko. Zdarzali się jednak bardzo mocni goście, którzy potrafili to wytrzymać. Dla takich jest inna technika.

Człowiek leży zupełnie nago. Przykrywamy ciało prześcieradłem, skrapiamy je benzyną lub alkoholem, a gdy już dobrze nasiąknie, podpalamy zapalką. Płonące paliwo powoduje, że z ciała odchodzą nawet trzy warstwy skóry. Plecy zostają spalone do żywego mięsa. Zużyliśmy do tego nawet litr alkoholu. Cierpienie takiego człowieka jest straszliwe.

Są jeszcze inne sposoby prowadzenia przesłuchań i metody, które ciężko sobie nawet wyobrazić.

Czasami mieliśmy do czynienia z ludźmi, którymi trzeba się było zajmować nawet przez sześć miesięcy. Zdarzały się błędy, więc dostawaliśmy rozkazy postawienia ich na nogi przed wypuszczeniem do domu. Mijało nawet sześć czy osiem miesięcy, a rodziny nie miały żadnych wieści o losie swojego bliskiego. Czasem pozostawiano takich ludzi przy życiu, ale nigdy, przenigdy nie mogli zobaczyć twarzy żadnego członka grupy, który dokonał porwania. Jeśli zobaczyli choćby jednego z nas, byli natychmiast zabijani. Żaden człowiek na świecie po przeżyciu takich cierpień nie byłby w stanie zapomnieć twarzy tych, którzy zafundowali mu takie cierpienie. A mówimy o ludziach, którym nie brakuje pieniędzy ani wpływów. To zazwyczaj osoby, które potrafiłyby znaleźć sposób, żeby dokonać zemsty.

A teraz kilka słów o wykonywaniu rozkazów. W szkole wojskowej funkcjonuje takie powiedzenie: Zawsze są do wyboru dwie zupy – z makaronem albo z gównem, *sopa de fideo o sopa de jodeo*. I zawsze jest tak, że zupa z makaronem właśnie się skończyła. Nie ma nic poza zupą z gównem. I trzeba to łyknąć.

I jeszcze jedno: „Rozkazy są do wykonywania, nie do dyskutowania”. Nigdy nie dyskutowaliśmy. Byliśmy po to, żeby rozwiązywać problemy w imieniu ludzi, dla których pracowaliśmy. Wyszkolili nas do działania. Nie pytali o opinie na temat tego, co zrobić albo czego nie robić z daną osobą. Po prostu wydawali rozkazy, a naszym zadaniem było je wykonać. Nikomu z nas – ani mężczyźnie, ani kobiecie – nie wolno było przedstawić własnej opinii i tego musieliśmy się trzymać.

Mogę wam powiedzieć, że kilka lat temu przyprowadziliśmy do tego właśnie pokoju pewnego człowieka. Nasza trzyosobowa grupa została wysłana, żeby porwać gościa, który był winien pieniądze. Grał na wyścigach konnych i na wyścigach psów, wydając pieniądze, które do niego nie należały. Kiedy okazało się, że nie zapłacił, wysłano grupę, która miała go dopaść.

Byliśmy sympatyczni, poszliśmy do niego do domu, zapukaliśmy do drzwi i zabraliśmy go ze sobą. Wszedł dobrowolnie, a wtedy mu powiedzieliśmy, że ma iść z nami. Musieliśmy z nim pogadać. I przypadek lub przeznaczenie sprawiły, że wylądowaliśmy z nim dokładnie w tym pokoju. Gdy dotarliśmy na miejsce, wszystko było w najlepszym porządku. Usiedliśmy, żeby chwilę porozmawiać. Kiedy się zorientował, co jest grane, że nasza misja polega na wydobyciu od niego pieniędzy, próbował się wyrwać. Nie mieliśmy innego wyjścia – trzeba było mu zadać parę ciosów, związać, skuć kajdankami, zakneblować, żeby nie krzyczał, a następnie zamknąć na kilka godzin w łazience, umieszczając go w wannie.

My w tym czasie odpoczywaliśmy, oglądaliśmy telewizję, zamówiliśmy też hamburgery i pizzę. Po jakimś czasie poszedłem do łazienki, żeby z nim porozmawiać.

– Sytuacja przedstawia się następująco. Ty nie masz żadnego problemu. Problemem są pieniądze, które jesteś winien. Jeśli zapłacisz – a wiemy, że masz pieniądze, jakieś nieruchomości, więc możesz spłacić wszystko – puścimy cię wolno.

Dał mi znak, że w porządku, że zrozumiał. Powiedziałem więc:

– Posłuchaj, jeśli się będziesz zachowywał jak trzeba, zdejmę ci knebel. Musisz porozmawiać z rodziną, powiedzieć, żeby zebrali pieniądze i spłacili to, co wydałeś, a co nie należało do ciebie. Musisz zwrócić wszystko.

Gdy dał znak, że rozumie, zostawiłem go i znowu przez chwilę odpoczywałem, oglądając telewizję. Jeden z chłopaków wszedł. Przez chwilę zostałem z facetem sam na sam. Wypuściłem go z łazienki i pozwoliłem mu usiąść na łóżku. Przełożyłem mu kajdanki zza pleców do przodu. Usadziłem go na łóżku i zaczęliśmy rozmawiać.

– Lepiej ci teraz?

– Tak.

– Czy jesteś gotowy na rozmowę z rodziną, żeby poinformować ją, że mają oddać pieniądze, które wydałeś, choć nie były twoje?

– Tak.

Wtedy, za pierwszym razem, gdy dałem mu telefon... Poczulem, że przygotowuje się, żeby zrobić coś niewłaściwego. Chciał powiedzieć, że został porwany. Złapałem więc telefon, uderzyłem go i nie pozwoliłem mu się odezwać przez pół godziny, a może i dłużej. Zawołałem jednego z chłopaków i powiedziałem, że facet wymaga delikatnej terapii, a dokładnie fizjoterapii.

Wzięliśmy gościa do łazienki i zastosowaliśmy fizjoterapię w wannie, wkładając mu głowę do wody – raz, dwa, trzy razy. Z trudem łapał oddech.

– To jak, teraz już w porządku? Wiesz, że nie żartujemy, tak? Zrób, co trzeba, a nic ci się nie stanie.

Nie chciał rozmawiać z pozostałymi chłopakami, więc wyszli, a on mnie zapytał:

– Czego ode mnie chcecie? Co mam zrobić?

– Nic, po prostu porozmawiaj z rodziną i powiedz, żeby zebrali pieniądze, które wydałeś, choć nie należały do ciebie. Mają je oddać. Jasne?

W tym momencie miałem wrażenie, że mi trochę zaufał, bo nie traktowałem go tak źle, jak inni chłopcy. Byłem przeszkolony do opanowywania takich sytuacji. Zdjąłem mu kajdanki i wręczyłem telefon.

– Trzymaj, dzwoń. Powiedz, żeby zebrali pieniądze i że później się dowiedzą, gdzie mają je dostarczyć.

Tego wieczora, gdzieś koło szóstej lub siódmej, zadzwonił jeszcze raz. Był bardzo spokojny. Potem pozwoliliśmy mu się przespać na łóżku kilka godzin. W nocy znowu założyliśmy mu kajdanki i wsadziliśmy go z powrotem do wanny. Musieliśmy go troszkę postraszyć.

Następnego dnia zachowywał się dobrze i był dość spokojny. Lubił kuchnię włoską, więc pozwoliliśmy mu coś zamówić. Zaczął nam bardziej ufać. Rodzina dostarczyła połowę pieniędzy, które był winien. Daliśmy im kolejny dzień na zebranie pozostałej kwoty. Nadal był spokojny, poruszał się swobodnie po pokoju i oglądał telewizję, odpoczywając na łóżku. Ręce miał skute kajdankami, ale mógł je trzymać z przodu. Ufał mi na tyle, że w pewnej chwili powiedział:

– Słuchaj, przepraszam za to, co zrobiłem. Nie powinienem był wydawać tych pieniędzy. Strasznie dużo piłem, przegrywałem na wyścigach... Ale wszystko będzie w porządku, jeśli tylko splecą resztę, prawda?

Powiedziałem mu, że gdyby coś było nie tak, nie mógłby się swobodnie poruszać.

– Nie byłoby cię tutaj, w tym miejscu. Nie w takich warunkach.

On mi na to powiedział:

– Przysięgam, zapomnę was, zapomnę, jak wyglądacie.

Uspokoilem go, mówiąc, żeby się nie martwił, bo skoro płaci, to wszystko jest w porządku. Trzeciego dnia rano dostarczyli kolejną część pieniędzy. Tego samego ranka przed wpół do jedenastej, gdy on leżał na łóżku, zadzwonił telefon i dowiedzieliśmy się, że mamy go dostarczyć na drugą stronę granicy. Tak też zrobiliśmy. Pojechał bez kajdanek na tylnym siedzeniu samochodu. Zapytał, dokąd go wieziemy. Powiedziałem, że wszystko jest w porządku, ale szef chce z nim jeszcze porozmawiać.

– Nie ma problemu, zapłaciłeś, ale musisz się spotkać z szefem.

Pojechał spokojnie, przekonany, że wszystko jest w porządku, a ja już nigdy o nim nie słyszałem. Nigdy niczego się już o nim nie dowiedzieliśmy. Tu, w tym pokoju, zrozumiałem, że mi zaufał, otworzył się przede mną, przyznał się do swoich błędów i prosił mnie o łaskę.

– Tak, masz rację, popełniłem błąd, wydając pieniądze, które do mnie nie należały. Nie powinienem był tego robić, ale nic podobnego się już nigdy nie powtórzy. Nie zrobiłem wcześniej czegoś takiego, pracując przez tyle lat dla tego człowieka.

Popełnił jeden błąd – błąd, który miał go kosztować życie.

Jednak w tamtej chwili, choć wiedzieliśmy, że zapłacił, nie mogliśmy popełnić błędu i powiedzieć: „W porządku, zapłaciłeś, a teraz puszczamy cię wolno”. Nie byliśmy upoważnieni do podejmowania takich decyzji. *No somos ni juez, ni parte*. Nie jesteśmy ani sędzią, ani stroną w tej sprawie.

Przez jakiś czas – sześć, osiem miesięcy, może nieco dłużej – pracowałem w policji, porywając ludzi i przekazując ich w ręce handlarzy narkotyków. Służba w policji przy jednoczesnej pracy dla organizacji handlującej narkotykami ma wielką zaletę – możesz grać na dwa fronty. Niby chronisz społeczeństwo, a dostajesz mnóstwo kasy za wykonywanie zadań zleconych przez kartel.

W tamtym czasie dostawaliśmy za darmo mnóstwo narkotyków i alkoholu. W Juárez o narkotyki nie było łatwo. Musieliśmy jechać po towar do El Paso, ponieważ w tamtym okresie nie wolno było otwierać transportów i używać narkotyków przejeżdżających tranzytem przez Juárez – przez jakiś czas obowiązywała taka zasada. Piliśmy bez przerwy. W bagażniku radiowozu policyjnego mieliśmy zawsze lodóweczkę z piwem, czymś mocniejszym, napojami gazowanymi i wodą sodową do drinków, a także coś do jedzenia. Nie zajmowaliśmy się żadnymi dochodzeniami w sprawie napadów czy innych przestępstw. Byliśmy wybrani przez szefów kartelu, którzy płacili policji miejskiej, żeby nam nie zawracała głowy. Dzwonili do nas, musieliśmy być dyspozycyjni w każdej chwili, na każde wezwanie *narcos*. Nie mogliśmy się zajmować zwyczajną policyjną robotą na ulicy. W mieście służyło może siedmiuset lub dziewięciuset funkcjonariuszy policji, którzy nie byli bezpośrednio powiązani z baronami narkotykowymi, i to właśnie oni wykonywali

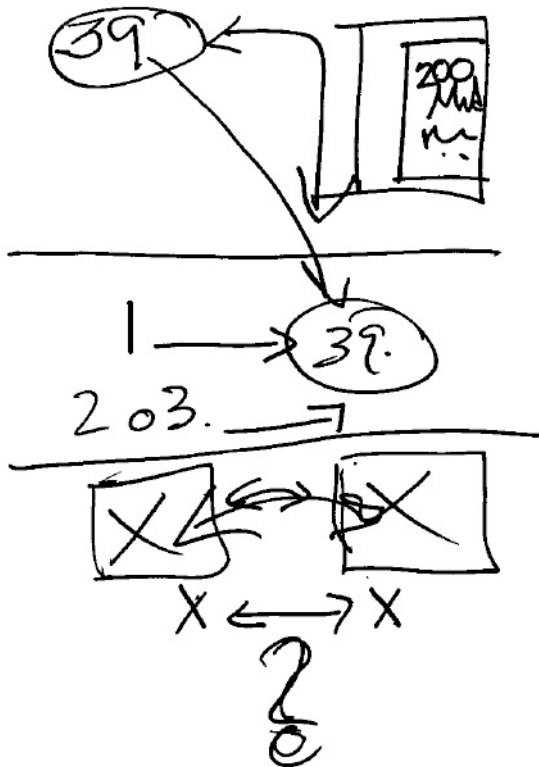
całą mrówczą pracą związaną z zapewnianiem bezpieczeństwa publicznego.

Pamiętam, jak raz do nas zadzwonili... Wtedy jeszcze telefony komórkowe nie były tak rozpowszechnione. Poza tym były naprawdę wielkie, więc nazywaliśmy je „ceglami”. Powiem wam, że wypróbowałem kilka pierwszych telefonów, jakie pojawiły się w Juárez. Należały do amerykańskich operatorów. Dzwoni zatem komórka i dowiadujemy się, że w centrum handlowym przebywa teraz facet, po którego musimy pojechać, schwytać go i dostarczyć w określone miejsce. Dlaczego dzwonią do nas?

W tamtym czasie po prostu testowano ludzi. Na początku pracy dla organizacji wyznaczano pewien okres próbny. Nie wyglądał on tak samo jak w wojsku czy w policji, ale najczęściej trwał dziewięćdziesiąt dni, z czego przez około trzydzieści człowiek był zamknięty w domu, przez kolejne trzydzieści przechodził szkolenie, a w ciągu ostatniego miesiąca poznawał sposoby porywania ludzi. Skoro więc nas wezwali, to jedziemy do galerii.

*Szkicuje wykres operacji.*

Tu jest parking, na którym czekaliśmy na wychodzących ludzi. Dostarczono nam opis tych, których szukamy. W porządku. Wsiadamy zatem do radiowozu. Musicie wiedzieć, że zawsze byłem mocno nabuzowany. Jeśli akcja przypadała w piątek, to już od poniedziałku ostro piliśmy, ćpaliśmy i imprezowaliśmy, a na dodatek prawie wcale nie sypialiśmy. Praca była dla nas równoznaczna z imprezowaniem. Zażywaliśmy narkotyki, jechaliśmy z panienkami do hotelu – w tamtym okresie rzadko telefonowali do nas z jakimiś zleceniami.



Jednak przy tym wezwaniu sprawy przybrały zupełnie inny obrót. W policji działa system kodów, liczb i liter... Mówi się zatem X-2, X-Z, Z-2, X-1... Używa się ich, żeby nie trzeba było za dużo mówić przez radiostację. No więc po zatrzymaniu tych ludzi jedziemy przez miasto, a tu dzwoni ta wielka „cegła” i słyszymy rozkaz zawierający tylko liczbę.

*Pisze w zeszycie liczbę 39.*

Gdy usłyszeliśmy tę liczbę, wiedzieliśmy, że to rozkaz i że oznacza on jedno: ten człowiek musi natychmiast umrzeć. W chwili otrzymania rozkazu nie miałem żadnych wątpliwości. Żadnych – po prostu pociągałem za spust. W ogóle się nie zastanawiałem. Nie znałem tego człowieka, nie należał do mojej rodziny. Dla mnie był nikim. Po prostu wykonywałem rozkaz. Odebraliśmy więc telefon, złapaliśmy człowieka, pojeździliśmy z nim jakiś czas po mieście, odebraliśmy telefonicznie rozkaz i wykonaliśmy go... natychmiast.

Nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, co zrobiłem. Dotarło to do mnie dopiero po dwóch czy trzech dniach, gdy wreszcie wytrzeźwiałem. Zobaczyłem, z jaką łatwością narkotyki i świat, w którym żyję, przejęły nade mną kontrolę i zaczęły mną manipulować. Nie byłem już sobą. Nie byłem już młodym człowiekiem, który z całego serca pragnął służyć społeczeństwu. Nie byłem już człowiekiem, który chciał się ożenić i założyć rodzinę. Byłem człowiekiem, który sprowadzał się do jednej roli – wykonawcy rozkazów.

Wykonywałem rozkazy.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie miałem żadnych wątpliwości związanych z wykonywaniem rozkazów. I nie miało znaczenia, że krocząc taką straszliwą drogą stawiałem na szali własne życie...

*Rysuje prostokąt przecięty na ukos linią i dwoma słowami „WŁADZA/NARCO”.*



Kilka razy doszło do konfrontacji. Na szczęście wyszliśmy z nich cało. Nie dlatego, że mieliśmy przewagę liczebną, ale z powodu doskonałej znajomości swojego fachu. Zналиśmy różne techniki, a także słabe punkty człowieka, którego mieliśmy porwać lub zabić. Jak już wam wcześniej mówiłem, zawsze dokładnie badaliśmy przeciwnika. Niczego nie robiliśmy w pośpiechu ani niedbale. Nie wystarczyło namierzyć cel i zaatakować. Wcześniej musieliśmy mu się przyjrzeć, zaplanować, jak przeprowadzić akcję i jak się zachować w momencie, gdy znajdziemy się oko w oko z celem. Trzeba wiedzieć, co zrobić, kiedy stanie się twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Czasy się zmieniły. Teraz technika sprowadza się do natychmiastowego zabicia obiektu w momencie konfrontacji: „Gdziekolwiek cię znajdę, zabiję cię”. Wynika to z braku prawdziwego kodeksu, braku jakichkolwiek zasad rządzących tym biznesem. Dawniej poszczególne kartele działające w tym kraju szanowały kodeks i wszystkie umowy. Teraz nie ma zasad, wszystkie zostały unieważnione. Pozostała tylko jedna reguła: jesteś winien, więc płać.

Pamiętam bardzo dobrze, jak Mexicles i Aztecas – dwa wrogie gangi – walczyły o władzę w CERESO (Centro de Readaptación Social, Ośrodek Rehabilitacji Społecznej), więzieniu państwowym. W związku z tym pojawił się problem, z którym zwrócili się do nas.

– Posłuchajcie, nie mogą dojść do porozumienia, a to psuje zarówno krajowy, jak i zagraniczny rynek narkotyków.

Konieczne było zatem porwanie przebywających na wolności przywódców Aztecas i Mexicles. Akcja miała miejsce za czasów mojej aktywności w organizacji. Oba zmuszono do spotkania, pytając o doskwierające im problemy oraz o to, dlaczego ich ludzie nie zachowują się i nie pracują tak, jak powinni. W końcu osiągnęli porozumienie zapewniające równowagę wpływów i spokój w więzieniu CERESO.

Mnóstwem działań – właściwie większością – wykonywanych przez kartel steruje się właśnie stamtąd. Wiele egzekucji zlecają ludzie odbywający odsiadkę. Dlaczego? Otóż więzienia w Meksyku stały się wytwórniami i ośrodkami dystrybucji narkotyków wysyłanych do wielu miejsc w Stanach Zjednoczonych.

*El Sicario wspomina próbę, jakiej został poddany na początku swojej kariery, kiedy jako zaledwie osiemnastoletni chłopak dokonał pierwszego zabójstwa.*

Kiedy zabraliśmy tego faceta i zabiliśmy go w samochodzie... Cóż mogę powiedzieć? To była próba ognia. A wykonanie tego rozkazu i zabicie człowieka okazało się takie łatwe. Mieliśmy zatem trupa i co dalej? Trzeba było pozbyć się ciała. Musieliśmy go wyrzucić. Jeździliśmy po mieście policyjnym radiowozem, zastanawiając się, jak tu wyrzucić z auta martwego faceta? Zadzwoniliśmy więc i pytamy:

– Gdzie mamy wyrzucić ciało?

Usłyszeliśmy taką odpowiedź:

– To wasz problem, a nie mój. Za to wam w końcu płacimy.

Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że musimy zacząć szukać miejsca, w którym można wyrzucić zwłoki... To naprawdę nie jest trudne, ale ja czułem się tak kiepsko, byłem tak naćpany i pijany, że jedyne, co mi przyszło do głowy – a pamiętam to naprawdę doskonale – to wrzucić go do kanalizacji. Podjechaliśmy zatem do otwartej studzienki i wrzuciliśmy go do środka.

Od tamtej chwili moja pozycja w organizacji uległa zmianie, a wraz z tym zmieniło się moje życie. Gdy porzucasz wszelkie wątpliwości i nie wahasz się przed wykonaniem żadnego rozkazu, tylko po prostu porządnie wykonujesz zadanie, ludzie zaczynają zwracać na ciebie uwagę, a ty spostrzegasz, że patrzą na ciebie z uznaniem. „Widziałeś, co on zrobił?”. Po dwóch czy trzech dniach słyszysz, jak mówią: „Wiesz co? Zrobił to i nawet nic nie poczuł”.

No ale do cholery, jak możesz cokolwiek poczuć, jeśli przez cały czas jesteś pod wpływem narkotyków? Gdy w końcu trzeźwiejesz, nie pozostaje ci nic innego, jak nadal wykonywać swoje zadania. Nie możesz się oglądać za siebie. Jeśli wybierzesz inne rozwiązanie, skończysz jak ten trup. Tak więc dokonałem wyboru, przez który ukształtował się mój twardy charakter. Właśnie wtedy zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że chłopak marzący niegdyś o założeniu rodziny, syn, który budził w matce dumę i radość... Zawsze mawiała:

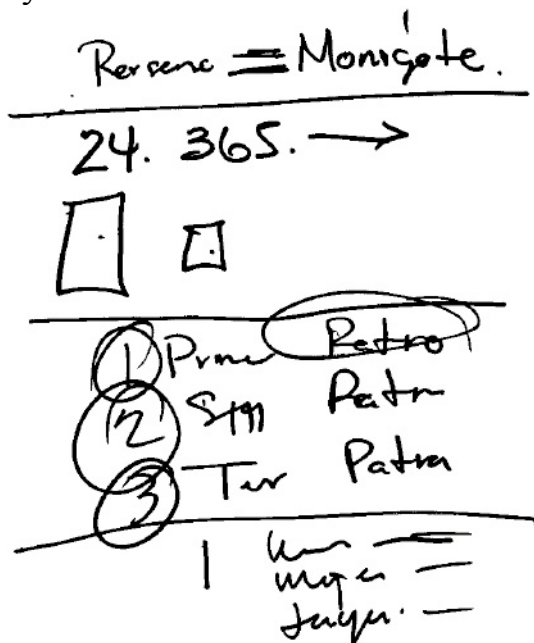
– Dostaje naprawdę dobre oceny i będzie kimś. Może zostać tym, kim sobie



tylko wymarzy – lekarzem, inżynierem, architektem – bo jest ambitny...

A wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że jestem złym człowiekiem, że nigdy nie będę mógł zostać nikim innym poza tym, kim już się stałem. Oznaczało to, że jestem *un monigote*, marionetką, pociąganą za sznurki przez ludzi wydających mi rozkazy. Ja już nie miałem własnego życia – gdy wkraczasz na ten poziom w organizacji, twoje życie przestaje należeć do ciebie, stajesz się całkowicie uzależniony od człowieka, który mówi ci, co masz robić.

Przez wiele lat dostawałem mnóstwo roboty i pracowałem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Nigdy nie mogłem wyłączyć radiostacji ani komórki. Jeśli byłąby wyłączona, oznaczałoby to, że albo jestem martwy, albo szefowie wydali na mnie wyrok śmierci. Jeśli nie potrafiłbym naprawdę przekonująco wytłumaczyć, dlaczego nie odpowiedziałem przez radiostację lub nie odebrałem telefonu, wniosek byłby jeden – nie chcę już nic wiedzieć, a skoro dotarłem do tego punktu, to cóż... w takiej sytuacji nie mógłbym już długo pożyć.



Miałem tylko jedno pragnienie – służyć. Przez długi czas mówiłem: Dla mnie Numerem 1 jest szef, El Patron. Numerem 2 jest El Patron. I numerem 3 też jest El Patron. Żyłem tylko po to, by służyć i bronić jednego człowieka – El Patrona. Robiłem wszystko, co kazał mój szef. Byłem na każde jego skinienie, spełniałem wszystkie zachcianki. Nigdy nie mogłem powiedzieć: „Nie, nie może pan tego dostać” albo „Nie, to niemożliwe”. Miał wszystko, czego tylko chciał. Dostawał wszystko, czego zapragnął – samochody, kobiety, kosztowności. Nigdy nie było żadnego problemu z pieniędzmi na zakup samochodów czy biżuterii.

Jest jednak wiele kobiet, które nie są na sprzedaż. Gdy szef zapragnął jakiejś kobiety, moim zadaniem było skłonienie jej do zawarcia bliższej znajomości. Trze-

ba było podjąć liczne próby... Starać się bez końca... Nigdy nie czułem wyrzutów sumienia, gdy opowiadałem im najróżniejsze rzeczy, byle tylko je przekonać.

– Pewien człowiek chce cię poznać i zaprosić na – spotkanie. Jeśli się zgodzisz pojechać z nami, spędzisz tydzień w najlepszym hotelu na najlepszej plaży. To będzie cudowny tydzień. Jeśli chcesz pieniędzy, dostaniesz. Zrobisz wszystko, o co cię poprosi, a potem zapomnisz o nim na całe życie – jeśli się zgodzisz, wszystko będzie w porządku.

Wiele, bardzo wiele kobiet dawało się skusić – decydowały się na tę propozycję i żyją do dziś. Było jednak dużo takich, którym się wydawało, że mogą nas przechytryć. Tych nie spotkałem już nigdy. Nie chcę przez to powiedzieć, że zamordowaliśmy je wszystkie. Owszem, zginęło wiele kobiet, w tym bardzo młodych, ale z innej przyczyny... Były niezwykle ambitne i chciały zostać żonami szefa. Problem w tym, że szef miał już jakieś czterdzieści „żon”. Miał kobiety w każdym stanie w Meksyku i zdecydowanie nie potrzebował kolejnych.

Cofnijmy się w czasie i przyjrzyjmy się przypadkowi Don Amada Carrilla i jego czterdziestu czy czterdziestu dwóm żonom. Żenił się wtedy, gdy tylko chciał. Te kobiety to oczywiście kochanki, a nie prawdziwe żony. Brali ślub, ale przed fałszywymi sędziami. Tacy ludzie (baronowie narkotykowi) nie żenią się z łatwymi panienkami ani z prostytutkami. Jest mnóstwo kobiet, z którymi się spotykają tylko po to, żeby się dobrze zabawić za pieniądze. Szukają jednak naprawdę pięknych kobiet, a w tym mieście... szczególnie zależało im na dziewczynach z bardzo bogatych rodzin. W ten sposób zamożni biznesmeni zostają wplątani w handel narkotykami. Córki potężnych meksykańskich *empresarios*, biznesmenów, przedsiębiorców – wychodzą za bossów narkotykowych, żeby pomnożyć swoje fortuny. Nie zdają sobie sprawy z tego, że popełniają przy tym ogromny błąd. Baronowie narkotykowi wykorzystują interesy żon do prania swoich pieniędzy. I co się dzieje? Wiele interesów plajtuje. I będą plajtować nadal.

Kobiety wychodzą za bossów, ale nie są to prawdziwe małżeństwa. Mówią: „Chodźmy do sędziego i weźmy ślub”. *Narcos* są tak potężni, że mogą wynająć fałszywego sędziego albo po prostu kupić akt ślubu od prawdziwego. Jeśli kobieta chce mieć akt ślubu, dostanie ten dokument. Baronowie narkotykowi w ten sam sposób zdobywają fałszywe prawa jazdy czy inne dokumenty, na przykład potwierdzenie prawa do głosowania czy książeczki wojskowe. Wszystkie są fałszywe i można je kupić. To taka gra – budowanie całego świata opartego na iluzji.

Jeżeli *narcos* czegoś chcą, zdobędą to w ten czy inny sposób. Dlaczego? Bo jeśli nie dostaną tego po dobroci, wezmą siłą albo zniszczą. Jeśli chodzi o kobiety, mówi się tak: „Jeśli cię zapragnę, będę cię miał. Jeśli nie będę mógł cię zdobyć jednym sposobem, zdobędę innym. A jeżeli nie będziesz moja, nie będziesz niczyja, to będzie twój koniec i trafisz do piachu. Proste”.

Powtórzę zatem to, co powiedziałem wcześniej. Są dwie zupy. Z makaronem

albo z gównem. Zupa z makaronem się skończyła. Nie ma. Przyzwyczajasz się więc do tego i wszystko sobie układasz, żeby ci było jak najwygodniej, a jeśli nie, to i tak cię wyruchają. Taka prawda.

No więc te kobiety nie mają wyjścia. Poznają narkotykowego barona, który ich zapragnął, przyzwyczajają się do tego i cieszą się życiem, bo nie mają wyboru. Bizuteria, domy, ochroniarze... „Niech nikt nie śmie na ciebie spojrzeć, bo należysz do mnie. Jesteś moją królową. Wyjdź za mnie teraz, zaraz, ponieważ cię pragnę i będę cię miał”.

Potem zostają zabrane do domu i mieszkają tam dwa czy trzy lata. Nie mogą odejść. Siedzą w złotej klatce. Taka jest prawda. Te kobiety żyją w złotych klatkach. Z ochroniarzami. Nie mogą wyjść, dopóki nie pojawi się boss i nie udzieli pozwolenia na spotkanie z nim. Zdarza się, że przyjeżdża gdzieś i nawet nie zagląda do domu, bo w tym samym mieście ma cztery czy pięć innych „żon”, czas go więc goni, ponieważ musi się spotkać z tymi wszystkimi paniami i zabawić się z każdą z nich.

Gdy pojawiały się problemy z ludźmi, żeby utrzymać wszystko w ryzach, szefowie zlecali nam załatwienie sprawy. Przyszedł taki moment, że zostało nas tylko pięciu najbardziej zaufanych, a działaliśmy, jakbyśmy tworzyli zespół dziesięcio- czy dwudziestoosobowy. W tamtym czasie pięciu ludzi wystarczało, żeby kontrolować całą *plazę*. Po pierwsze – byliśmy doskonale wyszkoleni, a poza tym wszędzie, gdzie tylko trzeba było, mieliśmy swoich informatorów. Dostawali pieniądze (i nie tylko), a my w zamian otrzymywaliśmy informacje. Gdy szef zlecał pozyskanie jakichś informacji, to je dostawał. Wiele osób próbowało wyjść wtedy z organizacji, wiele zaczynało odczuwać wyrzuty sumienia i chciało opuścić ten interes.

W tamtych latach ludzie tacy jak my, czyli pracujący w służbach policyjnych, otrzymywali pewną sumę za usunięcie człowieka – dwa tysiące dolarów, a jeśli znaczenie danej osoby było większe – to nawet trzy. Potem zaczęliśmy dostawać o wiele więcej pieniędzy – w zależności od tego, jak trudno było zlikwidować człowieka lub od tego, jak wysoka była jego pozycja w hierarchii. Obrazowaliśmy to starym powiedzeniem: *dependiendo del sapo la pedrada*, kamień, którym rzucasz, dobierasz do wielkości ropuchy. Zaczęliśmy dostawać nawet dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za przeprowadzenie jednej egzekucji. Poza tym otrzymywaliśmy normalną wypłatę. Żeby swobodnie pracować w tym systemie, nie wystarczyło powiedzieć po prostu: „Tak, biorę tę robotę”. Takich zadań nie przydzielano przypadkowo czy pochopnie.

*Szkicuje schemat organizacyjny korporacji.*

Zaczyna się od szefa korporacji, poniżej są bossowie poszczególnych grup, a pod nimi pracownicy. Na wszystkich szczeblach każdy otrzymuje miesięczną

pensję. Dla ludzi, którzy tak jak ja zostali zwerbowani, zanim jeszcze trafili do akademii policyjnej, sprawa była prosta. Kto należał do organizacji od tak dawna, zaliczał się do najbardziej zaufanych pracowników. Gdy przychodził czas akcji, nawet niektórzy bossowie grup musieli wykonywać nasze rozkazy. To nie powinno tak funkcjonować, ale chodziło wtedy o rozkazy przychodzące z góry. Bossom nie można było przekazywać wszystkich informacji. Niekiedy ich rola sprowadzała się do zasłony dymnej, która była nam potrzebna, gdy wykonywaliśmy swoje zadanie.

Swego czasu wiele osób popełniło błąd, chcąc handlować narkotykami na własną rękę. Kierowali ciężarówki wypełnione narkotykami na wojskową blokadę drogową, która znajdowała się na południe od Juárez. Wtedy mówiono o niej Precos, nie wiem, jak nazywa się dzisiaj. Próbowali przejechać, mówiąc: „Ten towar należy do kartelu i jest chroniony”. Żołnierze zadawali tylko kilka pytań i przepuszczali ładunek.

Przy wjeździe do Juárez znajdowała się *glorietta*, rondo. Nie mam pojęcia, czy jeszcze tam jest. Tuż za tym skrzyżowaniem działał punkt kontroli furgonetek i przyczep, które wjeżdżały tą trasą. Pracowali tu nasi ludzie, którzy rozdzielali ładunki.

– No dobrze. Mówisz, że ta przyczepa należy do kartelu. A dla kogo pracujesz?

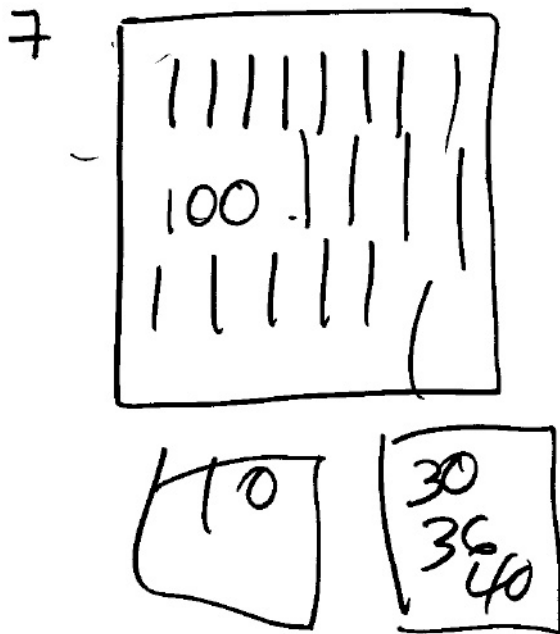
– Dla takiego a takiego.

Ładunek zabierano wówczas do magazynu, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Do magazynu trafiała także ciężarówka, kierowca, furgonetka eskortująca towar, a w niej trzech lub czterech gości, i jeszcze jeden samochód z kolejnymi dwoma facetami. Po tym wszystkim, gdy tamci myśleli, że udało im się przechytryć kartel, przemycając te narkotyki, organizacja po prostu konfiskowała towar, który do niej nie należał. Kartel przejmował cały ładunek i więził wszystkich ludzi, którzy go przewozili – najczęściej z sześć czy siedem osób. Wkrótce na którymś z wielu potajemnych cmentarzy funkcjonujących w mieście pojawiało się siedem nowych grobów.

Nie jestem w stanie dokładnie określić, ile osób w ten sposób pochowałem. To po prostu niemożliwe. Nie mogę powiedzieć, że byłem obecny na przykład przy stu egzekucjach i że ci ludzie zostali pochowani w określonym miejscu. Nie, nie, tego nie można powiedzieć z absolutną pewnością. Takich egzekucji mogły być nawet tysiące. Kartel ma mnóstwo bezpiecznych kryjówek i kieruje pracą wielu osób. W odkrytych przez władze kryjówekach znajdowano pogrzebane zwłoki – w jednej trzydziestu, w innych trzydziestu sześciu, czterdziestu, a w ostatniej co najmniej dziesięciu.

To jednak nic w porównaniu z kryjówekami, które zorganizowano na terenie nieruchomości wynajmowanych kartelowi przez zamożne osoby. Właściciele tych domów nie mają pojęcia, że na terenie ich posiadłości może być pochowanych na-

wet trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt osób. Groby nie są wcale małe, wręcz przeciwnie – bardzo rozległe i głębokie. Smród rozkładających się ciał jest odrażający, więc posypuje się je wapnem lub stosuje inne środki chemiczne. Ze zwłok zdejmuje się ubrania, zabierając też wszelkie rzeczy osobiste, które mogłyby stanowić ślad prowadzący do odnalezienia bądź identyfikacji zabitego.



Gdy trzeba było zabijać mężczyzn, nie miałem z tym żadnego problemu. W większości przypadków skazywano ich na śmierć, ponieważ kradli lub nie oddawali w porę pieniędzy. W takiej sytuacji zabicie mężczyzny nie było problemem. Kłopot – i to poważny kłopot, bo zacząłem wtedy myśleć o konieczności zmiany swojego życia – pojawił się wraz z pierwszymi porwaniami kobiet. Gdy kobiety zaczęły pracować dla kartelu, a do mnie powoli docierało, co się naprawdę dzieje...

W gruncie rzeczy ani ja, ani nikt z moich bliskich przyjaciół, ani nawet moja żona, nie uświadamialiśmy sobie wielu spraw<sup>42)</sup>. Jednak szefowie kartelu mają informatorów dosłownie wszędzie. Wiedzieli o tym, że jakaś kobieta z kimś się spotyka albo ma za długi język. Wtedy po prostu dawali nam jej adres – taka a taka ulica, w takiej a takiej dzielnicy, tu jest jej samochód, tablice rejestracyjne, rysopis...

42) *El Sicario* mówi tu o swojej pierwszej żonie, dziś żyje z drugą.

– Dobra, zwijajcie ją.

Czekało się na nią przed domem, potem wsadzało do samochodu i wiozło do kryjówki.

Bardzo przykro jest patrzeć na torturowaną kobietę. Bardzo przykro jest patrzeć na wszystkie krzywdy, jakie ją spotykają, bo ludzie, którzy się nią zajmują, nie mają żadnych skrupułów. To nie to samo, co robota z mężczyzną, który wie, że

kradł, jest winien pieniądze i próbował zniknąć, nie płacąc swoich rachunków. Gdy patrzysz na kobietę, która straszliwie cierpi, błaga o litość, jest bita i gwałcona nie przez jednego, ale sześciu czy siedmiu mężczyzn... Gdy cierpi tak, że w końcu traci przytomność... To zupełnie inna sprawa.

*Rysuje linię.*



A w końcu... Och, to okropne, gdy się je dusi, w takich przypadkach lepiej już strzelić. Duszenie człowieka jest tak straszliwe – czujesz, jak cierpi, jak traci wszelką nadzieję. Czujesz, jak kropla po kropli wypływa z niego życie. Widzisz, że zbliża się do pewnej granicy, a w pewnym momencie staje na niej i umiera, widzisz, jak jego organizm przestaje funkcjonować, jak znika cała siła, którą wkładał w to, żeby złapać jeszcze jeden oddech. A za chwilę zmiana – możesz zwolnić uścisk i jeszcze przez moment pozostawić go przy życiu, pozwolić, żeby nabrał nieco siły i odżył. Musisz robić wszystko, żeby umieranie przeciągało się w czasie, żeby dusił się powoli, cierpiąc niewyobrażalne męki.

Kilka słów w sprawie tortur... Nie zawsze chodzi o wydobycie informacji. Niektórzy torturują, kierując się chęcią zemsty, gniewem albo dlatego, że ofiara jest im coś winna czy poderwała im dziewczynę... Tak działają baronowie narkotykowi – robią to, co chcą. Dostajesz rozkazy i je wykonujesz. Kiedy ofiara została uduszona i nie żyje, możesz bez problemu odciąć jakąkolwiek część ciała, a krwawienie nie będzie zbyt obfite. Krążenie krwi ustaje. Pamiętam taki przypadek, gdy ktoś z naszych ludzi popełnił błąd i zaczął bić jednego z *enfermos*, chorych – czasem nazywaliśmy nasze ofiary „pacjentami”. Kopnął faceta w twarz i rozplątał mu

czaszkę, za co otrzymał reprimendę.

– Za co mnie opieprzasz? Przecież on i tak umrze – wrzeszczał i wciąż bił ofiarę.

Otrzymał bardzo logiczne wyjaśnienie.

– Jeśli kopniesz gościa w głowę, zanim umrze, będziesz musiał ściągnąć dywan i dokładnie wszystko wyczyścić, bo zrobisz tu krwawą jatkę. Najpierw zabijasz faceta. A potem już robisz, co chcesz.

Takich rzeczy nie uczą w akademii. Tego się nie nauczysz w szkole wojskowej. Taką wiedzę musisz zdobyć w praktyce.

A potem zaczynasz się też uczyć, że kartele pozostawiają pewne informacje, układając ciała zabitych ludzi w odpowiedni sposób. Rozkazy wyglądają tak. Połóżcie go na plecach. To coś znaczy. Niech leży twarzą w dół. To znaczy coś innego. Odetnijcie palec i włóżcie mu do ust. To też informacja. Odetnijcie palec i włóżcie mu w odbyt. Informacja. Wydłubcie oczy. Odetnijcie język. W takich sytuacjach ktoś, kto nie jest lekarzem i nie zna się na anatomii...

*Encobijado*, czyli człowiek zabity, zawinięty w koc i zostawiony pod gołym niebem niekoniecznie musi być kimś ważnym czy szanowanym. Nawet *cholos*, młodzi gangsterzy z ulicy czasami kończą jako *encobijados*, bo w tym interesie działa wielu naśladowców. To nie jest prawdziwy sygnał od kartelu.

Jeśli chodzi o znaki zostawiane przez *narcos*, sprawa jest prosta. Porwanie i zabicie człowieka to bardzo jasna informacja – ta osoba bezpośrednio narusza interesy baronów narkotykowych. Przykładowo, gdy stosuje się *tiro de gracia*, dobiecie rannego, chodzi o upewnienie się, że jest martwy. Nie wystarczy strzelić do człowieka, ponieważ mógłby pozostać przy życiu i rozpoznać tych, którzy go postrzelili.

Jeśli ludzie z organizacji odcinają ofierze palec i wkładają go do ust, ucha lub odbytu... to chcą wysłać pewną wiadomość, ale takie przypadki zdarzają się niezbyt często, a poza tym ktoś, kto to robi, musi wiedzieć, jak odcinać członki, nie pozostawiając po sobie krwawej łaźni. To nie takie łatwe – sprawnie zabić człowieka, odczekać, aż ustanie krążenie krwi, a potem odciąć poszczególne części ciała...

Obcięte dłonie mogą znaczyć, że zabity zaangażował się w sprawę, od których powinien się być trzymać z daleka. Albo zabrał coś, co do niego nie należało.

Żeby prawidłowo odczytać znaczenie sygnałów, trzeba też spojrzeć na to, gdzie zostały pozostawione ciała, jak je ułożono... Czy zobaczą je te osoby, które mają je zobaczyć?

Odnalezienie ciała porwanego i zabitego człowieka nie leży bynajmniej w interesie narkotykowych bossów. Fakty są następujące – w wielu miastach w całym Meksyku wykopywano potajemnie grzebane ciała. Wiem, że znalezione zwłoki znajdują się w stanie mniej lub bardziej zaawansowanego rozkładu. Ale jeśli się nie przeprowadzi dokładnego badania i nie zastosuje profesjonalnych metod, żeby

stwierdzić, czy jest wapno czy go nie ma, czy zwłoki pokryto solą, cukrem czy też innymi substancjami chemicznymi, czy ciało jest ułożone twarzą do góry czy w dół...

O co chodzi? Pogrzebanie ciała twarzą w dół lub do góry – oto prawdziwy sygnał. Przykładowo – jeśli zwłoki leżą twarzą w dół, to znaczy, że *narcos* nie chcieli, aby kiedykolwiek wyszły na światło dzienne. Gdy zatem znajduje się takie ciało, to znaczy, że ktoś musiał donieść. A gdy ktoś doniesie, to zostanie wykryty, ponieważ *narcos* mają swoje sposoby identyfikacji człowieka, który wnosi informacje.

Dziś *narcos* nie muszą się zbytnio wysilać, żeby przekazać ludziom to, co chcą im dać do zrozumienia. Znak powieszony na moście przez narkotykowych baronów ma taki sam zasięg oddziaływania jak publikacja jakiejś wiadomości w programie telewizyjnym *Todo Mexico se entere [Cały Meksyk już wie]*.

Dziennikarze są bardzo skorumpowani. Wiedzą, że jeśli nie opublikują tych sensacyjnych tekstów o znakach, to ich materiały się nie sprzedadzą. Nie posiadają się z radości, gdy *narcos* zostawiają takie ślady, bo wtedy sprzedaż gazet rośnie wręcz niebotycznie. Baronowie narkotykowi nie muszą się więc specjalnie starać, żeby nagłośnić swój przekaz, bo całą robotę wykonują za nich dziennikarze.

Co jednak mogą zrozumieć z tych sygnałów ludzie z zewnątrz, skoro przekaz jest kierowany do tych, którzy siedzą w biznesie narkotykowym? Wiele osób widzi to wszystko i myśli, że wiedzą, co się dzieje. Ojej, obcięli mu ręce! Co to znaczy? To sprawa między nimi, między *narcos*. Ludzie nie powinni w ogóle wiedzieć o takich sygnałach. Myślę, że gazety robią dużo złego, nagłaśniając takie sprawy i nadając im posmak sensacji.

Przychodzi chwila, gdy wszystko, najmniejszy drobiazg, zaczyna cię doprowadzać do szału – nie dlatego, że jesteś taki dobry, ale twój mózg jest już tak otępiły od narkotyków i alkoholu, że nie czujesz żadnych skrupułów i jesteś gotów zrobić wszystko. Przychodzi więc taki moment, że jedziesz samochodem po mieście, wyprzedzasz inne auto i rzucasz: „Ty, co się tak na mnie patrzysz?”, po czym po prostu wyciągasz pistolet i strzelasz. Nie wiesz, co to za człowiek i strzelasz bez powodu – wystarczyło, że krzywo na ciebie spojrział. Takie wypadki zdarzały się kiedyś dość często, aż w końcu ktoś z wyższego szczebla organizacji zabronił takich praktyk, bo prowadziły do wielu nieuzasadnionych zabójstw.

Pewnego razu doszło do porozumienia, na mocy którego zabroniono dokonywania okrutnych zabójstw w mieście Chihuahua, stolicy stanu, którą objęto szczególną ochroną. Nadal jednak mordowano ludzi w Parral, Delicias, Camargo, Juárez, Durango i Torreón. Każdego, kto był skazany na śmierć, porywano zatem w mieście i przewożono gdzie indziej, by dopiero tam pozbawić go życia. A nie była to prosta operacja, nie wystarczyło wsiąść do samochodu i ruszyć w drogę. Musieliśmy stosować określoną logistykę i jeździć bocznymi drogami, żeby unik-



nać wojskowych blokad i spotkań z żołnierzami.

Gdy skończyłem szkolenie, pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem, było to, że „Mamy umowę ze służbami bezpieczeństwa publicznego. Mamy umowę zarówno ze stanową, jak i federalną policją kryminalną. Mamy umowę z federalną policją ds. prewencji. Wszystkie te służby były „załatwione”, czyli skorumpowane. Nie ma jednak umowy z armią. Jeśli masz problem i zatrzymają cię żołnierze, musisz sobie radzić sam. Możemy cię wyciągnąć z rąk wszystkich innych służb, ale nie mamy porozumienia z wojskiem”. W tamtych latach armia nie była skorumpowana.

Czas płynął – mówię tu o jakichś czterech czy pięciu latach – aż przyszedł taki moment, że na fiestach organizowanych na ranczach występowały naprawdę świetne zespoły, które przygrywały nam do zabawy. To były znakomite sławne grupy Los Tigres del Norte, Los Tucanes... Przy najlepszych stolikach, dokładnie w pierwszych rzędach, zasiadali dowódcy wojskowi. Dawniej nigdy nie udawało się tego załatwić, a teraz zaczęto zabiegać o ich względy. Przyszedł ktoś niezwykle wpływowy i doprowadził do porozumienia z wojskiem. Właśnie z powodu tej nowej umowy *narcos* zaczęli pracować z wojskowymi<sup>43</sup>).

43) *El Sicario* nie jest pewien, ale przypuszcza, że umowę zawarto w sierpniu 2003 roku, bo zbiegło się to w czasie z narodzinami jednego z jego dzieci.

Nowa sytuacja przyniosła wiele zmian w ideologii *sicarios* i w sposobie wykonywania pracy. Teraz nie było już łatwo konkurować z ludźmi, którzy próbowali naśladować praktyki wielkich graczy. Pojawili się tacy, którzy sprzedawali bardzo niewielkie ilości narkotyków, chodzili po mieście i się przechwalali: „Jestem *narco*. Jeśli mi będziesz winien kasę albo ukradniesz mi narkotyki warte pięćdziesiąt dolarów, to cię zabiję”. To wszystko było śmieszne. Żaden człowiek z kartelu nie zabiłby dla pięćdziesięciu dolarów. To byli zwyczajni partacze. Pojawienie się takich marnych naśladowców oznaczało większą korupcję w mieście, a sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Efekt był taki, że nikt już nie mógł ufać nikomu i nikt już nie cieszył się respektem. Podjęto zatem próbę uzdrowienia tej sytuacji – miało to miejsce wtedy, gdy skontaktowano się z przywódcami gangów więziennych – a cała dyskusja toczyła się nie tylko w Meksyku, ale także w Stanach Zjednoczonych.

*W kolejnym fragmencie El Sicario opisuje wielką operację, w której wzięły udział różne formacje policyjne, wojsko oraz członkowie kartelu z Juárez, zgodnie współpracując w celu odzyskania kontroli nad miastem.*

W końcu przysłała wyznaczona chwila i wydano rozkaz, na podstawie którego w ciągu dokładnie trzydziestu dni nikt, ale to absolutnie nikt, nie mógł sprzedać w Juárez ani jednej porcji kokainy. Nikt nie miał prawa tego zrobić. Dlaczego?

Otóż ogłoszono, że zginęło około trzech ton kokainy. Drobnymi handlarzami, którzy sprawiali kłopoty kartelowi kontrolującemu *plazę*, nie zwracali najmniejszej uwagi na ten zakaz, ponieważ tak naprawdę nigdy nie rozumieli, z jak potężną organizacją mają do czynienia. Myśleli, że mogą zignorować rozkazy kartelu. Cóż się zatem stało? Ludzie, którzy ukradli wspomniane narkotyki i sprzedawali je na własną rękę, zostali namierzeni i zabici. Mówimy tu o zbiorowej egzekucji około siedemdziesięciu osób.

Nieco wcześniej mieliśmy do czynienia z innym zjawiskiem, tym razem ze złodziejami samochodów. Nikt nie kontrolował ich działalności. Problem zaczął się pogłębiać i sama policja poprosiła kartel o pomoc w rozbiciu złodziejskich gangów. Doszło zatem do kolejnej wielkiej czystki, w ramach której zlikwidowano około czterdziestu pięciu młodych szkodników<sup>44)</sup> zajmujących się kradzieżą aut.

44) *El Sicario* podkreślił, że ci młodzi mężczyźni nie byli gangsterami z ulicy, ale pochodzili z klasy średniej. W pewnym momencie zaczęli za bardzo się przechwalać.

W operacji, której celem było zgarnięcie tych ludzi, brało udział więcej formacji, nie tylko jedna grupa. Akcji nie prowadzili wyłącznie *sicarios* pracujący dla kartelu. Współpracowali z nimi funkcjonariusze policji miejskiej oraz stanowej, a także federalnej policji kryminalnej. Mówimy w tej chwili o około ośmiuset osobach współdziałających w celu likwidacji grupy siedemdziesięciu dealerów oraz kolejnej grupy czterdziestu pięciu złodziei samochodów, którzy sprawiali naprawdę poważne kłopoty.

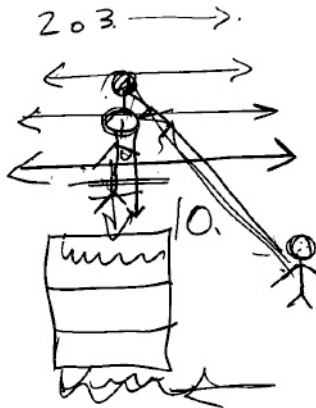
Ich ciała leżą teraz pod ziemią na terenie osiedli i posiadłości znajdujących się w różnych punktach miasta. W przypadku tych zwłok założenie jest takie, że nie zostaną już nigdy odnalezione. Gdyby jednak stało się inaczej, identyfikacja będzie niemożliwa. Trudno jest rozpoznać pięć ciał leżących we wspólnym grobie, a co dopiero siedemdziesiąt osób pogrzebanych zupełnie nago w zbiorowej mogile i to przed wielu laty...

Nie wszystkie z tych ofiar zmarły natychmiast. Wśród porwanych było kilkunastu ludzi, których przetrzymywano, dając im możliwość przeżycia jeszcze paru dni, zanim zostaną zabici. Dlaczego tak się stało? Niektórzy znali pewne osoby z kartelu i zasłużyli na specjalne traktowanie. Inni pracowali dla kartelu jako informatorzy. Jeszcze inni byli informatorami policyjnymi. Niektórzy nie służyli wyłącznie policji meksykańskiej, ale odwiedzali też Stany Zjednoczone, przekazując tamtejszym służbom informacje o tym, co się działo w Meksyku.

Ci ludzie zostali potraktowani w sposób szczególny. Pamiętam przypadek, gdy podgrzaliśmy dwie dwustulitrowe balie z wodą. Ofiary zostały skrępowane na wysokości ramion, zawieszane nad balią na kołowrocie, po czym zaczęto je powoli zanurzać we wrzątku. Gdy mdlały, wyciągano je z wody i oddawano w ręce leka-

rza, który je cucił. Następnie odcinano im te części ciała, które były już całkowicie ugotowane. Gdy ofiara choć trochę odzyskiwała świadomość i zaczynała reagować na bodźce, ponownie opuszczano ją powolutku do wody, dopóki w końcu nie zmarła. Takie przypadki śmierci nie są dziełem *sicarios*.

To robota ludzi chorych. Chorych. Ludzi, którym sprawia przyjemność napa-  
wanie się cierpieniem innych.



Sicario Profesor,  
1 de 5000.  
Ya Balazo.  
Cuchllode.  
Golpe . . .



## ZADANIE SICARIO

Nieważne, czy w grę wchodzi kula, nóż czy cios. Zadaniem *sicario* jest natychmiastowe załatwienie wyznaczonego człowieka. Ma go pozbawić życia szybko i sprawnie – tak, by niczego nawet nie poczuł, chyba że szef chce, aby ofiara cierpiała.

Jeżeli trzeba kogoś zabić, na przykład w samochodzie, to zawodowy *sicario* postępuje inaczej niż partacz. Mamy zatem samochód, obiekt siedzi za kierownicą, a ty masz go zabić. Partacz ostrzeliwuje cały pojazd... bam, bam, bam, bam, bam... Kule świszczą po całej ulicy. Natomiast gdy do pracy zabiera się prawdziwy *sicario*, który ma trafić w cel siedzący za kierownicą, maksymalnie ogranicza pole rażenia, strzelając przez drzwi, by trafić w serce, albo przez przednie okno prosto w głowę. Tak pracuje *sicario*. Reszta to marni naśladowcy.

Prawdziwy *sicario* nie ma potrzeby zadawania cierpienia ofiarom. Namierzony człowiek cierpi bowiem od pierwszej chwili, gdy orientuje się, że ktoś go śledzi. Przeżywa i cierpi nawet wtedy, gdy ma stalowe nerwy, gdy jest bardzo silny.

Zadania, które wykonałem, wymagały różnego postępowania wobec człowieka jadącego samochodem. Można zmusić ofiarę do zatrzymania, blokując go dwoma autami z tyłu i z przodu. Z tyłu zawsze jedzie jeszcze dodatkowy samochód. Jedno auto zatrzymuje się przy celu, żeby oddać strzały. Kilka innych blokuje ofiarę i jej samochód, żeby zamknąć drogę ucieczki. Po wykonaniu zadania poszczególne auta odjeżdżają z miejsca zdarzenia w różne strony. Wszystko robi się tak, żeby nie doszło do ognia krzyżowego.

Zdarzają się ciężkie chwile, kiedy trzeba... No cóż, czasem każdemu przytrafiają się błędy – dochodzi do tego, że celem staje się jeden z twoich bliskich kumpli. Przychodzi rozkaz załatwienia jednego z naszych. Nigdy nie wolno ci pytać, dlaczego. Jediną osobą znającą odpowiedź na to pytanie jest człowiek, który podejmuje decyzje, czyli szef. Szef nigdy nie popełnia błędów. A jeśli popełni, może się zdarzyć, że przyjdzie następny rozkaz, który będzie zawierał polecenie likwidacji każdego, kto mógłby wiedzieć, że ten pierwszy był prawdopodobnie pomyłką. Ciężko znosiłem takie zadania. Przychodził rozkaz i musiałem zabić człowieka, który był moim kumplem... A pomyłki zdarzały się wielokrotnie...

Gdy tak idziesz drogą swego życia, w końcu nadchodzi chwila, gdy dochodzisz do granicy, stajesz przed blokadą. Gdy przyszedł dzień, w którym do niej dotarłem, nagle rzuciłem picie, palenie i narkotyki. Powiedziałem sobie: „Nigdy więcej”. To bardzo rozbawiło mojego ówczesnego szefa.

Zapytał:

– Chcesz jeszcze *perico*, kokainy?

– Nie, dziękuję.

– To może się napijesz?

– Nie, dziękuję, proszę pana.

– Zapalisz?

– Nie, dziękuję, proszę pana.

Był zaskoczony i zaczął się ze mnie śmiać.

– Co się z tobą dzieje?

- Nie chcę już, po prostu.
- Poradzisz sobie z pracą na trzeźwo?
- Ja zajmuję się pracą, a nie kokainą, alkoholem czy papierosami.

Czułem jednak, że w moim życiu pojawiło się coś, co skłaniało mnie do zmiany. Gdybym był na okrągło naćpany czy pijany, nie mógłbym myśleć jasno i całościowo o tym, co muszę zrobić. Kiedy rzuciłem wszystkie używki i gdy zaczęli się ze mnie naśmiewać, poczułem, że moi kumple i współpracownicy chyba mają mnie już na oku. Trudno było się zorientować, czy to prawda, skoro cały czas przenosiłem się z jednego hotelu do drugiego... Bo nigdy nie mieszkałem w kryjówkach. Takie miejsca, podobnie jak chociażby pokój 164, były wykorzystywane wyłącznie na czas pracy, a potem się z nich wynosiliśmy. Mieszkałem w kryjówkach tylko wtedy, gdy musiałem przez cały czas zajmować się kimś, kto został pobity lub gdy prowadziłem przesłuchanie.

Kiedy okazało się, że muszę błyskawicznie zmieniać miejsca pobytu, wiedziałem doskonale, jak to zrobić. Pomagałem wielu moim kumplom i współpracownikom, szkoląc ich w śledzeniu i inwigilacji ludzi. Gdy zatem sam znalazłem się w takiej sytuacji i postanowiłem opuścić organizację, wystarczyły mi niecałe dwa dni, żeby się zorientować, że przez cały czas mnie śledzą. W końcu postanowiłem, że nadszedł czas konfrontacji.

===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0o+WzdZMB4+dzMTJBwoHy8dKw===

## Dziecko boże

Pamiętam, jak raz wyjechałem z kryjówki i zmierzałem do hotelu. Wiedziałem już, że śledzi mnie jeden z moich kumpli. Niespecjalnie mnie to jednak zaniepokoiło, bo to typowe zachowanie, gdy ktoś rzuca picie i narkotyki. Taki krok może oznaczać dwie rzeczy – że człowiek zamierza spędzić dla odmiany trochę czasu w domu lub, że chce uciec, wyrwać się całkowicie z obecnego życia. Bossowie zaczynają zatem bardzo czujnie przyglądać się takim pracownikom. Jeśli szefowie mówią: „Masz, napij się”, to musisz pić. Jeśli mówią: „Zapal”, to masz zapalić. Jeśli ci każą zażyć narkotyki, musisz to zrobić.

Wiedzą, że człowiek, który nie jest pod wpływem żadnych substancji, jest w pełni świadomy wszystkich pięciu zmysłów. W tamtych czasach normą było dla mnie wypijanie około litra whiskey dziennie, zażywanie *cuarta* kokainy (czyli parę ładnych gramów, bo wciągaliśmy przez cały dzień) i wypalanie nawet dwóch paczek papierosów. To był mój normalny stan – nie przejmowałem się, że ktoś jest przy mnie, kiedy zażywam kokainę, nie stanowiło to dla mnie najmniejszego problemu, bo było mi obojętne, czy ktoś to widzi. Bywało, że z kimś rozmawiałem i równocześnie zażywałem narkotyk... Są miejsca, w których można kupić działkę [używa słowa *bala*, czyli pocisk], i dostać ją od ręki. Wystarczy się wtedy odwrócić i wciągnąć kreskę kokainy, nie bawiąc się w żadne papierki czy inne głupoty. Po śmierci Amada Carrilla kokaina stała się łatwo dostępna w całym Juárez<sup>45</sup>).

45) To właśnie Amado Carrillo, kierujący kartelem z Juárez w latach 1993–1997, zabronił sprzedaży kokainy w mieście. Po jego śmierci narkotyki stały się łatwiej dostępne i żaden z przywódców kartelu ani przedstawicielei władz nie był w stanie przejąć pełnej kontroli nad rodzimym rynkiem narkotykowym.

Gdy rzucasz narkotyki, człowiek, który za ciebie odpowiada, zaczyna się niepokoić. Doszedłem do wniosku, że śledzenie i inwigilacja mojej osoby to coś normalnego. Rzadko pojawiałem się w domu. Spędzałem w nim dwie czy trzy noce, a potem przez dwadzieścia czy dwadzieścia pięć dni przebywałem z dala od niego. Dlaczego? Ze względu na bezpieczeństwo. Starłem się utrzymać w tajemnicy przed nimi, gdzie nocuję. Zawsze miałem pokój w motelu lub jakieś kryjówki u przyjaciół, w których mogłem spędzić kilka godzin, a potem ruszyć dalej. Mogłem też jechać do motelu, wziąć prysznic i zmienić ubranie. Albo zaprosić na przykład do restauracji jakieś dziewczyny i wrócić na noc w zupełnie inne miejsce.

Gdy jednak rzuciłem picie, papierosy i narkotyki, moi szefowie nie byli specjalnie zadowoleni. Przestałem się ciągle włóczyć po motelach i dużo częściej sypiałem w domu. Ta sytuacja ich zaniepokoiła. „Co się z nim dzieje? Co mu łązi po łbie? To już nie ten sam człowiek, co przedtem”.

Jedynym plusem rezygnacji z narkotyków i alkoholu było to, że zacząłem jeszcze lepiej wykonywać swoją robotę. Gdy rzuciłem picie, palenie i ćpanie, zdałem sobie sprawę z tego, że nie działałem już na sto procent. Zacząłem funkcjonować na dwieście procent. Pracowałem o wiele, wiele lepiej. Byłem silniejszy, szybszy i bardziej agresywny. Gdy zerwałem z nałogami, praca wcale mi nie ciążyła, wręcz przeciwnie – byłem sprawniejszy niż przedtem, skuteczniejszy i zdecydowany. Moje zmysły były wyostrzone bardziej niż kiedykolwiek. Ani razu się nie zawahałem... Gdy dostawałem rozkaz od przełożonego, umiałem już patrzeć w jego oczy i na język ciała, i nawet wtedy, gdy stał tyłem, dostrzegałem każdy ruch głowy, ramion, dłoni... i wiedziałem, co mi powie, zanim jeszcze otworzył usta.

Byłem w doskonałej formie – tak dobrej, że zacząłem dostrzegać tablicę, którą zawsze, ale to zawsze mijałem w drodze do domu. Był to wielki billboard z napisem:

*Jeśli masz problemy, zwróć się do Niego.*

Pod spodem był jeszcze numer telefonu. Tak, widywałem tę tablicę dosłownie każdego dnia przez miesiąc czy dwa. Każdego dnia.

Przez miesiąc czy dwa, kiedy tamci próbowali przewidzieć, jak rozwinie się moja sytuacja, ja byłem już przygotowany. Pewnego razu mieliśmy wykonać robotę w dyskotecze z barem.

*Wykonuje szkic sytuacyjny.*

Tutaj mamy wejście. Gdy tędy weszli, ja byłem w środku z osobą, której pilnowałem. Tam było wyjście. Nigdy nie wychodziłem tymi samymi drzwiami, którymi wszedłem. Bez trudu uciekłem, wychodząc tylnymi drzwiami, a tam czekał już na mnie samochód opancerzony i ludzie, którym ufałem. Wybrałem do tej roboty takich, którzy nie pili, nie palili i nie brali narkotyków.

W pewnym momencie zmiana, która zaszła we mnie, w mojej osobowości, była już tak radykalna, że tamci zaczęli wątpić w moją abstynencję. W przeszłości ćpałem na potęgę. „Co ty robisz? Co bierzesz?”. Myśleli, że jestem na jakichś innych prochach. Ja na to: „Nic, nic. Nie chcę już nic brać”. Powiedziałem im, że mam już kompletnie dosyć dragów. Brałem narkotyki i piłem alkohol właściwie przez całe życie. Po prostu już nie mogłem...

*Zdarzało się, że spałem.*

Tu mamy łóżko i poduszkę. Z boku kałasznikow, w nogach AR-15, pod łóżkiem broń – 9 mm albo trzydziestkę ósemkę. Żyłem w takim stresie, że gdy tylko usłyszałem jakikolwiek, nawet najcichszy dźwięk, natychmiast zrywałem się na równe nogi gotowy do strzału. Wielokrotnie bałem się wrócić do domu, bo czułem straszne napięcie, byłem już na krawędzi. Obawiałem się, że jeśli żona, która spała przy moim boku, poruszy się albo usłyszę przez sen jakiś dźwięk, to mogę jej zro-

bić krzywdę. Wszystko mi się mieszało i nie widziałem już różnicy między wrogiem a najbliższą rodziną.

Jest takie powiedzenie: „Nigdy nie pozostawiaj wroga przy życiu”. On cię odszuka i zabije. W związku z tym ciężko mi było spać bez broni u boku. Gdy brałem dużo narkotyków, prawie w ogóle nie sypiałem. Czasami drzemałem. Potem musiałem wstawać, brałem prysznic, po czym znowu ćpałem i piłem. Wychodziłem z domu, czasem wynajmowałem pokój w motelu. Byłem sam, więc wieszałem tabliczkę „Nie przeszkadzać”, po czym spałem dzień czy półtora. Całkiem sam. W pustym pokoju. Płaciłem za trzy lub cztery dni. „Nie przeszkadzać”. Zasłaniałem wszystkie okna, robiłem zupełne zaciemnienie i spałem, spałem, spałem...

Gdy moi koledzy z pracy zaczęli dostrzegać we mnie zmiany, przyszedł dzień, kiedy udało mi się uciec tym, którzy mnie inwigilowali. Szkoliłem wielu z nich w tych technikach, więc znałem sztuczki, które należy zastosować, gdy ktoś cię śledzi. Obserwowali mnie. Sam ich tego nauczyłem – nie wszystkich, ale wielu – więc mogłem przyglądać się ich poczynaniom. Gdy przez dzień czy dwa nie mieli ze mną żadnego kontaktu, zaczynali wydzwaniać do domu. Nie byłem z tego zadowolony, bo dotarło do mnie, że nie szanują ani mojej rodziny, ani prywatności.

Szefowie zaczęli mi przydzielać najprostsze zadania.

– Słuchaj, ten parkingowy przy takiej a takiej restauracji popatrzył nie tak na moją żonę. No! Do roboty! Ustaw go! – mówili.

No nie, to nie była praca dla mnie. To była robota dla początkujących. Wiedzieli, że nie jestem od tego, żeby kogoś ustawiać. To nie było w moim stylu, żeby podchodzić do kogoś, rzucać: „Ty! Przestań się tak gapić na żonę tego a tego”, po czym częstować go kilka razy z otwartej dłoni. To nie była praca dla mnie, więc powiedziałem:

– W porządku, pokieruję tym. Wyznaczę kogoś do tej roboty.

Oni jednak upierali się i nalegali:

– Nie! Ty to zrób. Ty się tym zajmij osobiście.

Problem polegał na tym, że nie byłem w stanie wykonywać zadań, którymi zajmowali się początkujący; po wszystkich latach, które przeżyłem i przepracowałem w tym środowisku – od pierwszego szkolenia, od pierwszego rozkazu zabicia człowieka... Odkąd nauczyli mnie całymi dniami pilnować uwięzionego... Odkąd nauczyłem się spędzać trzydzieści czy sześćdziesiąt dni w ciszy, w zamkniętym pokoju... Odkąd nauczyli mnie żyć na prochach i nie spać przez dwa tygodnie... Odkąd nauczyli mnie nigdy, przenigdy nie pozostawiać wroga przy życiu...

Przekraczanie tych wszystkich kręgów miało jeden cel. Nie mogłem już po prostu podejść do tego faceta czy do kogokolwiek innego i rzucić, ot tak: „Słuchaj, przestań mendzić”. Mój stosunek do świata nie dopuszczał tego, żebym powiedział: „Człowieku, daj mi spokój. Idźże”. Nie, mój stosunek do świata był inny – ja byłem zabójcą. Moim zadaniem było wykonywanie egzekucji.



Gdy pozbyłem się z organizmu narkotyków i alkoholu, zacząłem się przyglądać swojemu wnętrzu i zastanawiać nad swoim życiem. Powiedziałem sobie: „Tak będzie już zawsze, do końca”. Tak mi się trafiło. Wychodzę i nie mogę już grzecznie powiedzieć gościowi, żeby przestał sprawiać kłopoty bossowi czy komukolwiek. Nie, ja w takiej sytuacji idę, leję go albo nawet wyciągam pistolet i strzelam. Po prostu! Ot tak, normalnie. Wsiadam do samochodu, odjeżdżam i niczym się nie przejmuję. Gdy zatem boss denerwuje się tą akcją, stawiam się:

- No i dlaczego pan mnie teraz ruga?
- Przecież powiedzieliśmy ci, żebyś go tylko nastraszył, a nie zabił.
- Nie, mnie się nie wysyła tylko po to, żebym przekazywał ostrzeżenia. Nie wysyłacie mnie, żebym wyłącznie straszył ludzi. Nie do tego zostałem wyszkolony. Nie mogę się tym zajmować, proszę znaleźć kogoś innego, kto dopiero zaczyna w tej pracy – odpowiadam.

Przeżyłem zbyt wiele. Pętla się zaciskała. Zacieśniał się krąg, w którym żyliśmy – wszyscy ci, którzy byli szkoleni i dobierani latami. Poruszaliśmy się w takim kręgu i w końcu nadchodził czas, że intuicyjnie wiedzieliśmy, co zrobić w danej sytuacji. Skoro szefowie wybierali jakąś osobę do określonego zadania, to robili to z jednego powodu – doskonale wiedzieli, jak ten człowiek się zachowa. Nie wysyłali na akcję kogoś, nie wiedząc, jakie są jego możliwości i co jest w stanie zrobić. Nawet jeśli był to człowiek niepozorny, bo warunki fizyczne nie grają tu roli – jeden może być wyższy i lepiej zbudowany, drugi znacznie węższy od ciebie, ale obaj są równie niebezpieczni. Najważniejsze, żeby być roztropnym, opanowanym i wiedzieć, jak sobie poradzić z danym człowiekiem.

W tamtym czasie nie byłem już w stanie opanować swoich odruchów na tyle, żeby wykonać rozkaz, który zakładał połowiczne rozwiązania, zatrzymanie się w połowie drogi. Gdy mówili: „Weź go żywcem”, oznaczało to, że wykorzystujemy pełną ekipę i sprzęt. Wszyscy mieli na sobie mundury – wojskowe, federalnej policji kryminalnej albo funkcjonariuszy biura federalnego prokuratora generalnego. Wszyscy na czarno, w kamizelkach kuloodpornych, w oznakowanych służbowych samochodach.

Czasami działałem wyłącznie jako obserwator. Zdarzało się jednak, że jeśli obiekt podejmował próbę ucieczki, obserwator zamieniał się w egzekutora. Nie wolno było popełnić błędu i pozwolić uciec komuś, kogo najpierw się zatrzymało. Nie można było do tego dopuścić pod żadnym pozorem.

Na stanowisko osoby nadzorującej całość operacji wyznaczano zatem człowieka, który był najlepiej wyszkolony. Gdy coś poszło nie tak, obserwator doskonale wiedział, co się dzieje, a na dodatek był ustawiony w takim miejscu, że mógł dokończyć dzieła, zwłaszcza że miał doświadczenie jako egzekutor. Gdy ofiara została postrzelona, czy to w domu, czy w samochodzie, zawsze wyznaczano kogoś, kto miał zaraz potem podejść na miejsce zdarzenia i ją dobić, zadając *tiro de gra-*

cia, cios miłosierdzia. W ten sposób zabezpiecza się cel. Dopóki nie dobieje się ofiary, zadanie nie jest wykonane. Nawet jeśli człowiek jest podziurawiony kulami jak rzeszoto, a krew leje się z niego strumieniami, zadanie nie jest wykonane, dopóki nie dokona się zabezpieczenia. Polega ono na tym, że strzelasz w głowę – jeśli chcesz mieć gwarancję wykonania zadania, musisz o tym pamiętać.

Błędem było wysyłanie kogoś takiego jak ja na robotę dla początkujących. Skoro człowiek przeszedł przez te wszystkie etapy, znajdował się w trudnej sytuacji, bo nie był już w stanie zajmować się drobiazgami. Może mógłbym wykonywać takie zadania pod wpływem odpowiedniego narkotyku czy środka uspokajającego, ale w tamtej sytuacji to nie była praca dla mnie.

I właśnie wtedy, w decydującym okresie mojego życia, każdego, dosłownie każdego dnia widziałem ten znak stojący przy drodze do domu.

*Jeśli potrzebujesz pomocy, zadzwoń pod ten numer. ON ci pomoże.*

Zawsze, ale to zawsze podczas jazdy ta wiadomość pojawiała się przed moimi oczami.

Któregoś razu popełniłem błąd. Moi szefowie wysłali mnie do innego miasta, żebym odzyskał pieniądze od człowieka, który był winien organizacji pewną sumę. Pojechałem tylko po odbiór kasy. Dla osoby takiej jak ja było to kolejne ponizająco proste zadanie. Odebrałem dług i dokonałem wpłaty, ale część zatrzymałem dla siebie. To nie były moje pieniądze. Ukradłem je. A potem wróciłem do *la vida loca*, szalonego życia – ćpałem i piłem przez tydzień. Gdy mój szef dowiedział się, że zatrzymałem dla siebie część pieniędzy, które powinienem był wpłacić, był bardzo niezadowolony i wściekły. Organizacja straciła zaufanie, jakie do tej pory we mnie pokładała.

Podczas pobytu w tamtym obcym mieście znowu trafiłem na to samo ogłoszenie, tyle że w innej formie. Zobaczyłem przed sobą znak:

*Jezus cię kocha.*

Ale ja na to odpowiedziałem – on dla mnie nie istnieje.

Jaki był dalszy rozwój wydarzeń? Szefowie wysłali ludzi z mojego zespołu, z mojej własnej ekipy, żeby mnie odnaleźli. Ja jednak byłem czujny. Zorientowałem się, że mnie szukają, więc mniej więcej co trzy godziny zmieniałem miejsce pobytu. Nie byłem żółtodziobem, wiedziałem, że wysłani za mną ludzie nie należą do najbardziej zaufanych. To byli goście, których osobiście wyszkoliłem, a niektórzy mieli wobec mnie jakiś dług wdzięczności. Mogłem ich zapytać: „Czego wy ode mnie chcecie? Po prostu poproście. Nie pakujcie się w kolejne kłopoty”.

Cały czas mnie śledzili. Przez tydzień ciągle się chowałem – to tu, to tam. Jednak po kolejnych paru dniach postanowiłem, że muszę im stawić czoło – w końcu najgorsze, co mogą zrobić, to mnie zabić. Wiedziałem już, że jeśli nie pojawię

się na spotkaniu zgodnie z rozkazem, to zaczną polować na moją rodzinę. Biorę więc telefon i dzwonię.

– Gdzie chcesz się ze mną spotkać?

– Tutaj.

Wsiadłem więc do autobusu, bo nie miałem wtedy samochodu. Pojechałem w to miejsce, w którym wyznaczono mi spotkanie.

*Długo wzdycha. W jego głosie słychać wspomnienie chwili, w której z myślowego zamienił się w zwierzynę.*

Ta droga... była długa. Wydawało mi się, że nie ma końca. Teraz to ja byłem celem. Wiedziałem, że czeka mnie ciężka rozmowa z kimś bardzo niebezpiecznym. Nie było we mnie jednak strachu. Wiedziałem, że sobie poradzę. Serce podpowiadało mi, że dam sobie radę, aczkolwiek nie bez problemów. Tego, co czułem, nie można było nazwać strachem. Nie chodzi o to, że nie wiedziałem, co to znaczy się bać. Jednak wtedy naprawdę się nie bałem, bo wiedziałem, że najgorsze, co mnie może spotkać, to śmierć z ich rąk.

Gdy dotarłem na miejsce spotkania, nikt na mnie nie czekał. Zadzwoiłem znowu. Kazali mi czekać. Nagle dosłownie znikąd pojawiły się dwa samochody. Polecili mi wsiąść do jednego z nich. Wsiadłem i natychmiast zostałem uwięziony. Tak, wpadłem prosto w potrzask. Porwali mnie. Po drodze widziałem kilka samochodów. Za nami jechało jedno auto, ale z przodu było kompletnie pusto. Niemal przez całą drogę sunął za nami policyjny radiowóz. Bez trudu mogłem otworzyć drzwi samochodu. Tamci niespecjalnie znali się na robocie, więc mnie nie skuli. Wsiadłem do auta dobrowolnie. Mogłem powiedzieć coś niecenzuralnego kierowcy radiowozu, mogłem coś wrzasnąć i zwrócić uwagę policjantów, którzy musieliby nas zatrzymać. Wiedziałem jednak, że gdybym wykonał taki ruch, próbując ucieczki, bez trudu znaleźliby moją rodzinę, która byłaby wówczas w wielkim niebezpieczeństwie.

Do kryjówki jechaliśmy niemal czterdzieści minut – to było zdecydowanie wbrew regułom. Powinno być tak, że trasę z punktu, z którego mnie zabrali, do miejsca przeznaczenia, powinno się pokonać maksymalnie w siedem minut. Zmusili mnie, żebym ukląkł na podłodze i zaczęli bić. Czułem w tamtej chwili straszliwą złość, wściekłość i bezsilność. Popatrzyłem na nich i mówiłem sam do siebie: „Panie Boże, dlaczego nie robię nic, żeby się ich po prostu pozbyć?”

Nie było ich wielu, tylko pięciu facetów, z których jeden przestał mnie pilnować i poszedł do łazienki. Mógłbym się z nimi rozprawić w jednej chwili. Przeszedłem szkolenie po to, żeby sobie radzić w takich sytuacjach. W końcu zacząłem płakać z wściekłości. A tamci śmiali się ze mnie.

– Stary, myśmy myśleli, że jesteś twardszy.

*Na to wspomnienie wykrzywia usta w drwiącym uśmiechu i lekko chichocze.*

Gdy zatem tak leżę na podłodze, jeden z tych gości mówi do mnie:

– Stary, myślałem, że jesteś trochę twardszy.

A ja mu odpowiadam:

– Wiesz, czemu płaczę? Bo się boję, że was pozabijam. Płaczę, bo się boję, że zrobię z was wszystkich mielonkę. Mógłbym was porozrywać na strzępy gołymi rękami.

A wtedy któryś z nich podaje mi telefon.

– Tak – odpowiadam osobie, której głos słyszę w słuchawce. A ten głos mówi:

– Masz trzydzieści sekund, żeby się stamtąd wydostać.

– Dobra.

– I nie chcę cię więcej widzieć – wiedziałem, z kim rozmawiam.

Wzięli ode mnie telefon, a wtedy ta sama osoba wydała im rozkaz – mają mnie nie wypuszczać.

Bóg jest wielki. Bóg jest potężny. Wiedziałem, kim jest ten facet, który poszedł do łazienki. Kilka miesięcy wcześniej moi szefowie posłali mnie za nim.

– Znajdź go. Jest nam winien około czterdziestu tysięcy dolarów. Powiedz, że ma oddać. Jeśli nie da ci tych pieniędzy, pozbądź się go.

Gdy go znalazłem, mniej więcej miesiąc przed tymi wszystkimi wydarzeniami, dopadłem go wedle rozkazu i powiedziałem:

– Masz zapłacić, ja ci to mówię. Wiem, że wystarczy ci pieniędzy. Zapłać, co jesteś winien. To nie jest dużo. Jeśli nie masz tutaj tych pieniędzy, załatw. Gdy będziesz je już miał, zadzwoń do mnie, zapłać i nie będziesz miał już więcej żadnych problemów – zostawiłem mu numer telefonu i go wypuściłem. Ale nie wiedziałem się z nim potem aż do dnia mojego porwania.

Byłem całkiem nagi. Nie wiem, skąd wzięli tych facetów, którzy mieli mnie pilnować. Jeden poszedł do kuchni, drugi na patio, trzeci do innego pokoju, a czwarty znalazł się na zewnątrz, bo chciał porozmawiać przez telefon. Wtedy wszedł ten, którego znałem – ten, który był w łazience – i mówi:

– Słuchaj, nic do ciebie nie mam. Nie mam też ci za co specjalnie dziękować. Ale wiesz co? Ja nie jestem od nich i nie działam na ich rozkazy. Jeśli więc chcesz stąd wyjść, to tam są drzwi – rozejrzałem się wokoło. Nie widać nikogo innego. Tylko on. Miał pistolet. Nie spuszczałem go z oka. Po chwili wstałem (wciąż nagi), otworzyłem drzwi i uciekłem.

Byłem tuż przed bramą na osiedle (to było prywatne osiedle ze strażnikiem przy wjeździe), gdy zatrzymał się koło mnie samochód. Za kierownicą siedział ten sam facet. Byłem goły, więc schowałem się pod jakimś samochodem. A ten mówi do mnie:

– Wylaż. Strażnicy stojący przy bramie dostali rozkaz, żeby cię nie wypusz-

czać. A tamci cię szukają.

Pomyślałem sobie: „Dlaczego muszę zrobić coś, czego nie chcę?”.  
*W tamtej chwili wciąż obawiał się, że znowu będzie musiał zabijać.*

Zapytałem więc:

– Co mam zrobić?

On na to:

– Wsiadaj do samochodu.

Ten człowiek – nie wiadomo, dlaczego – w odpowiednim momencie został zesłany przez Boga, żeby wydać mi polecenie, któremu mogłem zaufać... Ten człowiek wywiózł mnie w swoim samochodzie. Gdy mnie wysadził w bezpiecznym miejscu, udałem się do mojej żony i córki, żeby je uwolnić od „opieki”. Przeskoczyłem przez mur na tyłach posiadłości, bo wiedziałem, że porywacze będą obserwować dom. Zabrałem żonę z córką i uciekliśmy. Zdążyłem wziąć tylko koszulkę i jedną parę spodni, nic więcej. Zabrałem je i uciekliśmy. Później nasz dom został splądrowany. Zabrali broń, narkotyki i całą gotówkę. Czasu starczyło mi tylko na uratowanie rodziny.

Po tym wszystkim ukryłem się na parę dni w mieście, pamiętając ciągle o billboardzie z numerem telefonu. Powtarzałem w myślach jedno pytanie: „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?”.

Musiałem wyjechać i rozstać się z rodziną. Wysłałem ich w pewne miejsce, a sam pojechałem gdzie indziej. Teraz nigdzie nie mogłem się czuć bezpiecznie, nie wiedziałem, co mnie czeka i nie mogliśmy już być razem. Bałem się, że tamci dopadną i mnie, i moją rodzinę. To było naprawdę realne zagrożenie. Gdyby porwali nas razem, musielibyśmy umrzeć wszyscy. Uznałem, że lepiej się rozdzielić. Zaczęliśmy uciekać ze stanu do stanu, z miasta do miasta, każde osobno. Nigdy się nie spotykaliśmy. Nie mieliśmy pieniędzy, nie mieliśmy dosłownie nic, ale mimo to krok po kroku wydostawaliśmy się z tej pułapki, z naszego dotychczasowego życia. Droga odwrotu była zamknięta.

Nie mogliśmy już być razem. Musiałem podróżować sam. Pojechałem na spotkanie z człowiekiem, do którego moi szefowie wysyłali mnie co najmniej cztery, a może i sześć razy, z rozkazem odnalezienia i wykonania wyroku. Najpierw jednak kazali mi odebrać ponad półtora miliona dolarów, które był winien organizacji. Nigdy nie udało mi się go odnaleźć i wykonać zadania.

Gdy przyjechałem do tamtego miasta, wziąłem do ręki książkę telefoniczną i pierwszą rzeczą, jaka wpadła mi w oko, była reklama jego firmy. To nie mógł być przypadek...

*Osoba, z którą się spotka, to człowiek pracujący niegdyś dla kartelu. Przeszedł przemianę duchową, nawrócił się na chrześcijaństwo i porzucił organizację przestępczą. El Sicario udał się do niego z prośbą o pomoc.*

Postanowiłem więc zadzwonić do jego biura i umówić się na rozmowę. Gdy przekazali mu tę informację wraz z moim nazwiskiem, okazało się, że wcale nie zamierza się ukrywać ani uciekać.

– Powiedzcie mu, żeby tu przyszedł teraz, zaraz, a ja z nim porozmawiam.

Tak właśnie zrobiłem. Poszedłem do biura, a on mnie przyjął. Oczywiście wiedział, że jestem człowiekiem, który go poszukiwał z rozkazem wykonania wyroku. Do tej pory nigdy jednak nie trafiłem na jego ślad.

Jeszcze większym zaskoczeniem było samo spotkanie. Wszedłem do biura i zobaczyłem, że jest bardzo spokojny, jakby niczego się nie obawiał. Uścisnął mi rękę na powitanie i zapytał:

– Czym mogę panu służyć? – Powiedział, że czekał na mnie. Coś mu podpowiadało, że przyjdę, że mam jakiś problem i on musi na mnie czekać. Potem słuchał mnie z uwagą i skupieniem przez parę minut. Najbardziej niedorzeczne było to, że od razu zaczął mówić o Bogu – o Bogu i o miłości, jaką On mi okazuje.

– Bóg szukał cię przez długi czas. Dawał ci wyraźne znaki i sygnały, żeby cię wezwać do siebie. On już zapłacił za twoje grzechy. Nie masz się o co martwić.

– To niemożliwe. Oni [ludzie z organizacji przestępczej, którzy go porwali] mnie szukają. Uciekłem. Zwiąłem. Wciąż mnie szukają. Zrobiłem tyle straszliwych rzeczy... Tyle mam na sumieniu...

– Nie martw się. Bóg cię oczyści. On już zmył wszystkie twoje grzechy. To, że jesteś tu ze mną, że spędzam z tobą czas...

– Wiesz co? Potrzebuję bezpiecznej kryjówki. Gdzie ją znajdę?

– Coś ci powiem. Nikt cię nie weźmie żywcem. Ci, którzy cię znają, wiedzą, skąd jesteś, kim jesteś i dlaczego tu jesteś. Uratować mógłby cię tylko jeden człowiek – jakiś szaleniec. Wiesz co? Chodź ze mną. Przedstawię cię komuś.

I zabrał mnie do człowieka naprawdę szalonego – *un loco*. A ten szaleniec udzielił mi schronienia na wiele tygodni, na całe miesiące. Nie był to jednak zwyczajny *loco*. Ten człowiek miał wokół siebie mnóstwo innych *locos*, którzy darzyli go miłością. Wkrótce także ja zacząłem odczuwać miłość i przywiązanie tych ludzi, którzy naprawdę wyzwolili się z niewoli. Ludzi, którzy zupełnie oszaleli i stali się kompletnymi idiotami. Zupełnie potracili głowy. Niektórzy popełnili ciężkie grzechy i okazali skrucę, ale Bóg nie dał im szansy porzucenia złego życia we właściwym czasie. Nie dał im takiej szansy, jaką dostałem ja – szansy wyrwania się w samą porę z tego kręgu zła.

Człowiek, który zaprowadził mnie do tego *loco*, powiedział:

– To jedyna osoba, która może cię z tego wyciągnąć, jedyna, która może ci podać pomocną dłoń. Ja nie mogę ci pomóc w żaden inny sposób.

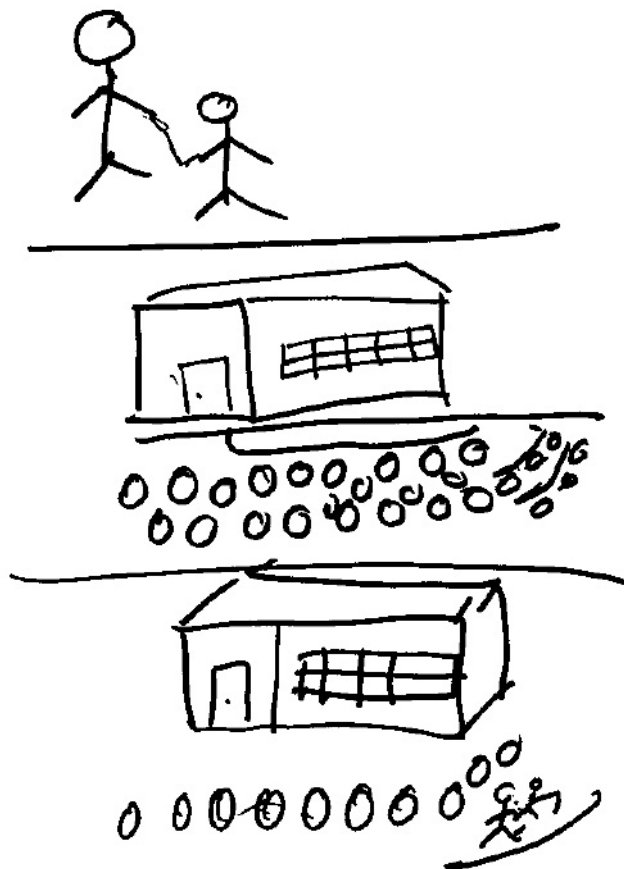
Nie miał żadnych kryjówek. Miał natomiast pieniądze – był ustawiony finansowo, więc mógłby zapewnić mi noclegi w hotelu czy w jakimś domu, nie dając

jednak żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Powiedziałem mu, że potrzebuję czegoś naprawdę pewnego, na co odparł:

– Cóż może być pewniejszego od mieszkania z tym szaleńcem?

Gdy dotarłem na miejsce, *loco* także opowiadał mi o Bogu.

Zaskoczyło mnie, że minęła jedna, druga, trzecia noc... a on okazywał mi tyle cierpliwości. W końcu zapytał:



– Chcesz porozmawiać? – Siedliśmy na dwóch dużych krzesłach twarzą w twarz. Zacząłem mówić. Mówiłem, mówiłem, mówiłem... Wcale nie chciało mi się spać. Czułem trwogę, rozpacz i osamotnienie. Zapytałem o swoją rodzinę. Co się z nimi stanie? Wtedy ten człowiek powiedział, że skoro jestem z nim, skoro Bóg mnie do niego przywiódł, to znaczy, że właśnie On mnie ocalił. Bóg zapłacił już za wszystkie moje grzechy, a ja muszę za nie żałować i Go przyjąć. W tamtej chwili potrafiłem powiedzieć tylko tyle:

– Nie, jestem tu, bo po prostu mam szczęście. Oni będą mnie szukać.

On odpowiedział mi na to:

– Zaufaj mi. Skoro cię przyjąłem, chodź moją drogą. To mój dar dla ciebie – i znowu mnie gdzieś zaprowadził, trzymając za rękę.

Podeszliśmy do wielkiego budynku – kościoła czy miejsca spotkań jakiejś sekty. Znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu. Siedliśmy na krzesłach, które

ustawiono rzędami. Obracam się i widzę, jak przestronne jest wnętrze tej budowli. Wewnątrz zgromadził się tłum mężczyzn. Co tu sprowadza tysiące ludzi, co ich tu przyciąga? To było dla mnie ogromne zaskoczenie. Tysiące facetów, którzy płaczą, krzyczą i tańczą. Teraz wiem, że było to nabożeństwo ku czci Boga, a wierni modlili się i wychwalali Pana. Wówczas pierwszy raz zobaczyłem coś takiego i to mnie po prostu rozśmieszyło. Pomyślałem sobie: „Co za pedały... Płakać przy piosence? No nie. Nieźle popierdoleni”. Wszyscy stali, a nie było ich dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu. Widziałem wokół siebie ponad cztery i pół tysiąca mężczyzn, a każdy z nich zwracał się do Boga, którego nie znałem. Płakali, wychwalali Pana i wyznawali Mu swoją miłość. „No nie, żywy to ja stąd nie wyjdę” – przeszło mi przez myśl.

Potem wróciłem do domu, w którym ten człowiek udzielił mi schronienia, a on zapytał:

– Co sobie pomyślałeś?

– No co, płaczą, śpiewają, tańczą. Ale co zrobią, jeśli do kościoła wejdzie ktoś, kto mnie będzie szukał? No, co wtedy zrobią? Nie ochronią mnie przed kałasznikowem. Jedna kula z kałacha spokojnie przedziurawi z piętnaście ciał! Wystarczy jeden wystrzał i pyk! Wszyscy leżą. Co wtedy zrobią? Co z tego, że ich jest pięć czy dziesięć tysięcy? Co zrobią?

– Oni? Nic. Nie oni cię ocalą, ale Bóg, nasz Pan. Bóg ma swój cel w tym, że się tu znalazłeś. On chce, żebyś tutaj był – nie bez przyczyny.

Następnego dnia znowu wybierał się do kościoła, więc powiedziałem:

– Też chcę jechać. Chcę zobaczyć, jak te wszystkie pedały beczą wniebogłosy.

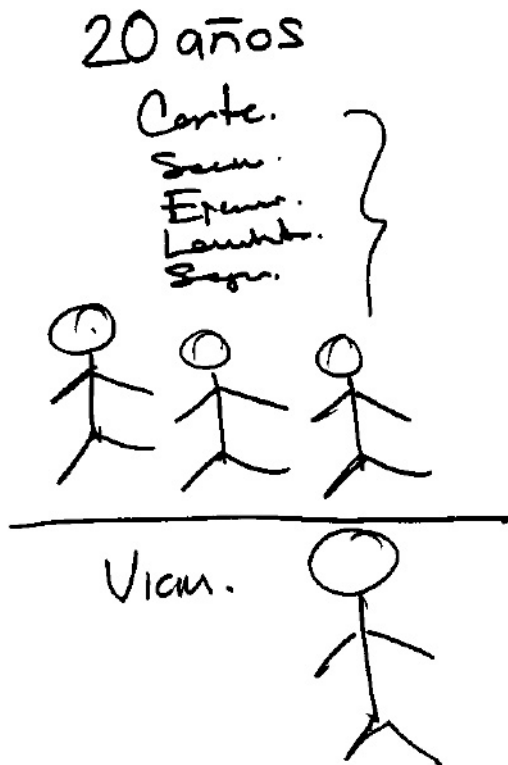
*Zaczyna chichotać na to wspomnienie.*

Zaskoczyło mnie, że gdy znalazłem się tam... Nie wiem, co poczułem. Nie potrafię wyjaśnić tego uczucia. Po prostu zacząłem płakać.

*Kiedy o tym opowiada, wybucha płaczem. Mówi i szlocha.*

Nie słyszałem kazania, nie słyszałem niczego. Gdy znalazłem się na miejscu, a grupa muzyczna zagrała pierwsze akordy, wybuchnąłem płaczem. Płakałem jak nigdy wcześniej, wylewając więcej łez niż kiedykolwiek, nawet w dzieciństwie. Płakałem chyba od dziewiątej czy dziesiątej rano, nie pamiętam dokładnie. Płakałem bez przerwy przez pięć czy sześć godzin. Klęcząc, leżąc na posadzce i prosząc Boga, żeby mi wybaczył wszystko, co zrobiłem.





Słyszałem ludzi, którzy płakali nade mną. Czułem, jak mnie dotykają dłońmi. Wyciągałem do nich ręce. A w mojej głowie pojawił się obraz. Widziałem to wszystko.

*Przewraca strony zeszytu, w którym rysował swoją historię.*

W ciągu tych minut czy godzin w mojej głowie wyświetliło się wszystko, co przeżyłem. Wyświetliło się i zostało wymazane. Wszystko, co zrobiłem.

– Posłuchaj, zrobiłem to i to, i to!

Za każdym razem, gdy ktoś podchodził do mnie i mnie dotykał, czułem jego ciepło i czułem, jak pod wpływem tego ciepła wypalają się moje grzechy. Każdy mówił:

– Jesteś wolny. Jesteś wolny.

A ja przypominałem:

– Nie, ja zrobiłem to, i to, i to... – oni zaś cały czas płakali i się modlili. Zobaczyłem siebie jako dziecko – całe moje życie mknęło mi tak szybko przed oczami... lata dziecięce, czas dojrzewania... Widziałem, jak ukazuje mi się wiele dobrych rzeczy. Przypominałem sobie rodziców, dzieciństwo, wspominałem szczęśliwe chwile, wspominałem cyrk, wspominałem matkę, która wtedy jeszcze żyła, wspominałem zabawy z braćmi, przypominałem sobie wszystko to, o czym zapomniałem. Przypominałem sobie każdy moment wyparty z pamięci po to, żeby służyć człowiekowi, który nie był nic wart. Wszystkie te wspomnienia powróciły do mnie, napęłniając radością moje serce.

– Co to jest? – zapytałem. To jest samo dobro, to oznacza bycie dobrym człowiekiem, to jest wyzwolenie spod tego jarzma, ciężaru, który przez cały czas nosiłem na ramionach. Wszystkie lata w służbie kartelom, w służbie ludziom, którzy wdeptywali mnie w ziemię, wydając rozkaz za rozkazem. Teraz wyzwalałem się z tego.

To były cudowne chwile – chwile, w których przepełniało mnie tak potężne uczucie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że On płacze i mnie woła, że to sam Bóg mnie wzywa, ale zdałem sobie sprawę z tego, że dzieje się coś niezwykłego. Następnego dnia powiedzieli mi:

– Jeśli ktokolwiek chce przyjść i przyjąć Pana, niech przyjdzie. – To było automatyczne. Nie potrzebowałem mówić: „Tak, chcę”. Po prostu wstałem i podszedłem do przodu. Stałem tam, odmówiłem kilka krótkich modlitw, po prostu parę słów – „Tak, kocham Go, pragnę Go, ponieważ to czuję, chcę należeć do tej rodziny, chcę należeć do Niego” – ponieważ właśnie ofiarował mi coś, czego nie dał mi nikt wcześniej. Ofiarował mi radość, przypominając o tym, jak piękne jest życie, jak pięknie jest być wolnym, jak wspaniale być razem z braćmi i siostrami, czerpać przyjemność z przebywania z nimi... z rodziną, o której już zapomniałem, że ją mam.

Moje uniesienie było tak wielkie, że powiedziałem Bogu: „Nikt, nikt na tym świecie, nikt na tej ziemi nie może mi zrobić nic, czego nie chce mój Pan Jezus Chrystus. Dziś narodziłem się w Nim na nowo”. Za każdym razem, gdy wyznawałem winę za kolejne grzechy i gdy ktoś mnie dotykał, czułem w sobie ogień, który przynosił przebaczenie win. Od tej chwili czułem się uwolniony od każdego ze straszliwych grzechów, jakie popełniłem. Wyzwolony po kolei z wszystkich okropnych czynów. Wolny od popełnionych błędów. Oddałem się w ręce Boga. Poprosiłem Pana o przebaczenie i przyjąłem Go do swojego serca.

W ten sam sposób modliłem się do Boga za cały tamten czas, za wszystkich tamtych ludzi, ludzi ze świata przestępczego, którzy mimowolnie wierzą... Prosiłem, żeby im powiedział – każdemu, który czuje się wielki, który ośmiela się określać samego siebie mianem *Señor*, Pan... Chcę mu powiedzieć, że Pan jest w Niebie i tylko On jest w stanie czynić cuda, tylko On potrafi przynieść deszcz, błyskawicę, grzmoty... Tylko On jest w stanie nas wskrzesić, wprowadzić nas z powrotem do świata czystego ducha i pokazać nam swoje piękno i miłość... Chcę powiedzieć, że On zawsze był i jest z nami, ale my nie daliśmy Mu szansy na to, by nam okazał swoją miłość.

Ci, którzy każą mówić do siebie *Señor*<sup>46)</sup>, są większymi tchórzami niż inni. Żyją w cieniu, kryją się w mroku, wierząc w to, że pomagają biedakom z Sierra, samotnym i ubogim, których jedynym bogactwem jest to, co urodzi im ziemia.

46) *El Sicario* odwołuje się tu do tytułu nadanego Amadowi Carrillovi, byłemu przywódcy kartelu z Juárez, znanemu jako El Señor de los Cielos, Pan Niebios

oraz do innych wpływowych postaci z organizacji zajmujących się handlem narkotykami. W języku angielskim określa się ich mianem *druglord*, baron narkotykowy.

Tacy ludzie są zadowoleni z siebie i czują się jak bogowie. Każą nazywać się Panami. Jednak jedynym Panem jest ten, który jest w Niebie. Są tacy, którzy mianują się Panem, Bossem, *Señorem*. Nie są jednak warci tych tytułów. Jedynym Panem, jakiego znam, jedynym Panem, dzięki któremu jestem tutaj, jest mój Pan Jezus Chrystus.



Wszystkim, którzy słyszą to przesłanie, którzy są teraz lub byli w przeszłości w takiej samej sytuacji, w jakiej ja się znalazłem, mówię jedno – zwróćcie się do Pana Jezusa Chrystusa i poproście Go o pomoc. Pan jest dla wszystkich – nie dla jednego człowieka, ale dla nas wszystkich. Daje nam zbawienie i życie wieczne. I powiem wam też, że gdyby kolejne kartki w księdze mojego życia miały pozostać puste, gdyby moje życie miało się skończyć właśnie dziś, to byłbym szczęśliwy. Jestem bardzo szczęśliwy, ponieważ wiem, że trafię do Nieba i będę żył z moim Panem Jezusem Chrystusem. Będę razem z Nim, ponieważ On umarł za mnie. Zyskałem przebaczenie i zostałem oczyszczony z grzechów przez Jego rany i cierpienie. To On zapłacił za mnie i za moje grzechy. Okazałem skruchę i już nie obawiam się śmierci. Mój strach znikł. Moja rodzina potrzebuje bezpieczeństwa, a mój Pan je zapewni. Nasz Pan Jezus Chrystus jest jedynym, który jest godny tego, by zwać go Panem.

*Milknij na dłuższy czas.*

Nigdy się nie bójcie. Nigdy się nikogo nie bójcie. Nikt nie jest silniejszy od naszego Pana Jezusa Chrystusa – nikt nie jest ani potężniejszy, ani mądrzejszy od Niego. Nikt – ani wysoki, ani niski, ani najlepiej zbudowany – nie jest mocniejszy od Niego. Wiem, że wielu ludzi ma już dość życia pod jarzmem *cacique*, bossa. Wiem, że są ludzie, którzy trwają w błędzie, dążąc w życiu wyłącznie do pieniędzy i władzy. Nie ma jednak innego wyjścia niż rozmowa z Panem Panów, Królem Królów, którym jest nasz Pan Jezus Chrystus. W porównaniu z tym, czego On chce

dla nas, żaden człowiek na tym świecie nie może nawet marzyć o tym, by stać się ziarenkiem piasku w Jego dłoni.

Rozważcie swoje życie, żałujcie za grzechy i żyjcie w Nim.

Bóg jest dobry i nas kocha. Bóg chce, byśmy byli razem z Nim.

Bóg wybacz.

Dziękuję, Boże, za życie, które mi ofiarowałeś.

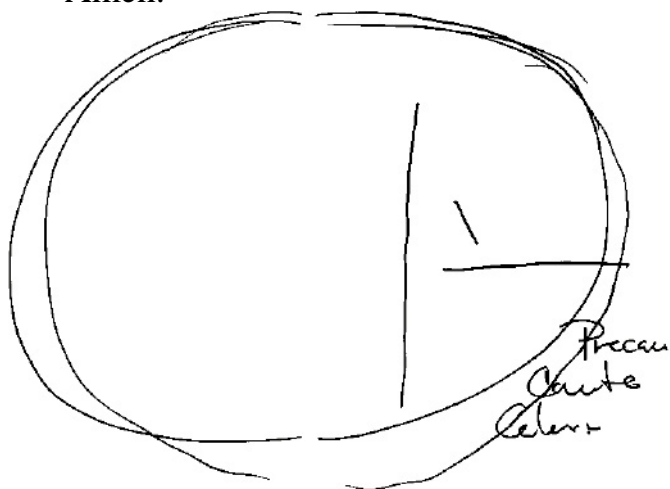
Dziękuję, Panie, za rodzinę, którą mi dałeś.

Dziękuję, Ojczy, za to, że pozwoliłeś mi tu być i dzielić się tym przesłaniem z innymi, którzy być może także będą mogli spotkać się z Tobą.

Chcę Ci tylko powiedzieć, że Ty jesteś, że jesteś dobry i łaskawy.

A skoro mnie przyjąłeś, skoro mi przebaczyłeś, to możesz wybaczyć każdemu człowiekowi. Wszystkim ludziom.

Amen.



## System i życie

### Życie, 1

Typowy dzień...

Powiedzmy, że budzisz się i wstajesz w jakimś hotelu w Torreón. Jest szósta rano. Zjadasz szybko typowe amerykańskie śniadanie wliczone w cenę noclegu. Czekasz, aż wstaną ludzie, dla których pracujesz, ponieważ jesteś uzależniony od ich rozkazów. Zmieniasz kolegów na warcie. Gdy szef wstaje, idziesz z nim na obiad do lokalu, który on wybiera.

Potem patrolujesz miasto. Patrzysz, czy jest ktoś nowy, jakieś nowe samochody. Sprawdzasz, czy przypadkiem nie pojawił się ktoś obcy, kto może pracować dla innego kartelu. Na posterunkach kontrolnych za rogatkami mamy informatyków, donoszących o nieznajomych wjeżdżających do miasta. Dostajemy od nich sygnał i ruszamy zbadać sytuację, zobaczyć, co się kroi. *Narcos* działają tak samo jak służby federalne czy stanowe. Wszystko jest skoordynowane. To, co zarobisz, zostaje wydane co do grosza.

Wieczorem idziesz na kolację do dobrej restauracji, a potem załatwiasz szefowi panienki. Upewniasz się, że wszystko jest w porządku – dziewczyny mają być wesołe i szczęśliwe, żeby wszyscy byli zadowoleni.

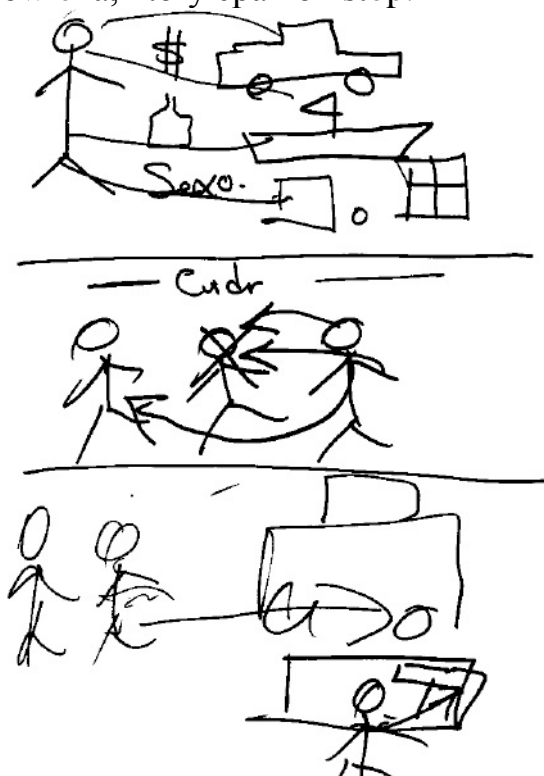
Z hotelu jedziesz do kryjówki. Chcesz wiedzieć, co to za miejsca? Nasze kryjówki, mety, dziuple? Proszę bardzo. W sumie czujemy się w nich bezpiecznie, choć nigdy nie wiadomo, co się tam wcześniej zdarzyło. Im mniej wiesz, tym lepiej. Jeździsz z jednej kryjówki do drugiej. Zabili tu kogoś? Pochowali? Mało kto wie, które z tych miejsc służą jako cmentarze. Nie we wszystkich zabija się czy grzebie ludzi.

Strach? Nie, to nie jest strach, ale najlepiej, żebyś po prostu o tym zapomniał. Pod wpływem narkotyków i alkoholu przestajesz się bać. Posługując się instynktem, zawsze możesz wyczuć nerwowość i strach w innym człowieku, a gdy wyczujesz, że ktoś się waha, boi się lub jest nerwowy, pozbywasz się go, ponieważ mógłby zepsuć całą operację.

Gdy wykonasz zadanie, zapomnij o nim! Niektóre egzekucje zajmują zaledwie kilka sekund. Musisz wykonać swoją robotę, jakby było to coś najzupełniej naturalnego. Załatwiasz, co masz załatwić, ukrywasz samochód, przebierasz się i idziesz do porządnej restauracji, jakby nic się nie stało... Jeśli nie potrafisz tak funkcjonować, nie możesz wykonywać tej pracy i zapewne znajdziesz się na obszernej liście tych, którzy stali się ofiarami egzekucji.

W tej pracy narkotyki to dobrodziejstwo. Pomagają zwłaszcza wtedy, gdy

musisz być na nogach przez dłuższy czas. Ale i one nie są lekarstwem na wszystko. Czasem dobrze jest się nabuzować i nastroić na właściwe fale, żeby wykonać określone zadanie, ale lepiej nie ćpać bez przerwy. Nikt nie chce mieć za ochroniarza człowieka, który ćpa non stop.



Kiedy wpadasz w wir szalonego życia, *la vida loca* i stać cię na alkohol, kobiety, seks, samochody – możesz miło spędzać czas na jachcie, masz domy i mieszkania. Nie należą do ciebie, ale możesz z nich korzystać, gdy tylko masz ochotę. Mają ci ułatwiać pracę.

Dochodzisz do takiego punktu, kiedy to wszystko naprawdę ci się podoba, uzależniasz się od pieniędzy, seksu, alkoholu i narkotyków. Zdarzają się takie dni, takie noce, kiedy sypiasz spokojnie, ale jest ich niewiele... Nieczęsto możesz się wyspać na tyle, żeby wypocząć, zregenerować siły i zadbać o siebie, o swoje zdrowie psychiczne. Czasami zaś, gdy masz czas na sen, zdajesz sobie sprawę, że w twojej grupie być może jest ktoś, kto wyciągnie nóż i po prostu zarżnie śpiącego kumpla, którym przecież możesz być także ty. Musisz więc bardzo na siebie uważać.

Najgorsze są sny. Nawiedzają cię bardzo realistyczne obrazy. Nieraz śniło mi się, że biegnę ulicami, przeskakując przez samochody. Och, śniło mi się, że tak biegnę, nie mam przy sobie broni, a tamci mnie gonią. Te sny wydawały się tak prawdziwe, że budziłem się, łapałem broń leżącą na poduszce i zaczynałem z niej mierzyć.

W snach nie pojawiały się rzeczy, które nie mogłyby się przydarzyć na ja-

wie. Te sny nie były fantastyczne, wręcz przeciwnie – świetnie oddawały rzeczywistość. Lęk, jaki czułem, powstrzymywał mnie przed spędzaniem nocy w domu z rodziną – wolałem spać sam, zupełnie gdzie indziej. Ten dojmujący lęk był udziałem większości ludzi, którzy prowadzili takie życie. Wynikał z tego, że najmniejszy szmer mógł wywołać niezwykle gwałtowną i brutalną reakcję. Wyobraź sobie – żona wchodzi do sypialni, dotyka cię, a w twojej głowie roi się od straszliwych obrazów. Rozsadzają ci czaszkę... Niekontrolowany odruch może sprawić, że wyrządzisz krzywdę najbliższej osobie.

Pewnego razu coś mi się śniło – żona chciała mi pomóc. Widziała, jak się pocę i krzyczę przez sen... Ach, ach, ach... Widziała, że dręczy mnie koszmar, więc postanowiła mnie obudzić, ale gdy mnie dotknęła... AAAAAAAA!!! Złapałem ją za szyję, zanim jeszcze zdołałem się obudzić. Zacząłem ją dusić... Dusilem własną żonę!

W tamtej chwili, dokładnie wtedy, zrozumiałem, że dzieje się ze mną coś bardzo złego. Nie było już we mnie dobra. Wciąż istniała granica, jaką wyznaczyłem między życiem prywatnym a pracą ochroniarza, instruktora i egzekutora, ale zaczynała się coraz bardziej rozmywać. Praca wpływała coraz bardziej na moje życie prywatne. Teraz okazało się, że wkroczyła do mojego domu, w moje życie rodzinne. Nie potrafiłem już kontrolować swoich odruchów – swojej brutalności i agresji. Nie potrafiłem już wskazać różnicy między światem przemocy a światem mojej rodziny. W końcu człowiek zaczyna widzieć wrogów nawet we własnej rodzinie i obawia się, że może wyrządzić krzywdę swoim bliskim.

Gdy zobaczyłem strach w oczach mojej żony, gdy ujrzałem ją sparaliżowaną, obezwładnioną, zupełnie bezbronną w moim uścisku...

*Milknie, szlocha, z trudem łapie oddech, po czym wraca do opowieści.*

...Po tym wszystkim przez długi czas nie sypiałem w domu. Ciężko spać z kimś w jednym łóżku, gdy tkwisz w tym wszystkim po uszy... Trudno z kimkolwiek dzielić takie życie...

Można by powiedzieć: „Znajdź sobie jakąś łatwą panienkę i z nią sypiaj”. To nie takie proste. Wiesz doskonale, że skoro jesteś w stanie zrobić coś takiego we własnym domu, to możesz tak samo potraktować kogoś innego. Nie mam zatem wątpliwości, że niektóre przestępstwa dokonywane w motelowych pokojach, w których odkrywa się uduszone ofiary, wynikały z napięcia towarzyszącego pracownikom kartelu. Wystarczyło, że nie zdali sobie w porę sprawy z tego, co robią, i na miejscu pozostawał trup.

To kwestia odruchu, który jest poza wszelką kontrolą – człowiek kompletnie nie panuje nad tym, co robi. Coś takiego dzieje się poza nim. Nie nazwałbym tego zwierzęcym instynktem, raczej logiczną reakcją. Jeśli mnie atakujesz, nie zamie-

rzam czekać na kolejny cios. Przeszedłem szkolenie, a moim zadaniem jest zwyciężyć. Jeśli nawet ktoś zaatakuje pierwszy, to jeśli ten atak nie będzie skuteczny, nie pozwolę mu na kolejną próbę. On nie może mnie nawet dotknąć. Muszę go wyeliminować. Nie mogę pozostawić wroga przy życiu. Nie pozwolę, by znowu uderzył.

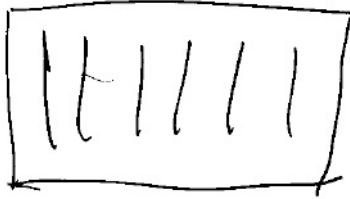
## **System, 1**

W czasie szkolenia w akademii dokonuje się selekcji. W każdym roczniku wybiera się pięciu kadetów z najwyższą średnią. Przyszli policjanci dostają szansę wyjazdu do Tucson w Arizonie, gdzie znajduje się ośrodek szkoleniowy FBI. Jadą na krótki, trzydniowy kurs. W pierwszym dniu uczą się o ukrytych numerach seryjnych, dzięki którym można namierzyć skradzione pojazdy. Instruktorzy pokazują, że samochody mają wybite numery nie tylko w typowych miejscach, ale także w innych punktach ukrytych w różnych częściach pojazdu, na przykład na silniku czy skrzyni biegów. Niektóre samochody opuszczają fabrykę z numerami seryjnymi umieszczonymi na oknach. Temu szkoleniu poświęcony jest dzień pierwszy.

Drugiego dnia przeszliśmy szkolenie z technik aresztowania i prowadzenia dalszych czynności śledczych. Amerykanie pokazali nam nieco swojej technologii, która umożliwia między innymi lokalizację osób na podstawie odcisków palców. Dzięki niezwykle rozbudowanemu systemowi, opartemu na bardzo obszernej bazie danych, potrafią szybko zidentyfikować poszukiwaną osobę.

Trzeci dzień jest bardzo luźny i przyjemny. Po śniadaniu zabierają nas na strzelnicę, pokazują sprzęt i infrastrukturę, jednak zwiedzanie obejmuje tylko część ośrodka. Nie możemy obejrzeć całości – poszczególnych laboratoriów, koszar i strzelnic. W porównaniu z akademią w Meksyku, gdzie studiujemy, amerykański ośrodek naprawdę robi wrażenie. Gdy człowiek po raz pierwszy patrzy na to centrum szkoleniowe FBI, przede wszystkim jest zaskoczony jego wielkością – wygląda jak duże miasto.





5 Eleme.  
Via Tucson Arizo  
FBI. ③  
① Series Oultes Kerdin  
Puh  
② Amen  
③

Po południu, już po lunchu, zapraszają nas do baru, żebyśmy się rozerwali. Kto chce, może się napić piwa czy zamówić drinka. Siedzimy, rozmawiamy, opowiadamy sobie różne historie i lepiej się poznajemy. Zazwyczaj przez cały czas towarzyszy nam jeden z instruktorów z akademii oraz trzech lub czterech agentów FBI. Zawsze ktoś nas pilnuje, mimo że jesteśmy ich gośćmi. Zawsze mamy obok siebie przewodnika czy opiekuna, nie zostawiają nas samych ani na chwilę. Takie mają zasady. To jest element szkolenia i wojskowego stylu, jaki obowiązuje w kontaktach z nami.

Wydaje mi się, że czegoś jednak nie wiedzą... Nie zdają sobie sprawy, że wśród pięciu kadetów, których zaprosili na kurs, jest najprawdopodobniej dwóch lub trzech, a na pewno jeden taki, który już dostaje pieniądze z amerykańskich banków, pieniądze pochodzące od organizacji handlujących narkotykami. Baronowie narkotykowi płacą za to, żeby ten, a nie inny kadet przeszedł pożyteczne szkolenie organizowane przez FBI.

Po trzech dniach w Tucson wracamy autobusem do akademii i wchodzimy w normalny rytm życia.

Przez cały czas pobytu w akademii, czyli przez sześć miesięcy, poznajemy zagadnienia związane z prawem, trybem aresztowania i nadzorowaniem śledztwa. To jednak nie wszystko. Szkoła to zarazem ośrodek, w którym zdobywamy wiedzę na temat korupcji – choćby o tym, jak przekupywać strażników przy bramie, dzięki czemu możemy się wyrwać z akademii i nieco się rozerwać. Jeszcze lepiej jest wtedy, gdy pieniądze na łapówki płyną z zewnątrz.

Wielu z nas porównywało pobyt w koszarach do kary więzienia. Różnica jest niewielka, bo przebywając w meksykańskim więzieniu, możesz zapłacić za wolną

noc spędzoną na zabawie w mieście. Jeśli tylko masz pieniądze, opłacasz paru strażników, wychodzisz, bawisz się i wracasz następnego dnia. Tak samo jest w akademii, tyle że nie jesteś tu zamknięty za żadne przestępstwo. W akademii masz przejść przeszkolenie, by walczyć z przestępczością. Władze nie wiedzą (w sumie to wiedzą, ale nigdy tego wprost nie przyznają), że około sześćdziesięciu ze stu kadetów będzie walczyć z pozostałą czterdziestką, ponieważ ta pierwsza grupa jest opłacana i szkolona przez mafię – organizacje zajmujące się handlem narkotykami.

Nie twierdzą, że w akademii nie wpajają żadnych zasad etycznych. Wszyscy salutujemy do flagi i takie tam... Ale głównie chodzi o to, żebyśmy tam byli. Tak, wystarczy być... Jestem pewien, że z setki chłopaków przyjętych do akademii co najmniej dziewięćdziesięciu rozpoczyna szkolenie z myślą, że do policji idzie się po to, żeby robić kasę. Można dostawać łapówki, *las mordidas*, można też *trabajar chueco*, zarabiać forszę, handlując kradzionym towarem. Policjant ma zawsze mnóstwo okazji do robienia kasy.

Wynagrodzenia policjantów czy detektywów są nędzne. Gdy byłem w akademii, co dwa tygodnie otrzymywałem połowę pensji czynnego policjanta. W tym czasie policjanci zarabiali trzysta pesos, czyli w czasie szkolenia dostawałem sto pięćdziesiąt pesos. To były śmieszne pieniądze w porównaniu z tysiącem dolarów, jakie przysyłano z zewnątrz, żeby nie działa mi się żadna krzywda. *Narcos* inwestują grube pieniądze w swoich ludzi, którzy są potem dobrze wyszkoleni do pracy dla organizacji i prowadzą wojnę, działając na rzecz kartelu.

## **Życie, 2**

To jest jak uzależnienie. Nałogowiec musi codziennie dostawać swoją dawkę. Gdy przychodzi taki dzień, że odmawia jej przyjęcia, staje się bezużyteczny dla organizacji przestępczej, ponieważ nie jest już konsumentem. Nie będzie działał tak jak wcześniej, bo wtedy robił wszystko, żeby tylko dostać swoją dawkę. Gdy nałogowiec zmienia swoje życie, musi toczyć walkę. Gdy zmienia swoje życie, zaczyna wierzyć we własne zasady, mieć własną osobowość i charakter, oraz patrzeć na swoją drogę życiową z nowego punktu widzenia. Zaczyna też zdawać sobie sprawę z czynów, jakie popełnił. Zaczyna śnić, majaczyć i widzieć okropne postęпки, których dopuścił się pod wpływem narkotyków. Rzeczy wyparte. W końcu zdaje sobie sprawę z tego, że popełnił mnóstwo błędów.

Inni ludzie pracujący dla kartelu tracą zaufanie do tych, którym udało się wyjść z uzależnienia. Dlaczego? Nie chodzi o to, że te osoby przestały być godne zaufania, ale o to, że na ich tle sami okazują się zbyt mali i słabi, by pokonać swój nałóg, a potem bez przerwy walczyć o zachowanie swojej wiary, pewności siebie oraz pozycji w organizacji. Najważniejsi bossowie prawie nigdy nie zażywają nar-

kotyków. Czasami coś tam wezmą, ale nie ćpają regularnie. To jest po prostu wbrew zasadom.

Bossom jest na rękę, że ich podwładni są uzależnieni od narkotyków, bo to im pomaga w pracy. Przeczytałem kiedyś w jakimś artykule coś, co moim zdaniem jest prawdą... Jak możesz zabić człowieka i nie mieć świadomości tego, co robisz? No więc to tak, jakbyś był pijany. Człowiek pozostający pod wpływem narkotyków odbiera świat zupełnie inaczej – używa narkotyków, żeby wszystko podkreślić, zwiększyć tempo. Gdy jednak odstawia te środki, zaczyna inaczej patrzeć na świat, jego świadomość się zmienia i nie przychodzi mu już tak łatwo robienie pewnych rzeczy. To oczywiste. Człowiek może się bać, wahać, a wtedy grupa zaczyna patrzeć na niego krzywo i próbuje się go pozbyć. To niebezpieczna sytuacja.

Jeśli o mnie chodzi, odstawienie alkoholu i narkotyków nigdy nie było żadnym problemem. Wielokrotnie mi się to zdarzało na krótszy lub dłuższy czas. Dla moich szefów był to jednak poważny problem. Wiedziałem, że dałem im powód do niepokoju.

Przychodzi taki czas – mówiłem wam to wcześniej i powtórzę jeszcze raz – gdy Bóg czegoś od ciebie potrzebuje i w takiej chwili znajdujesz się w jego rękach, to właśnie ręka Boga tobą kieruje. Nie działasz pod wpływem strachu, nerwów ani narkotyków. Jesteś w niebezpieczeństwie, a Bóg cię oczyszcza. Wstrząsa tobą, kontroluje wszystko, co się z tobą wtedy dzieje i wykorzystuje tę niebezpieczną sytuację, żebyś zrozumiał, co musisz zrobić.

W tamtym czasie dużo podróżowałem. Jeżdżąc z miejsca na miejsce, zdałem sobie sprawę z obecności Bożej ręki i z tego, że On mnie nigdy nie opuści. Straciłem już wszystkie pieniądze. Poszukiwali mnie zarówno *narcos*, jak i służby państwowe. Jak mógłbym podróżować z miasta do miasta, gdyby Pan nie czuwał nade mną i nie zapewniał mi bezpieczeństwa? Jak mógłbym przekraczać granice? Dzięki Bogu mogłem jechać, dokąd chciałem. To właśnie nazywamy cudami! A gdy zdarza się cud, człowiek zaczyna się zastanawiać...

To wszystko stało się wbrew mojej woli. Bóg postanowił obmyć mnie z grzechów. Rozumiecie? Bóg uwolnił mnie od wszystkich występków i złych rzeczy, które mi się przytrafiły w życiu. Już wcześniej porzuciłem narkotyki i alkohol, a w moim życiu zaszła tak ogromna zmiana, że szefowie stracili do mnie zaufanie i wysłali ludzi, którzy mieli mnie wytropić i zabić...

Co się wówczas stało? Bóg mnie wezwał i uratował z opresji. Strzegł mnie i stawiał na mojej drodze ludzi, którzy mnie do Niego doprowadzili. A ja przeżyłem wstrząs i przemianę w obecności Ducha Świętego. Dziękuję Mu za to, że pozwolił mi żyć. Jedynym Panem, któremu dziś służę i którego darzę szacunkiem, jest On, mój Bóg. Nie ma na świecie większej potęgi od potęgi Boga.

Teraz jestem dla *narcos* jeszcze większym powodem do zmartwień. Wielu z nich to ateści, czciciele Santa Muerte<sup>47)</sup> lub wyznawcy innych kultów. Teraz

boją się mnie, bo nie jestem już byle szaleńcem, który rzucił narkotyki. Teraz jestem szaleńcem, którego chroni boża potęga. Dla Boga nie ma żadnych granic. Jestem żywym dowodem na to, czego może dokonać Bóg. Przenosił mnie z miejsca na miejsce. *Gracias a Dios*, Dzięki Bogu, mam paszport umożliwiający mi podróże do wszystkich krajów świata.

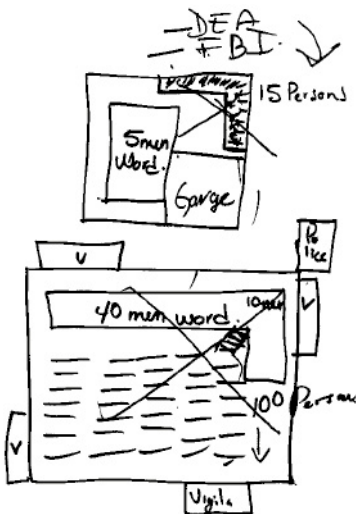
47) La Santa Muerte (Święta Śmierć), inaczej La Santisima (Najświętsza Śmierć) to święta figura, której oddaje cześć wielu Meksykanów, zwłaszcza na terenach dotkniętych największą aktywnością grup przestępczych. Zob. Steven Gray, *Santa Muerte: The New God in Town*, „Time”, 16 X 2007.

Podsumowując wszystko, co wam powiedziałem, mogę dodać jedno – tak naprawdę wcale nie pracujesz jako policjant czy gangster. W gruncie rzeczy jesteś tylko *un monigote*, marionetką. Cały czas tobą manipulują, a wszystkie twoje kroki są kontrolowane i mają jeden cel – wygodę i dobro szefa. Twój awans zależy od tego, jak dobrze wykonujesz swoje zadania. Gdy uczysz się coraz lepiej wykonywać pracę, zaczynasz coraz lepiej zarabiać. A wynagrodzenia są naprawdę sówite. Od razu uczysz się jednej rzeczy – pieniądze przychodzą łatwo i równie łatwo się je wydaje.

Możesz mieć strzeżony magazyn, a w nim mnóstwo broni, mundurów i gotówki, ale jeśli wypadniesz z łask bossa, zabierze ci wszystko. Może też odebrać życie – tobie i twojej rodzinie. Jediną osobą, która w tej grze zyskuje, jest szef.

Te liczby są bardzo ważne i bardzo reprezentatywne.

*Wskazuje na sporządzone wcześniej rysunki domów wykorzystywanych do potajemnych pochówków.*



Sto osób. Możecie sobie wyobrazić setkę osób pochowanych na cmentarzu w stosach, jedna na drugiej? Możecie sobie wyobrazić próby identyfikacji, rozpoznania tych ludzi? Możecie sobie wyobrazić działkę o powierzchni stu dwudziestu

metrów kwadratowych – dziesięć na dwanaście metrów – na której w zbiorowym grobie pochowano pięćdziesiąt osób? Wyobraźcie sobie, że po ujawnieniu takiego potajemnego cmentarzyska na miejsce przyjeżdżają dziennikarze, a tu nagle wystają przed nimi uzbrojeni mężczyźni, którzy ich zastraszają, mówiąc: „Wynocha stąd, natychmiast, bo jak nie, to i wy tak skończycie”.

Kto tu rządzi? Kto ma władzę? Spróbujcie sobie wyobrazić, kto sprawuje władzę w takim państwie. Każde ogólnodostępne miejsce, wszystkie ulice i boczne drogi są kontrolowane i patrolowane przez wojsko. Kto zatem pozwala na przepływ narkotyków? Kto się tym zajmuje? Przecież ktokolwiek próbuje przemycać narkotyki na własną rękę, zostaje natychmiast wyeliminowany.

Wszyscy, którzy szkolili się przez lata pod okiem organizacji – od doświadczonego policjanta, przez zwykłego krawężnika patrolującego ulice aż po żołnierza – wszyscy oni zostali wyszkoleni, by pracować na zlecenie kartelu. A kartel walczy o swoje, wykorzystując policjantów zatrudnianych przez władze, walczy o *plazę* i kontrolę nad określonym terytorium.

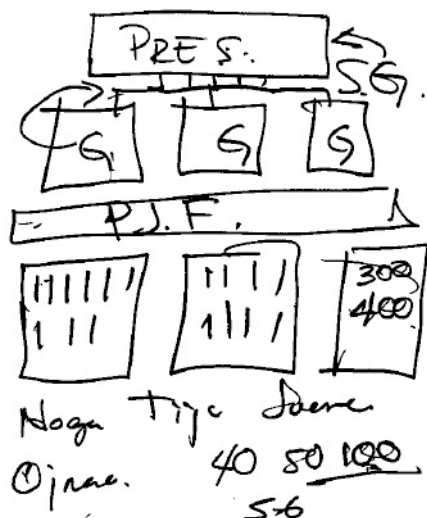
Jedyną osobą, która nigdy nie zdaje sobie sprawy z tego, że umiera, jest marionetka, *el monigote*, pociągana przez nich za sznurki. Ten ktoś próbuje być uczciwy, ale popełnia zaledwie jeden błąd, za który go ścigają i gotują żywcem w kadzi z wrzątkiem. Zadają mu taki ból, że w końcu błaga o litość, prosi o kulę. A oni z niego szydzą.

Wiecie, co chcę wam powiedzieć? Chcę posłużyć jako przykład dla innych. Chcę być takim przykładem, ale pamiętajcie, że jestem tylko jednym z wielu. Możecie znaleźć więcej takich jak ja.

## **System, 2**

W meksykańskim wymiarze sprawiedliwości... Poczekajcie, zaraz wam pokazę.

*Zaczyna rysować kolejny schemat...*



Tutaj mamy urząd prezydenta, a tu poszczególne stany. W każdym z nich jest gubernator. Nie mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że prezydent jest we wszystko zamieszany, ale mam przekonanie, że wielu ludzi bezpośrednio mu podlegających, ludzi z jego administracji, zostało przekupionych i dostaje pieniądze od organizacji handlujących narkotykami.

Bezpieczne kryjówki funkcjonują w całym Meksyku. Mogę powiedzieć, że na terenach przygranicznych – w Nogales, Tijuane, Juárez, a nawet w małych miastach, takich jak Ojinaga – znajdują się posiadłości, na których terenie pochowane są ofiary kartelu. Doskonale o tym wiedzą przedstawiciele federalnego wymiaru sprawiedliwości, członkowie najwyższych władz oraz pracownicy *gobernación*, ministerstwa spraw wewnętrznych<sup>48</sup>), które jest silnym ramieniem Urzędu Prezydenta Republiki. W tych grobach nie leżą dwie, trzy czy cztery ofiary, ale ponad trzysta, a może i czterysta osób. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kim są ci ludzie, ani podać ich nazwisk. Nie można wiedzieć wszystkiego. Jednak na podstawie codziennej pracy, jaką wykonywaliśmy, mogę stwierdzić, że spośród czterdziestu, pięćdziesięciu, a może nawet stu porwanych osób przy życiu pozostaje nie więcej niż pięć czy sześć. Pozostałych już nikt nie odnajdzie. A wspomniani ludzie władzy doskonale wiedzą o tych wszystkich kryjówkach.

48) Urząd funkcjonujący na poziomie ministerstwa jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne.

Mogę wam opowiedzieć o domu, w którym pochowano trzydzieści osiem osób oraz o innym, obok którego leży w ziemi być może nawet osiemdziesiąt ofiar. Tych domów pilnują policyjne radiowozy zaparkowane w strategicznych punktach na pobliskich ulicach. Policjantom płaci się za ochronę takich miejsc, żeby pogrzebane tam ciała nigdy nie zostały odnalezione.

Odkrywanie cmentarzysk w różnych miastach wynika z nacisku wywierane-

go przez FBI lub DEA na władze meksykańskie, by ujawniły te miejsca. Przedstawiciele władz doskonale wiedzą, że leżą tam informatorzy DEA czy FBI – niejeden z nich skończył właśnie w ten sposób<sup>49</sup>).

49) *El Sicario* mówi tu o odkryciu *narcofosas*, potajemnych masowych mogił w Juárez w 2004 i 2008 roku. Co jakiś czas pojawiają się doniesienia o kolejnych mogiłach, odnajdowanych nie tylko tam, ale także w innych miastach i wsiach w całym Meksyku.

Powiem wam ważną rzecz: teraz już lepiej nie grzebać informatorów DEA, ponieważ mają wszczepiony mikroprocesor umożliwiający zdalne namierzanie, jakiego dawniej nie używano. Obecnie wszyscy informatorzy DEA w Meksyku są wyposażeni w takie czipy, więc nawet jeśli się ich zakopie, pojawia się problem – można ich błyskawicznie zlokalizować dzięki globalnemu systemowi satelitarnemu GPS<sup>50</sup>).

50) Wśród zamożnych Meksykanów pojawiła się moda na wszczepianie czipów, które umożliwiają namierzanie dzięki sygnałowi GPS i mają stanowić pomoc w razie porwania. Amerykańska DEA nie udziela informacji na temat swoich tajnych współpracowników, ale w grudniu 2010 roku Wikileaks ujawniła depezę dyplomatyczną, z której wynikało, że grupy handlujące narkotykami namierzyły i zamordowały w Meksyku ponad sześćdziesięciu informatorów FBI bądź DEA. Wiadomość ta pojawiła się w wielu mediach krajowych i zagranicznych.

Handlarze narkotyków wiedzą o tym. W przeszłości używali skanerów wykrywających czipy, ale te urządzenia są bardzo małe, a wszczepia się je zazwyczaj w szyję lub dłoń. Nie zawsze wiadomo, gdzie się znajdują, więc zdarzało się, że informator trafiał do grobu, który potem namierzano i odkopywano. Powiem wam jednak, że to ludzie z DEA pracujący dla baronów narkotykowych poinformowali ich o czipach, które umożliwiają dokładną lokalizację tajnych grobów.

Wymieniłem tu kilka przesłanek, na podstawie których mogę stwierdzić z całym przekonaniem, że władze zdają sobie ze wszystkiego sprawę i doskonale wiedzą o tym, o czym mówię. Mają świadomość, że rzesze osób, które przez wiele lat były szkolone i kształcone na koszt państwa, a potem zostały zatrudnione w państwowych służbach, pracują na usługach *narcos*. Władze wiedzą, co się dzieje, ale nie robią nic, by to zmienić, bo ten system jest dla nich wygodny. Interesom władz służy kilka rzeczy.

Po pierwsze – brak stabilizacji umożliwia dalsze kradzieże. Co robią, gdy zaczyna się dziać coś naprawdę poważnego? Gdy na przykład wybuchła wojna partyzancka w Chiapas, baronowie narkotykowi natychmiast na tym skorzystali. Jeżeli na południu kraju toczy się wojna partyzancka, to łatwiej jest rozprowadzać narko-

tyki na północy. A to z kolei sprzyja umacnianiu pozycji karteli narkotykowych. Co robią wtedy notable z Mexico City, generałowie mieszkający w eleganckich willach? Ta sama policja, która dla nich pracuje, zajmuje się rozprawdaniem narkotyków. Niekoniecznie są one przewożone policyjnymi samochodami, jednak funkcjonariusze zapewniają obstawę dla transportów, które bezpiecznie docierają do celu.

Rząd USA stara się, by jego wizerunek nie doznał uszczerbku. Zapewniam was jednak, że na granicznych mostach pracują funkcjonariusze, którzy wezmą na przykład pięćdziesiąt tysięcy dolarów za przepuszczenie bez żadnej kontroli dużego chevroleta suburban wyładowanego po brzegi towarem. Zdarzały się śledztwa prowadzone w Meksyku, pojawiały się też głośne artykuły, w których Amerykanie twierdzili, że narkotykowym baronom nie udało się przeniknąć do ich służb. Otóż są w błędzie, ale trzeba przyznać jedno – w Stanach Zjednoczonych podejmuje się przynajmniej jakieś wysiłki, żeby postawić tamę korupcji. W Meksyku nie ma mowy o jakichkolwiek próbach. Tam państwo wręcz działa na korzyść baronów narkotykowych. Władze udzielają im pomocy, służąc własnymi siłami policyjnymi, a na dodatek szkolą i wspomagają wszystkich funkcjonariuszy, którzy pracują bezpośrednio dla organizacji handlujących narkotykami.

Muszę teraz powiedzieć parę słów o logistyce i innych kwestiach, które ułatwią zrozumienie sytuacji. Czym zajmują się władze? Otóż wypłacają policjantom skromną pensję, funkcjonariusze zdają sobie jednak sprawę z tego, że takie liche wynagrodzenie to nic w porównaniu z pieniędzmi, jakie dostaną od *narcos*. Trzeba pamiętać, że spośród wszystkich meksykańskich ośrodków szkoleniowych dla służb publicznych największym prestiżem cieszą się akademie wojskowe. To pozwoli uświadomić sobie, jaką plamę na honorze armii stanowiło aresztowanie i skazanie przez sąd wojskowy generała Rebolla, który nadal pozostaje w więzieniu za utrzymywanie bliskich związków z Panem Niebios, Amadem Carrillem<sup>51</sup>).

51) Generał Jesus Gutierrez Rebollo stał na czele służb walczących z narkotykami za prezydentury Zedilla. W lutym 1997 roku został aresztowany i oskarżony o współpracę z handlarzem narkotyków Amadem Carrillem Fuentesem. Rebollo miał dostęp do wszystkich meksykańskich tajnych materiałów związanych z walką z narkotykami, policyjnych kartotek oraz informatorów. Władze są przekonane, że przekazywał te dane Carrillovi. Więcej informacji o karierze Rebolla – zob. wstęp do niniejszej książki.

Po aresztowaniu generała Rebolla u władzy pozostali bardzo wpływowi ludzie, którzy należeli do jego zaufanych współpracowników. Rebollo był szefem wywiadu państwowego i dowódcą armii. Stał na jej czele, ciesząc się wielką władzą i zaufaniem prezydenta, a równocześnie był bliskim znajomym najpotężniejszego barona narkotykowego w kraju.



Czegóż się zatem można spodziewać? Skoro meksykańska armia – służba o największym potencjale (także destrukcyjnym), stanowiąca najpotężniejszą instytucję w kraju – jest zamieszana w handel narkotykami, to co ma zrobić zwyczajny obywatel? Czy sądzicie, że będzie miał zaufanie do policji federalnej czy stanowej? Albo do lokalnego policjanta, który jedzie na rowerze z małą drewnianą pałką zamiast pistoletu? Co ma zrobić obywatel, gdy pojawiają się żołnierze z paroma *narcos* uzbrojonymi w kałasznikowy, FAL-e (fusil automatique léger, lekki karabin automatyczny produkowany w Belgii), karabiny szturmowe, półautomatyczne karabiny maszynowe, uzi czy broń, która może strzelać pod wodą? Dziś przestępcy mają do dyspozycji nawet Barretty, umożliwiające przebicie karoserii opancerzonego samochodu. Co ludzie mają wtedy pomyśleć? Czego może się spodziewać policjant, gdy *narco* rzuca pytanie: „Czego chcesz? *Plata o plomo?* Srebra czy ołowiu?”. Albo bierzesz od nas kasę i jesteś z nami, albo umierasz. Co zrobisz? Co zrobisz, gdy cały kraj jest w rękach gangów, przenikających wszystkie służby?

Prezydent Calderón stoi przed bardzo poważnym problemem. W jego rządzie znajdują się informatorzy pracujący dla karteli narkotykowych, a on nie jest w stanie zrobić z nimi porządku. Ma wokół siebie ludzi całymi latami przekupywanych przez przestępców. Nie rozumie, w jaki sposób rządy innych państw poradziły sobie z tym problemem. Popiera jeden kartel, a inny w tym czasie zaczyna wojnę. Calderón nie jest w stanie opanować sytuacji w ciągu jednej kadencji. *Ojalá!* Daj Boże! Wszystko się może zmienić na lepsze, ale sygnał do oczyszczenia musi wypłynąć od prezydenta.

Dawniej meksykańskie wojsko cieszyło się wśród obywateli powszechnym szacunkiem. Teraz wyszło na ulice i przejęło rolę policji, a policji się nie szanuje. Nikt jej nie szanuje, ponieważ społeczeństwo uważa, że policjanci działają dokładnie tak samo jak *narcos*. Wyprowadzenie armii na ulice jest równoznaczne z jej degradacją. Zadaniem wojska nie jest prowadzenie dochodzeń ani walka z handlarzami narkotyków. Wojsko nie walczy z partyzantką. Znaczna część broni używanej przez handlarzy narkotyków pochodzi właśnie z armii. Przemyt broni przez granice trwa w najlepsze. Przechodzi ona przez posterunki celne, ale tak naprawdę wszystkie przejścia graniczne są strzeżone przez żołnierzy, zatem broń nie trafiłaby w ręce *narcos* bez wiedzy wojska.

Dawniej ludzie z entuzjazmem oglądali defilady i uzbrojenie, jakim dysponowało wyłącznie wojsko. Te czasy się skończyły. Teraz podczas rewizji konfiskuje się gangsterom broń, która jest znacznie doskonalsza od tej, której używają żołnierze.

Przez długi czas wojsko widywano wyłącznie podczas parad lub gdy kraj nawiedzały klęski żywiołowe – powódzie czy epidemie – kiedy to rząd federalny prosił żołnierzy o pomoc przy ratowaniu ludzi i odbudowie infrastruktury. Później jednak przestępcy wyrobili sobie kontakty na najwyższych szczeblach wojskowej hie-

rarchii. Przykładowo Pan Niebios, co było powszechnie wiadomo, miał w szeregach armii swoich ludzi, którzy zajmowali bardzo wysokie stanowiska. Wojskowi zawsze zachowywali ostrożność i powściągliwość. Teraz natomiast... Nie chodzi tu o całą armię, ale jednostki, które zaczęły... To naprawdę straszne, że i ta instytucja została przeżarta przez korupcję. To wstyd, co dziś się dzieje w armii... Wielu młodych ludzi trafiło do niej, chcąc naprawdę służyć swojemu krajowi, a skończyło na patrolowaniu ulic. Dali się przekupić i dziś służą handlarzom narkotyków. Czasami sami nie wiedzą, dla kogo tak naprawdę pracują i po której stronie stoją.

Dawniej żołnierze nigdy nie wychodzili na ulice, chyba że podczas ściśle tajnych operacji, gdy wzywała ich na pomoc policja federalna. To były naprawdę wyjątkowe akcje. Wojska nie wzywano do pilnowania *plazy* i nie angażowano w krwawe starcia między kartelami. Armia istniała po to, żeby bronić niepodległości państwa. A dziś? Czy żołnierze strzegą niepodległości? Nie, dziś są po prostu kolejnym narzędziem. Wojskowi sami zniszczyli wizerunek, jakim mogli się przedtem szczycić. Owszem, i wcześniej zdarzały się wpadki – udowodniono przecież, że generał Rebollo pracował dla kartelu z Juárez, były to jednak sprawy, o których się właściwie nie mówiło, a i prasa nie rozdmuchiwała takich przypadków. Teraz zaś armia angażuje się w walkę między kartelem z Juárez a tym z Sinaloa.

Nie twierdzę, że we władzach nie ma dobrych ludzi. Takie jednostki trafiają się na najwyższych szczeblach, także w otoczeniu prezydenta. To ludzie, którzy starają się być uczciwi, próbują pracować tak, żeby wszystko szło jak należy. Tych ludzi jednak się niszczy. Niektórych pozbyto się całkiem niedawno. Przykładem może być pan Vasconcelos<sup>52</sup>). Jego samolot się rozbił, jednak przyczyną wypadku wcale nie był błąd pilota, jak donosiły media. Wraz z nim zginął Juan Camilo Mouriño – minister spraw wewnętrznych, który był bliskim przyjacielem obecnego prezydenta Meksyku.

52) Więcej informacji na temat José Luisa Santiago Vasconcelosa i Juana Camila Mouriño – zob. wstęp do niniejszej książki.

To, o czym chcę wam powiedzieć, jest oczywiste. Katastrofa lotnicza zdarzyła się dlatego, że Vasconcelos i Mouriño dążyli do zniszczenia powiązań między władzą a handlarzami narkotyków. Walczyli z ludźmi, którzy współpracowali z przestępcami. Można to zrozumieć, analizując drogę życiową i dokonania Vasconcelosa.

*Mówi bardzo szybko, stukając długopisem w kartkę... Głos łamie mu się pod wpływem emocji. Jest wściekły.*

Co się zatem stało? Vasconcelos był prokuratorem zaangażowanym w największą liczbę spraw dotyczących tajnych cmentarzy, które ujawniano w różnych kryjówkach w całym kraju. Miał na tyle siły i odwagi, żeby podjąć rozmowy z FBI

i DEA. W kolejnych stanach Meksyku zwracał się do ludzi, którym mógł zaufać, i odkopywał ciała, odkopywał ciała, odkopywał ciała... *sacó cuerpos enterrados, sacó cuerpos enterrados, sacó cuerpos enterrados.*

Nie śledziłem zbyt dokładnie działań prezydenta Calderóna, ale zauważyłem, że zmienił taktykę, próbując opanować sytuację. Starał się oczyścić najwyższe kręgi władzy, pozbywając się skorumpowanych urzędników. Powiedział: „Mam prawe i lewe ramię. Postaram się uzdrowić prawe”. Gdy jednak spojrzymy na to, jakich ludzi usunął ze swego otoczenia, to okazuje się, że pozbywał się tych, którzy pracują dla jednego kartelu tylko po to, by zastąpić ich osobami należącymi do innego. Tak to wygląda z punktu widzenia zwykłych obywateli – według nich prezydent dostaje pieniądze od jednego kartelu, żeby wyrzucić ze swojego gabinetu tych, którzy mają powiązania z inną przestępczą organizacją.

Wielokrotnie zdarza się tak, że nawet prezydent Republiki nie może śledzić wszystkiego, co się dzieje w kraju. Ma zatem wokół siebie polityków, którzy pracują jako ministrowie w różnych resortach i departamentach. Wspomniałem już wam o tym, że minister spraw wewnętrznych Juan Camilo Mouriño został zamordowany. Owszem, zginął w katastrofie lotniczej, która miała być rzekomo spowodowana przez turbulencje. Kompletnie nielogiczne! Jeśli ktoś zaczyna wykonywać dobrą robotę, to rzuca się w oczy, no i pojawiają się konsekwencje.

Najprawdopodobniej celem zamachu nie był minister, lecz towarzyszący mu *señor Vasconcelos*. Zadajcie sobie nieco trudu i sprawdźcie, czym się zajmował i czego dokonał. Zobaczcie, ilu problemów przysporzył w biurze prokuratora generalnego, mimo że wcale nie zajmował tam wysokiego stanowiska. Był zaledwie śledczym średniego szczebla, ale dokonał więcej niż wielu innych prokuratorów dysponujących znacznie większą władzą. Popatrzcie tylko, ile pogrzebanych ciał ujawniono dzięki wysiłkom tego jednego człowieka!

Ta sytuacja w żadnej mierze nie sprzyjała państwu. Cóż to zatem oznaczało? Wniosek był następujący – na najwyższych szczeblach władzy są ludzie zamieszani w narkobiznes. Skoro wszyscy maczali w tym palce, to w końcu musiała przyjść taka chwila, że grupa wysokich funkcjonariuszy z różnych stanów została zmuszona do ucieczki. Powodem było wykrycie zwłok w bunkrach, które były utrzymywane wyłącznie po to, żeby grzebać w nich ciała ofiar. W kręgach władzy są naprawdę dobrzy ludzie, którzy dążą do zmian. Niestety, skoro korupcja sięga samych szczytów, to uzdrowienie sytuacji staje się niezwykle trudne.

Władze stosują różne strategie, wysyłając na przykład żołnierzy do Pakistanu czy Hiszpanii na szkolenia dotyczące walki z terroryzmem. Niestety, niektórzy z uczestników kursów wojskowych i antyterrorystycznych wykorzystają je później, ucząc gangi narkotykowe sposobów przeciwstawiania się działaniom podejmowanym przez władze.

Teraz chcę wam opowiedzieć o bardzo potężnym meksykańskim ugrupowa-

niu o nazwie Zetas. Pamiętajcie, mówi się, że do zabicia Zeta jest potrzebny inny Zeta. Każdy Zeta jest przeszkolony tak, że potrafi zabić szesnaście osób, nie używając żadnej broni, gołymi rękami. Jest na tyle silny i sprawny, że może to zrobić<sup>53</sup>).

53) Zetas to paramilitarna organizacja przestępcza działająca w Meksyku. Pierwsi Zetas byli doskonale wyszkolonymi żołnierzami z wojskowych oddziałów specjalnych, którzy zdezerterowali i podjęli pracę dla kartelu Gulf. Członkowie specjalnej jednostki przeszli szkolenie w U.S. School of the Americas. Prawdopodobnie znaleźli się wśród nich także żołnierze gwatemalskich sił specjalnych przeszkoleni przez CIA. Zetas działają dziś jako niezależna organizacja handlująca narkotykami w różnych regionach Meksyku. Jej szeregi zasilają skorumpowani byli funkcjonariusze policji federalnej, stanowej i lokalnej.

Gdy masz dostęp i kontrolę nad takimi informacjami, uświadamiasz sobie, że pewne bariery zostały przekroczone, a granice zatarte. Zaczynasz rozumieć, że Meksyk nie jest już miejscem przerzutowym, przez które narkotyki wędrują z innych krajów do Stanów Zjednoczonych. Teraz Meksyk stał się producentem narkotyków i dąży do rozprawy z konkurencją. Równocześnie Stany Zjednoczone uszczelniają granice, więc dostawy narkotyków do USA się zmniejszają. W tej sytuacji handlarze próbują znaleźć zbyt wśród dzieciaków w meksykańskich szkołach. Starają się też wciągnąć w świat narkotyków ludzi pracujących w *maquiladoras*, fabrykach, a do rozprowadzania dragów werbują kobiety.

Konsekwencją tych działań jest gwałtowny wzrost spożycia narkotyków w Meksyku. Kraj ten nie jest już eksporterem i pośrednikiem w handlu narkotykami, ponieważ sam stał się wielkim rynkiem z ogromną liczbą konsumentów. Na ulicach zobaczycie ludzi, którzy żebrzą, sprzedają gumy na skrzyżowaniach, tracą przytomność na chodniku albo napadają i rabują starsze kobiety, żeby tylko zdobyć pieniądze na narkotyki. Gdzie oni wszyscy trafiają, kiedy spróbują zmienić coś w swoim życiu? Wszyscy uliczni żebracy są całkowicie odrzuceni przez społeczeństwo i nigdzie nie ma dla nich miejsca. Wyjątek stanowią przytułki prowadzone przez organizacje chrześcijańskie.

Gdy ci ludzie opuszczają przytułki, szybko lądują w więzieniu (CERESO, Centro de Readaptación Social, Ośrodek Resocjalizacji), za napady rabunkowe. Uznaje się ich wtedy za niepoczytalnych, więc nie pozostaje nic innego jak odesłać ich z powrotem do przytułków. Rząd, który umożliwia młodzieży edukację w szkołach i akademiach, inwestuje w przyszłych niewolników *narcos*, w jednostki odrzucone przez społeczeństwo i niezdolne do pracy.

Co w tym wszystkim jest korzystne dla władz? Dlaczego rząd nie robi nic, by powstrzymać te zjawiska?

Otóż rząd korzysta z miliardów dolarów płynących z tego biznesu.

Władza wcale nie pragnie rozwiązania tych problemów. Co się teraz mówi o rządzie w Meksyku? Głośno jest o tym, że z pomocą wojska podejmowane są jakieś działania, których celem jest znalezienie wyjścia z trudnej sytuacji. Rzeczywistość wygląda jednak następująco: potęga organizacji zajmujących się handlem narkotykami jest większa niż możliwości rządu. *Narcos* nie pozwolą na to, by politycy przejęli kontrolę nad ich działalnością.

Prezydent Meksyku mówi: „Kontroluję sytuację i będę ją kontrolował, korzystając ze swojej armii”. Korupcja sięga jednak tak głęboko, że sytuacji po prostu nie da się kontrolować. Prawda jest taka, że dziś to baronowie narkotykowi kontrolują prezydenta.

Można jeszcze wskazać kolejne aspekty tej sytuacji. W nieudanym zamachu na gubernatora Chihuahua Reyesa Baezę zginął jeden z jego ochroniarzy<sup>54</sup>). Oczywiście ten incydent został przedstawiony w mediach zupełnie inaczej. Myślicie, że zginął tylko ochroniarz? Wiecie, jak było naprawdę? Gubernator wyraził wdzięczność za to, co zrobił wierny ochroniarz, osłaniając go przed zamachowcami, ponieważ wiedział, że zawdzięcza życie wyłącznie uczciwości swojego pracownika.

54) Poniższa relacja pochodzi z tekstu Diany Washington Valdez *Chihuahua Governor's Bodyguard Slain*, „El Paso Times”, 23 XII 2009 rok: „Meksykańskie władze prowadzą śledztwo w sprawie niedzielnego zabójstwa jednego z ochroniarzy gubernatora Chihuahua, José Reyesa Baezy Terrazasa, oraz groźb pozbawienia życia wysuwanych wobec burmistrza Juárez José Reyesa Ferriza. Jeszcze w niedzielę przed północą gubernator zwołał konferencję prasową, by przekazać szczegółowe informacje na temat zamachu w Chihuahua, w którym zginął jeden z jego ochroniarzy – Alejandro Chaparro Coronel, a kolejnych dwóch odniosło rany. Gubernator poinformował, że jeden z uzbrojonych mężczyzn, którzy prawdopodobnie zabili Chaparro, został ranny i trafił do szpitala. Reyes Baeza, który siedział za kierownicą swojego auta w towarzystwie ochroniarzy, stwierdził, że nie wie, czy atak był skierowany przeciwko niemu, czy też wynikał z kłótni między jego ochroną a uzbrojonymi mężczyznami. Tłem ostrej wymiany zdań było nieporozumienie związane z sytuacją na drodze.

– W tej chwili nie możemy przedstawiać żadnych spekulacji i będziemy komentować sytuację wyłącznie na podstawie tego, co jest ustalone i pewne – powiedział gubernator.

Rzecznik urzędu miasta, Sergio Belmonte, przekazał informację o tym, że burmistrz Juárez wzmocnił swoją ochronę po groźbach pozbawienia życia, które były skierowane nie tylko wobec niego, ale i całej rodziny. Pogrożki pojawiły się po tym, jak w piątek ustąpił ze stanowiska były szef policji w Juárez Roberto Orduña Cruz”.

Tu jednak doszło do poważnych, bardzo poważnych błędów. Z tego, co wam

powiedziałem, a także na podstawie mojego doświadczenia, musicie zrozumieć jedno – gdy wysyła się ludzi, by zlikwidowali konkretną osobę, to muszą to zrobić i koniec. Tu nie ma miejsca na błędy. Mogę więc was zapewnić, że ludzi, którzy przeprowadzili zamach na gubernatora Chihuahua i spartaczyli robotę, nie ma już wśród żywych. Zostali zamordowani, ponieważ nie udało im się wykonać zadania i nie można ich pozostawić przy życiu. Zginęli, bo niewłaściwie wykonali swoją pracę.

A co z zadaniem sprzed lat, o którym wam już mówiłem, czyli z zabójstwem doktora Oropezy? Dlaczego przez tyle lat nie udało się rozwiązać tej zagadki? O tej sprawie napisano setki artykułów. Niektórzy twierdzą, że wiedzą, kto to zrobił.

Ja to wiem naprawdę.

Rozkaz wyszedł od El Cory, który wyznaczył do wykonania zadania pięcioosobowy zespół. Wiem, że jeden z nich siedzi za inne pomniejsze przestępstwa, choć był bezpośrednio zaangażowany w tę zbrodnię. Siedzi też inny, więc w sumie z tej piątki przy życiu pozostaje dwóch. Dlaczego nikt nic nie zrobił w tej sprawie? Dlaczego meksykańskie władze usiłują zrzucić winę na kozły ofiarne – jakichś gości odbywających kary w więzieniach w Stanach Zjednoczonych? Dlaczego zadają sobie tyle trudu, żeby oskarżać ich w USA o przestępstwo, skoro znają tożsamość prawdziwych sprawców? W więzieniu mają dwóch ludzi, o których wie wiele osób. Dlaczego nikt z nimi nie rozmawia? Dlaczego nikt ich nie zapyta, co się naprawdę zdarzyło? Nie chodzi przecież o to, że Oropeza związał się z handlarzami narkotyków<sup>55</sup>). Gdy przeczytacie jego artykuły, spostrzeżecie, że był to jeden z pierwszych dziennikarzy piszących otwarcie o korupcji i związkach między meksykańskimi władzami a baronami narkotykowymi. Dlatego właśnie zginął. A był wspaniałym człowiekiem.

55) *El Sicario* odwołuje się tu do powszechnego przekonania o tym, że każde morderstwo dziennikarza wynika z jego powiązań z tą czy inną grupą przestępczą. Policja, opinia publiczna, a nawet inni dziennikarze zawsze czynią takie założenie, więc każde śledztwo kieruje się w stronę odsłonięcia niejasnych powiązań zabitego.

To doprawdy hańba, że giną szlachetni ludzie i wspaniali dziennikarze. Tu, na pograniczu, zabito wiele osób. Każdy dzień przynosi nowe ofiary. Nie chodzi o to, że nie ma uczciwych ludzi. Nie mówię, że nie ma uczciwych dziennikarzy, którzy mają odwagę pisać prawdę. Są tacy, ale muszą się ukrywać i pisać anonimowo.

Ludzie zapytają: „Dlaczego się boisz, skoro jesteś dziennikarzem? Dlaczego nie mówisz otwarcie i nie wykorzystasz siły swoich słów? Dlaczego nie piszesz prawdy? Jesteś dziennikarzem. Powinieneś stanąć z otwartą przyłbicą i bronić swoich słów”. Jednak ci, którzy odsłanili twarze, skończyli w piachu, a ich rodziny –

na ulicy. Ich rodziny nie mają nic. Władza powinna się wstydzić. Politycy wiedzą, że ci dziennikarze zostali zabici i nie zrobili nic, by im pomóc, a ich rodziny pozostawili z pustymi rękami.

Zabójstwo doktora Oropezy miało miejsce w czasach, gdy organizacje zajmujące się handlem narkotykami dopiero zaczynały budować swoją potęgę. *Narcos* wpadli wówczas na pomysł, żeby wynajmować wyspecjalizowane ekipy dokonujące egzekucji. To był początek boomu. Wtedy nie miało żadnego znaczenia, z jakiej warstwy społecznej pochodzisz ani kim jesteś. Pozycja społeczna nie chroniła niko- go – ani dziennikarzy, ani ludzi z wyższych warstw. Jeśli zrobiłeś cokolwiek przeciwno baronom narkotykowym, musiałeś się liczyć z odwetem. *Narcos* nie patrzyli na to, jak daleko zaszły sprawy. Mówili o sobie: „Mogę iść, dokąd chcę, i zrobić, co mi się spodoba”.

Skoro zatem w tamtych czasach władze nie zdołały rozwiązać tak prostej sprawy jak zabójstwo Oropezy, to czego się można spodziewać dzisiaj? O tamtym boomie mówiono na całym świecie, a sprawa mordu na dziennikarzu trafiła nawet na forum ONZ, ale i to nie przyniosło żadnego skutku. Nie zrobiono niczego, by ukarać winnych zbrodni. Skoro tak się mają sprawy w przypadku tego głośnego morderstwa, to czego może oczekiwać szary obywatel dziś – w obliczu ciągłych pogroźek i fali przemocy? Przypadek doktora Oropezy był zaledwie zapowiedzią tego, co miało nastąpić później. Dziś widzimy, co się dzieje...

Ludzie mówią: „No cóż, mamy do czynienia z coraz większą przemocą. Ta fala zbrodni jest nie do powstrzymania”. Ale to wszystko nie dzieje się przypadkiem – ktoś to kontroluje. To, co się zdarzyło przed laty, nie było eksperymentem, ale ostrzeżeniem. *Narcos* wysyłali w ten sposób sygnał do władz i do społeczeństwa – to my kontrolujemy sytuację i możemy zrobić wszystko. Mieli ogromne możliwości oraz doskonale wyszkolonych ludzi, których dostarczył rząd, przygotowując ich wcześniej do wykonania każdego zadania. Dostarczył rąk do pracy, wykwalifikowanych dzięki brudnym pieniądzom handlarzy narkotyków.

Takie oto było znaczenie zabójstwa doktora Oropezy.

Wróćmy do Vasconcelosa... Do chwili śmierci darzono go powszechnym szacunkiem. Szanowali go nawet członkowie karteli. Gdy zaczął śledztwo, stało się ono priorytetem także dla karteli, które zeszyły prokuratorowi z drogi, dając przestrzeń do pracy. To był bardzo prawy i rzetelny człowiek. Nie wplątywał się w żadne problemy. Mówię o nim, ponieważ w tamtym czasie w gabinecie Calderóna był on jedyną osobą, którą można by darzyć szacunkiem. To był człowiek oddany sprawie, szanowany i doskonale zorganizowany, co można było zauważyć zarówno w jego sposobie bycia, jak i w wypowiedziach. Dziś już nie ma w rządzie takich ludzi.

Niestety, pewnego dnia nastąpiła katastrofa prywatnego samolotu, którym leciał razem z Mouriño, ministrem spraw wewnętrznych. Władze mówią, że to był

wypadek spowodowany zaniedbaniem ze strony pilotów. Poznałem wielu pilotów... I wbrew rządowemu dochodzeniu mogę was zapewnić prawie na sto procent, że to nie był wypadek.

Vasconcelos przeprowadził wiele dochodzeń, przy większości z nich współpracując ściśle z Amerykanami. Pracował dla rządu Meksyku, ale jego działania wskazywały na to, że odgrywał ważną rolę dla wymiaru sprawiedliwości USA i wykonywał zadania oparte na informacjach dostarczanych ze Stanów Zjednoczonych. Przykładowo – podczas jednego z prowadzonych przez niego śledztw na pewnej posesji odkryto ciała. Informacja o tajnym cmentarzu pochodziła z amerykańskiej DEA, więc Meksykanie musieli podjąć jakieś kroki. Skoro informacja trafiła w jego ręce, to było jasne, że rozpocznie śledztwo. Wszyscy mieli pewność, że gdy Vasconcelos zapowie jakieś działania, to nie ustąpi i doprowadzi sprawę do końca. To było oczywiste jak dwa razy dwa. W przeciwieństwie do wielu wysokich funkcjonariuszy policji czy przedstawicieli meksykańskiego wymiaru sprawiedliwości Vasconcelos nigdy nie znajdował się między młotem a kowadłem, *entre la espada y la pared*.

Do dziś nie doczekaliśmy się drugiego takiego człowieka – kogoś, kto podejmowałby realne działania. Czasem rzucono mu kłody pod nogi i blokowano niektóre ruchy, ale gdy w ręce Vasconcelosa trafiały jakieś dokumenty, sprawa nabierała biegu i nie można było jej już zatrzymać. Doprowadził do końca wszystkie śledztwa, którymi się zajmował. Nie rezygnował nawet wówczas, gdy otrzymywał taki rozkaz. Zawsze dochodził do końca. Był człowiekiem honoru, miał wyraźny cel i zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Zawsze można było mu zaufać. Teraz nie mamy już takich urzędników. Gdyby rząd Meksyku naprawdę chciał i mógł zapewnić mu bezpieczeństwo, gdyby posłuchał jego rad i przyjął niektóre z jego metod śledczych, bardzo możliwe, że dziś nie mielibyśmy do czynienia z tak ogromną falą przemocy, jaka przetacza się przez kraj.

Co jednak zamierzały zrobić władze z człowiekiem, który posiadał taką wiedzę? Można go było umieścić na bardzo wysokim stanowisku w rządzie, by kierował całymi siłami policyjnymi za rządów Calderóna. Można byłoby na przykład stworzyć mu możliwości podobne do tych, jakimi dysponował przed laty komendant Ruvalcaba<sup>56</sup>), działający jako łącznik z amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. Był niezwykle ważną postacią. Nie mam żadnych wątpliwości, że podobnie było z Vasconcelosem – nawet po przeniesieniu ze stanowiska prokuratora generalnego do *gobernación*, ministerstwa, nadal działał jako ważny łącznik ze Stanami Zjednoczonymi. Można było mu pozwolić na dalsze prowadzenie śledztw, jednak tak się nie stało. Dużo mówi się o tym, że rząd osłabił pozycję Vasconcelosa i zdegradował go, wystawiając jednocześnie na pierwszą linię frontu i pozbawiając ochrony, jaką cieszył się wcześniej.

56) Komendant José Refugio Ruvalcaba był wysokim oficerem policji



stanowej w Chihuahua. Przez co najmniej siedem lat był też informatorem DEA i przekazywał swoim amerykańskim współpracownikom informacje o kartelu z Juárez. W listopadzie 1994 roku zginął wraz z dwoma synami, a ich ciała znaleziono w samochodzie zaparkowanym na jednym z granicznych mostów między Juárez a El Paso. Zob. Charles Bowden, *Down by the River: Drugs, Money, Murder, and Family*, Nowy Jork 2002, s. 41–42.

Ten skromny człowiek był niezwykle oddany swojej pracy i rodzinie. Bardzo chciałem się z nim spotkać, ale nie zdążyłem. Dużo o nim słyszałem i były to zawsze same dobre rzeczy. Pewnego razu, gdy byliśmy w Monterrey, miał tam przyjechać w związku ze śledztwem, które prowadził. Poproszono nas, żebyśmy opuścili *plazę*, umożliwiając mu wykonywanie obowiązków. *Narcos* nie mogli liczyć na żadne układy z tym człowiekiem, zatem dla nas, szeregowych członków kartelu lepiej było wtedy zniknąć na jakiś czas z *plazy*, pozwolić mu robić swoje i poczeekać, aż wyjedzie. Potem mogliśmy spokojnie wrócić i wykonywać swoją pracę. Jestem pewien, że narkotykowi bossowie wiedzieli wtedy, jakie śledztwo prowadzi, bo mieli swoich ludzi w służbach. W kartelach były wtyczki z PGR (Procuraduria General de la República, prokuratura generalna) i z wywiadu wojskowego, a w urzędach pracowali ludzie przekupieni i opłacani przez *narcos*.

Baronowie narkotykowi nie mieli jednak żadnego dojścia do Vasconcelosa. Być może miał jakieś słabości, ale o ile mi wiadomo, nigdy nie dał się skorumpować. Był zacnym i godnym zaufania człowiekiem. Wielu meksykańskich bossów narkotykowych chciało z nim współpracować, bo wiedzieli, że zawsze dotrzymuje słowa. Calderón nie rozumiał jednak, jak to można wykorzystać dla dobra własnego urzędu.

Cóż, być może Calderón popełnił błąd. Oczywiście z mojej perspektywy widzę, że podjęte działania były błędne. Vasconcelos mógł dokonać więcej. Mógł wyznaczyć kierunek, ujawniając dzięki swoim śledztwom wiele spraw. Fakty i dowody zdobyte podczas tych śledztw pozwoliłyby na aresztowanie i skazanie wielu osób. Udałoby się też uniknąć przemocy i niepotrzebnego rozlewu krwi. Ten człowiek nigdy nie zatrzymywał się w pół kroku. Starannie prowadził sprawy, a gdy dochodziło do aresztowań, można było mieć pewność, że podejrzany posiedzi dłuższy czas w więzieniu. Dziś w Meksyku ludzie trafiają do aresztu, ale z powodu niewydolności systemu prawnego wychodzą na wolność po roku lub dwóch. System prawny uniemożliwia skazanie ich na więzienie. Co robią tacy ludzie? Wychodzą na wolność i próbują wyrównać rachunki z tymi, którzy wpakowali ich w kłopoty. W ten sposób nakręca się spirala przemocy.

Jeśli chodzi o przypadek doktora Oropezy, mieliśmy do czynienia z pewnym sygnałem zwiastującym początek rewolucji. *Narcos* chcieli uświadomić wszystkim, do czego są zdolni. To, co przydarzyło się Vasconcelosowi, świadczy natomiast

o jednym – narkotykowi baronowie wciąż rozdają karty. „Robimy to, co nam się podoba. Idziemy tam, dokąd chcemy”. Jeśli ktokolwiek kwestionuje ich władzę lub próbuje zyskać równoprawną pozycję, szybko się przekonają, że *narcos* opanują sytuację, a ich potęga doprowadzi ich do zwycięstwa.

### **Życie, 3**

Moje życie powierzyłem wyłącznie Bogu... Bóg jest przy mnie. Gdy teraz czekałem na zewnątrz, przeczytałem te słowa:

*Temer a los hombres resulta una trampa, pero el que confía en el Señor sale bien librado*

Strach przed człowiekiem jest sidłem, a kto Panu ufa, jest bezpieczny.

Księga Przysłów 29:25 (Biblia Tysiąclecia)

Nie muszę zatem obawiać się ludzi, muszę zaufać Bogu. Zdaję sobie jednak sprawę z czegoś, za co będę po wsze czasy wdzięczny – jestem przekonany, że zostałem szczególnie wyróżniony i uprzywilejowany, mogąc pokładać ufność w Panu.

Obaj wspomniani przeze mnie ludzie – Oropeza i Vasconcelos – służyli w tamtym czasie swoim bogom. Dla Oropezy bogiem była jego praca dziennikarska. I co mu to dało? Śmierć. Myślę, że dla Vasconcelosa bogiem była służba państwowa i wykonywanie obowiązków. Co mu to dało? Śmierć.

Ja z kolei służę Panu i będę za Nim podążał Jego drogą.

Ci dwaj ludzie, silni w słowach i czynach, zostali jednak pokonani. Któż zatem jest niepokonany?

To złudzenie. Każdy kiedyś odejdzie. Wszyscy jesteśmy na tym świecie jedynie gośćmi. Pewne jest tylko to, że skoro się rodzimy, to także umrzemy. Są jednak nieliczni szczęśliwcy, którzy umrą we własnym łóżku, we śnie, bez bólu – umrą dobrą śmiercią. Przeżyją życie, które przyniesie dobro ich dzieciom, wnukom i wszystkim innym, których spotkają na swojej drodze. Bóg jest dobry i jeśli dostąpimy szczęścia posiadania dzieci i wnuków, będziemy mogli cieszyć się nimi, być razem z nimi i powiedzieć: „Dziękuję Ci, Boże”.

Będziemy mogli poczuć zadowolenie z własnego życia.

Żyjąc w środowisku, w jakim się znalazłem, nigdy nie pomyślałem, że doczekam czasów, w których będę mógł oglądać swoje dzieci i wnuki. Nigdy, naprawdę nigdy... Mogłem zginąć w każdej chwili, zasypany gradem kul. Swoją robotę trzeba wykonać w ułamkach sekundy, zachowując przy tym zimną krew. W krytycznym momencie należy działać bez zastanowienia, jak automat. Do takiej pracy trzeba człowieka złego, zdemoralizowanego, który zdaje sobie sprawę z tego,

co robi i nigdy, naprawdę nigdy nie ma jednak czasu na myślenie o tym, czy będzie się mieć dzieci i wnuki.

Zawsze brakuje czasu na myślenie o takich sprawach. Przyszłość jest niepewna. A teraz, gdy mam przy sobie Boga, mogę dzięki Niemu czynić jakieś plany. W swoim dawnym życiu nigdy nie zadawałem sobie pytania: „Co będziemy robić na Boże Narodzenie?”. Miałem wszystko, ale tylko tu i teraz. I musiałem się z tego cieszyć tu i teraz.

Wszystko, co masz, mija, mija, mija... I nigdy nie myślisz o swojej przyszłości. Być może jest inaczej, gdy jesteś gdzieś na samych szczytach hierarchii. Ale nawet wtedy musisz wiedzieć, jak zarządzać swoim majątkiem i jak chronić najbliższych.

Kiedyś sądziłem... Pamiętam, jak wam powiedziałem: „Nigdy nie chciej być ani głową, ani ogonem. I głowa, i ogon zostaną odcięte. Dla własnego bezpieczeństwa chciej być brzuchem”. Teraz jednak myślę inaczej. Teraz chcę być głową, chcę być grotem włóczni. Jesteśmy dziećmi Boga. Jesteśmy tutaj, ponieważ Bóg ma nad nami pieczę. Nasza przeszłość jest zamknięta. Ludzie chcą nas widzieć takich, jacy jesteśmy teraz. Takich nas potrzebują. Nie chcę już tkwić gdzieś w środku, w bezpiecznym miejscu, gdzie wszystko jest łatwe... To już przeszłość. Teraz chcę być głową, chcę być grotem włóczni. Oropeza i Vasconcelos także wysunęli się do przodu, stając się grotami włóczni. Byli pionierami – jeden w świecie dziennikarskim, drugi w policji. I popatrzcie, co się z nimi stało.

Są też inni ludzie, którzy przeszli przez te same etapy, poruszając się w kręgu zła, i teraz chcą zrobić coś dobrego. Jak już wam narysowałem, spośród dziewięćdziesięciu osób, dziewięćdziesięciu absolwentów każdego rocznika w akademii, pięćdziesięciu ma powiązania z organizacjami handlującymi narkotykami. Trafiają oni do policji podległej ministerstwu, policji ds. prewencji, policji kryminalnej, policji federalnej lub do wojska. Pokazałem wam, jak działa ten system – jak *narcos* od samego początku wysyłają im pieniądze, inwestując w przyszłość. Narkotykowi baronowie zdają sobie sprawę z tego, że jeśli będą tym ludziom płacić na początku szkolenia i kariery, to ich ukształtują i wychowają, niczym rodzice. Przekupieni funkcjonariusze czują wówczas znacznie większe przywiązanie do *narcos* niż do rządu czy armii, ponieważ to oni utrzymują ich i otaczają staranną opieką.

Można powiedzieć, że to jedna wielka rodzina. Jak w każdej rodzinie, nie wszyscy są źli, nie wszyscy schodzą na złą drogę. Bywa, że jest to tylko jeden człowiek, ale to właśnie on sprawia, że zaczyna się rozpad całej rodziny.

Rząd nie pali się do rozwiązania tego problemu i nie szuka wyjścia z sytuacji. Władze nie podejmują żadnych prób w tym kierunku. Rząd działa tak, jak dyktują mu narkotykowi baronowie. Władze szkolą ludzi do pracy w różnych organach, a narkotykowi bossowie wykorzystują służby państwowe do obrony swoich

interesów.

A co z murem budowanym przez Stany Zjednoczone na granicy z Meksykiem? Ta konstrukcja robi wrażenie. Wyposażono ją w bramy, przez które będą mogły przejeżdżać pojazdy opancerzone. Jaki stąd wniosek? Otóż wynika stąd jasno, że jeśli tylko kartele narkotykowe ostatecznie przejmą kontrolę nad sytuacją w Meksyku, Stany Zjednoczone natychmiast zapewnią sobie bardzo dobrą ochronę swojej granicy.

Jeśli mowa o ludziach porwanych, *los levantados*, nawet gdy mają oni nad sobą parasol ochronny, to zawsze, ale to zawsze będą musieli zapłacić. Z każdej dziesiątki porwanych przeżyje najwyżej dwóch, i to tylko pod jednym warunkiem – muszą pozostawać w dobrych relacjach z bossami narkotykowymi.

Pamiętacie, jak mówiłem wam o tym, że w dawnych czasach *narcos* mieli już telefony komórkowe – te, które nazywaliśmy „cegłami”? Tylko baronowie narkotykowi mogli sobie wtedy pozwolić na taki sprzęt. Kupowali komórki wtedy, kiedy policja jeszcze nawet o nich nie marzyła, a korzystali z amerykańskich sieci. Nikt inny wtedy nie miał na tyle pieniędzy, żeby zapłacić za takie luksusy.

Jak można mówić, dajmy na to po wykryciu dwustu milionów dolarów w jednej z willi w Mexico City, że *narcos* nie mają nagromadzonych znacznych sum w gotówce? Jak można było przechowywać i przewozić dwieście milionów dolarów? Jak można było transportować przez cały kraj tak wielkie sumy pieniędzy i tak ogromne ilości narkotyków? Jak? Odpowiedź jest prosta. Takie rzeczy są możliwe dzięki pomocy władzy. A kto teraz ma władzę? Otóż pozostaje ona w rękach organizacji handlujących narkotykami. To hańba dla kraju.

Rząd podejmował już próby przejęcia części władzy od karteli, zaczynając od więzień. Co się wtedy stało? Wybuchły bunty, i to nie w kilku, ale w wielu więzieniach w całym kraju. *Narcos* najbezzwleczniej w świecie wkraczają i zabierają ludzi z więzień, jakby wchodzili do własnych domów. Pod samym nosem władz po prostu wypuszczają dwudziestu lub trzydziestu więźniów. To wszystko jest oczywiście uzgodnione<sup>57</sup>).

57) Ujawniono taki przypadek – jeden ze strażników więziennych w stanie Durango kierował grupą zabójców, których wypuszczano nocą z więzienia, by dokonywali egzekucji. Ich dziełem była głośna masakra siedemnastu osób na przyjęciu w okolicach miasta Torreón. Miała ona miejsce 18 VII 2010 roku, ponad rok po tym, jak *El Sicario* opowiedział o roli więzień w działalności organizacji przestępczych. Ta sprawa została opisana przez Rory'ego Carrolla w „The Guardian” (*Mexico's Drugs War: In the City of Death*, 16 IX 2010 rok): „To była po prostu kolejna masakra w państwie, w którym rządzi przemoc. Tym razem dokonali jej jednak współwięźniowie, którzy zostali celowo wypuszczeni poza mury; – Kto ich wypuścił? – warknął ktoś. – Dyrektorka – odparł skazaniec”. Nagranie filmowe kończy się po kilku minutach strzałem w głowę. Zeznanie wymuszone tortu-

rami można by uznać za mało wiarogodne, tyle że w tym przypadku to była prawda. Całą historię potwierdził prokurator generalny. Sekcja zwłok wykazała, że ofiary zginęły od strzałów z karabinów R-15, które należą do standardowego wyposażenia strażników więziennych. Władze federalne przeprowadziły nalot na więzienie i zatrzymały strażników. Aresztowano też dyrektorkę Margaritę Rojas Rodriguez – tęgą, potężną blondynkę, której nieco wcześniej gubernator stanu przyznał tytuł „kobiety roku 2010”. „Niemożliwe. Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem” – mówił Eduardo Olmos, burmistrz Torreón.

### System, 3

W tamtych czasach *sicario* stał się jednym z zawodów – profesją jak każda inna. Wspomniałem wam już jednak, że teraz tak nie jest. Teraz możesz wejść do Internetu i tam sobie kogoś wynająć. W sieci trafiają się na przykład takie oferty: „Chcesz kogoś zabić? Jestem *sicario*. Zrobię to dla ciebie za pięć tysięcy dolarów”.

I co, masz wierzyć, że za pięć tysięcy dolarów ktoś zabije człowieka tylko dlatego, że go nie lubisz? Tymczasem tak działo się coraz częściej. Jakie były konsekwencje? Na ulicach można było zobaczyć samochody podziurawione kulami jak rzeszoto. Wśród ofiar byli ludzie, niekoniecznie związani z narkobiznesem, którzy walczyli na przykład o stoisko na pchlim targu. W Meksyku do takiej roboty wykorzystywano kierowców autobusów. To jednak nie jest robota *sicarios*. To robota naśladowców, partaczy.

*El Sicario* zna się na swojej pracy. Doskonale wie, kiedy uderzyć i zna cel ataku. Nigdy w życiu nie posunąłby się do reklamowania lub upubliczniania swojej pracy. To ktoś, kto żyje wśród ludzi. Tworzy z nimi związki. Może grać w baseball ze swoimi dziećmi albo brać udział w posiedzeniu rady miasta w gmachu ratusza. Potrafi się zachować i wie, jak się ubierać. Wie, jak się należy prowadzić, zna sztukę konwersacji. Jest dobrze wykształcony. Organizacje handlujące narkotykami doskonale o tym wiedzą i chętnie płacą za te wszystkie umiejętności, latami wspomagając takich ludzi w różnych miejscach w całym kraju. Daje to gwarancję, że podejmowane przez nich zadania zostaną właściwie wykonane.

Gdy w Internecie pojawiły się takie ogłoszenia, stawki za zabicie człowieka zaczęły maleć, ale dało się zaobserwować jeszcze jedno zjawisko. Z pojawieniem się fałszywych *sicarios* zbiegło się powstanie organizacji zwanej La Linea, Linia. Jej przekaz był następujący: „Wszyscy, co do jednego, przestaniecie zabijać ludzi, a jeżeli chcecie być partaczami, zostaniecie zlikwidowani”. Potem zaczęła eliminować kolejne osoby, a było ich tak wiele, że Meksyk zmaga się dziś z jeszcze jednym poważnym problemem, którego przyczyną byli właśnie wspomniani partacze.

Baronowie narkotykowi płacą służbom śledczym. Pracownicy tych służb to ich najważniejsi informatorzy. Rząd odpowiada za kształcenie tych ludzi w akademiach działających w różnych miastach Republiki Meksyku, a oni trafiają następnie do karteli narkotykowych. Są już wyszkoleni, znają arkana taktyki wojskowej i mogą stanąć do walki. W kraju funkcjonuje wiele specjalistycznych akademii i centrów szkoleniowych, których absolwenci nierzadko od razu idą na służbę do narkotykowych baronów. Powiem wam, że spośród pięćdziesięciu kadetów szkolonych w akademiach co najmniej piętnastu już na starcie jest powiązanych z *narcos*, a kolejnych piętnastu wkrótce otrzyma i przyjmie korupcyjne propozycje. Pensje policjantów są tak niskie, że muszą pracować dwa tygodnie na to, co kartel zapłaci im za jeden dzień. Sprawa jest prosta.

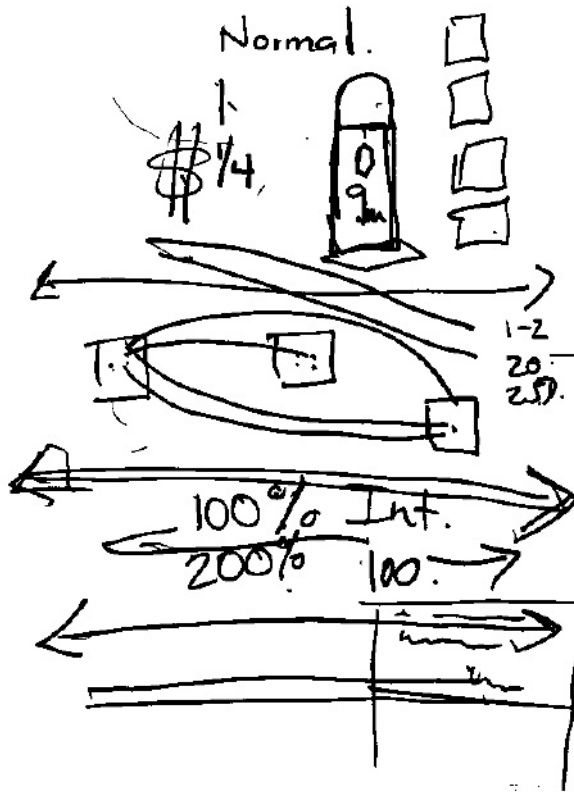
Cóż się zatem dzieje? Taka sytuacja umacnia pozycję baronów narkotykowych, którzy wszędzie mają swoje wtyczki. Naciski na rząd Meksyku oraz pomoc otrzymywana z USA i innych krajów na walkę z kartelami narkotykowymi nie przyniosą żadnych efektów, jeśli politycy zajmujący wysokie stanowiska nie będą się wykazywać bezgraniczną lojalnością.

Obecnie kartele nie mają już takich dużych wpływów w akademiach. Dlaczego? Cóż, młodzi ludzie nie chcą już wstępować do policji. Nie mają do niej zaufania i boją się pracy w tej instytucji. Boją się, że gdy zostaną policjantami, będą musieli odpowiedzieć na pytanie: „Chcesz, żebyśmy ci zapłacili srebrem czy ołowiem?”.

*Pokazuje pocisk.*

Albo bierzesz pieniądze, albo cię zabijemy.

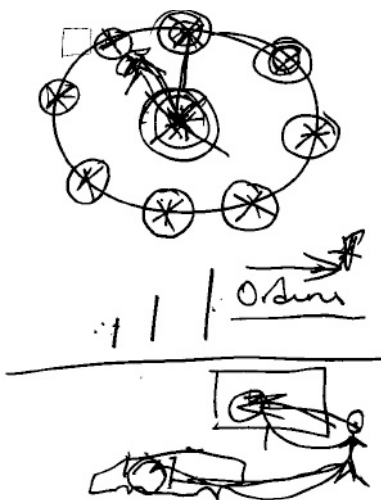
Co zatem zrobili bossowie narkotykowi? Zaczęli sprowadzać ludzi z innych krajów, jak choćby gangsterów ze Stanów Zjednoczonych czy *maras* (*marasalvatruchas* – bandytów z Ameryki Środkowej). Mogę was jednak zapewnić o jednym: wiecie, co się robi z tymi wszystkimi sprowadzonymi ludźmi? Wszyscy muszą zostać wyszkoleni i poinstruowani przez *sicarios*, którzy przeszli cały proces szkolenia. To nie takie proste wypuścić na miasto grupę stu czy dwustu gangsterów z nadzieją, że się ich wykorzysta do kontrolowania sytuacji. To bardzo, bardzo trudne.



Trzeba zatem – i tak postępują organizacje zajmujące się handlem narkotykami – zabierać małe, pięcio- czy dziesięcioosobowe grupki w góry na szkolenie wojskowe, po czym puszczać ich samopas, to tu, to tam, żeby dotarli do miasta i sobie w nim poradzili. A potem wystarczy poczekać – jedni zaczną zabijać, inni zginą.

Gdy zatem mamy już dobrze przeszkolone i poinstruowane kadry, przechodzimy do niego:

*Rysuje sicario uczącego się swojego rzemiosła.*



Gdy już przejdzie przez te wszystkie etapy i próby, zalicza podstawówkę, uczy się pęłzać, chodzić, zaczyna truchtać, już prawie wyrastają mu skrzydła, w końcu umie już latać – znajduje się w ostatnim stadium, czyli jest już w pełni wyszkolony. Nie można mu wtedy zlecać takiej samej pracy, jaką wykonywał, gdy ledwo pęłzał. Teraz potrafi zabijać, dokonywać egzekucji i robi to sprawnie. Teraz już nie może wykonywać zadań przeznaczonych dla początkujących.

Pamiętajcie, że rozkazy są do wykonywania, a nie do dyskusowania. Niestety, czasem w naszych planach występują błędy. Jedynym człowiekiem, który może się mylić, jest boss. A skoro on jest bossem, to w przypadku błędu może ponownie zlecić wykonanie tego zadania. Gdy jednak błąd popełni *sicario*, to niezależnie od tego, jaka jest jego pozycja i jak dobry jest w swojej pracy, musi zginąć. To będzie jego koniec.

*Przypominam, że w 1991 roku – tym, w którym dokonano zabójstwa doktora Oropezy – nazwanym przez dziennikarzy najkrwawszym rokiem w dziejach Juárez, w mieście zamordowano w sumie sto trzydzieści cztery osoby.*

Co?!

Teraz w ciągu zaledwie jednego miesiąca ginie ponad trzysta osób<sup>58</sup>). Dawniej rzadkością był widok zamordowanego człowieka leżącego na ulicy. Wtedy obowiązywał jakiś szacunek. Dziś tego nie ma. Dziś nie ma mowy o szacunku. Musicie jednak pamiętać, że kiedy mówimy o tamtych czasach, do ludzi zamordowanych na ulicy trzeba doliczyć tych, którzy zniknęli bez śladu. Ich znajdowano dopiero wtedy, gdy odkrywano tajne cmentarze. Trzeba też doliczyć takich, którzy zniknęli i nie występują w żadnych statystykach.

58) Nagranie miało miejsce w październiku 2010 roku, kiedy to w Juárez zanotowano w sumie trzysta pięćdziesiąt dziewięć zabójstw.

Widywałem bezsensowne egzekucje dokonywane przez dzieci. Nie ma już mowy o żadnym szacunku. Jakiś dzieciak powie: „Podoba mi się ta dziewczyna, ale ona jest z tobą... A ja jej pragnę, powinna być ze mną...”. Tyle wystarczy, żeby doszło do morderstwa... egzekucji dokonanej przez czternasto-, piętnasto- czy szesnastolatka... Wychowanie musi się zaczynać w domu, ale dzisiejsze media, telewizyjne programy informacyjne i gazety wciąż trąbią o takich sprawach. Oczywiście lepiej, że informacje trafiają do nas, niż gdyby miały być ukrywane jak dawniej, gdy mogli się z nimi zapoznawać tylko wybrańcy. Jednak takie informacje należy rozpowszechniać, zachowując dużą ostrożność.

Jaki przekaz trafia dziś do tych młodych ludzi? W mediach i w Internecie najczęściej powtarza się jedno słowo: *sicario*, *sicario*, *sicario*, *sicario*, *sicario*, *sicario*..., więc trudno się dziwić, że każdy dzieciak chce być *sicario*. Tak, być *sicario* to naprawdę coś. To nie byle kto. Media pokazują, że można w ten sposób zaro-



bić mnóstwo pieniędzy, a dzieciaki to łapia, bo to taki wiek... A co tak naprawdę mają *sicarios*? Czasem być może odrobinę szczęścia i pieniądze. Ale przy okazji kompletnie rujną swoje życie, nie zdając sobie z tego sprawy. To nie jest zawód. Był taki czas, że można było mówić o pewnej profesjonalizacji, ale dziś bycie *sicario* to gra, pokusa – zupełnie jak z dzieckiem, które płacze, a ty mu dajesz lody, żeby je uspokoić i dać chwilę radości.

W czasie, gdy przeprowadzono akcję przeciwko doktorowi Oropezie, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Opracowano dokładne plany operacji. Wynajęto doskonale wyszkolonych ludzi i dopracowano wszystkie szczegóły związane z wykonaniem zadania. Dziś panuje niewiarygodna bezczelność. Poziom korupcji wśród przedstawicieli władz jest bardzo wysoki. Dawniej także mieliśmy skorumpowanych urzędników, ale nie było ich tak wielu jak teraz.

A co ze sprawą *señora* Vasconcelosa? Może to i był zwykły wypadek? Może samolot po prostu się rozbił? Ale jeżeli to był zamach... Jeśli tak było, jeśli piloci brali udział w spisku, to został on naprawdę świetnie przygotowany. Ludzie, którzy zginęli, odgrywali ważną rolę w otoczeniu prezydenta i byli mu bardzo bliscy. Prezydent darzył ministra Mouriño ogromnym zaufaniem i zaliczał go do grona najbliższych przyjaciół. Myślę, że prezydent Meksyku musi zachować wielką ostrożność, mianując ludzi na najwyższe stanowiska. Stają się oni poniekąd jego rodziną. Nikt, nawet podrzędny boss narkotykowy, nie pozwoli tknąć swojej rodziny. Nasz prezydent jest jednak nieostrożny i nie ochronił swoich najbliższych, więc wygląda na to, że jest słaby i takie nieszczęśliwe wypadki będą się przytrafiać kolejnym ludziom z jego otoczenia. Człowiek, który zginął, był traktowany jak ktoś z rodziny prezydenta, więc Calderón doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że został zaatakowany i że nastąpią kolejne ciosy. Idzie zatem na układy lub pozwala innym zawierać porozumienia z wybranymi baronami narkotykowymi.

Ta władza jest słaba i bezbronna. *Narcos* będą nadal w ofensywie. Rząd może się pochwalić jakimiś osiągnięciami, ale nie jest w stanie przekroczyć pewnej granicy. Sukcesy zawdzięcza przede wszystkim eksperymentom prowadzonym obecnie w Meksyku przez DEA, bo prezydent robi to, co mu każą Amerykanie. Wydaje mi się, że amerykański wymiar sprawiedliwości powinien wykorzystać gabinet Calderóna, ponieważ prezydent pozwoli Amerykanom przeprowadzić każde dochodzenie, którego zażądata. Przyszłe rządy pewnie nie zgodzą się na tak głęboką ingerencję. Kolejny nie będzie tak chętnie współpracował i nie odda do dyspozycji Amerykanów własnej armii. Stany Zjednoczone muszą zatem wykorzystać obecną sytuację.

Niestety, ten system pochłania ofiary. Giną szlachetni ludzie. Wiele lat temu Oropeza publikował swoje artykuły w jednej z gazet wychodzących tu, przy granicy z USA. Pisał mocne, konkretne i treściwe teksty, które czytało mnóstwo ludzi. Jego ciosy trafiały dokładnie w cel. Nikt nie wiedział, skąd Oropeza czerpał infor-

macje, ale zawsze było one ważne i prawdziwe. Został zabity właśnie za to, że był odważnym, wyrazistym dziennikarzem. Z tego samego powodu zginął *señor Vasconcelos*, który był szlachetnym, uczciwym i zdecydowanym policjantem.

#### **Życie, 4**

Cóż zatem pozostaje? Co można zrobić? Można próbować trzymać się gdzieś pośrodku, usiłując zachować równowagę. I wiecie co? Czasami ta równowaga się pojawia, mija nas, a my jej nawet nie zauważamy.

Tak właśnie było ze mną. Widziałem te znaki – wielkie, świetliste tablice. Widziałem je, jadąc do hoteli, w których sypiałem. W tamtym momencie nie rozumiałem, co dla mnie znaczą.

To był czas, gdy skończyłem z piciem, paleniem i narkotykami. Sypiałem wtedy w różnych miejscach. Nie spałem we własnym domu, bo sam sobie nie ufałem. Bałem się, że mogę wyrządzić krzywdę swojej rodzinie. Co to były za znaki, te sygnały? Było to coś, co widywałem we wszystkich swoich snach, coś na kształt *revoltura*, powtórki, wszystkich rzeczy z mojego życia.

Zacząłem zatem zbierać pieniądze, jakie miałem złożone to tu, to tam na czarną godzinę – na rozmaitych rachunkach bankowych i w najróżniejszych skrytkach. Wysłałem pieniądze do domu, żeby moja rodzina miała zabezpieczoną przyszłość. Same pieniądze jednak nie wystarczą. Do wychowania dzieci potrzebna jest obecność ojca w domu. Pieniądze nie wychowują dzieci.

*Mówiąc to, uderza dłonią w notatnik. Zaczyna dialog z samym sobą...*

W takich chwilach nie zdajesz sobie sprawy – gdy usiłujesz zacząć wszystko od nowa, gdy ciągle widzisz te znaki...

„No co, co się z tobą dzieje?”

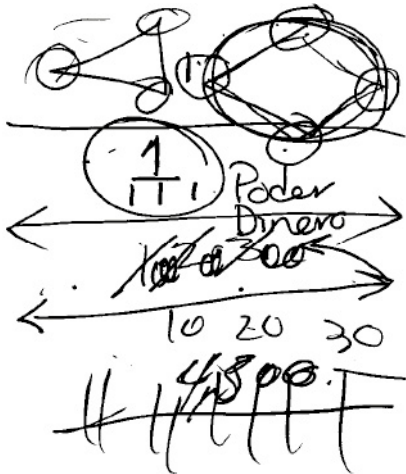
„Oni mnie śledzą”.

„Jesteś zawodowcem. Wiesz, że cię zabiją, ale to jeszcze nie jest odpowiedni moment, bo jeszcze nic nie zrobiłeś. Nie popełniłeś żadnych błędów”.

Zrobiłeś coś innego – rzuciłeś nałogi. Przestałeś pić, palić, ćpać i latać za kobietami. Gdy to wszystko rzucasz, czujesz się dziwnie, bo zmienia się twój stosunek do świata. Ale najdziwniejsze jest to, że gdziekolwiek spojrzysz, zaczynasz dostrzegać te subtelne znaki. Nie, nie powiem wam, że to są znaki mówiące: „Musisz przyjść do tego kościoła” lub „Musisz przejść na to wyznanie...”.

Nie, te subtelne znaki mówią:

„Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował pomocy. ON czeka na ciebie”.



Na takie znaki trafiasz wszędzie. Widzisz je wszędzie. Widzisz je nawet z okna swojego domu.

Gdy w twoim domu zaczyna gościć strach, obawiasz się o swoją rodzinę, gdy musisz sypiać gdzie indziej, żeby nie skrzywdzić swoich bliskich... Ten strach nie przeradza się w *cobardia*, tchórzostwo, lecz w *coraje*, odwagę, męstwo, pasję i wściekłość<sup>59</sup>). Najpierw jest to odwaga o trzech bokach, a potem otacza cię kołem.

59) W hiszpańskim słowie *coraje* odnajdujemy te wszystkie znaczenia – odwagę i męstwo oraz pasję i wściekłość. Zazwyczaj używamy go w jednym z tych znaczeń, ale wydaje mi się, że w tym przypadku *El Sicario* miał na myśli wszystkie z nich.

Potem dostrzegasz, że pojawiają się nadzieja i zbawienie. Tak. Jednak zbawieniem nie może pokierować człowiek. Człowiek, którego jedynym dokonaniem, jedynym osiągnięciem jest zdobycie władzy i pieniędzy. A gdy ma już bardzo wiele, gdy posiada wielkie dobra, zawsze chce jeszcze więcej, więcej i więcej.



Nieistotne jest dla niego, że zdobycie takiej władzy i pieniędzy wymaga

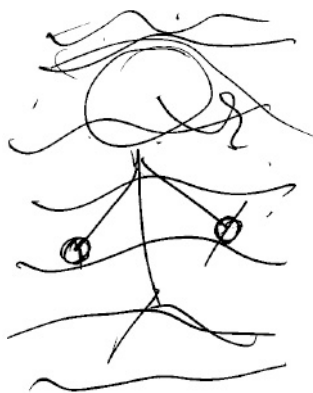
śmierci jednego, dwóch czy trzech ludzi... Nigdy jednak nie kończy się na jednym, dwóch, trzech... Nie, musi zginąć sto, dwieście lub trzysta osób... To dla niego bez znaczenia, że ma na sumieniu cztery i pół tysiąca ofiar. Dla niego liczy się tylko to, że może powiedzieć: „*Yo soy el que manda*. To ja rozdaję karty, ja wydaję rozkazy”.

Każdego dnia pojawiają się jednak te drobne znaki, które przyciągają twoją uwagę, prowadząc krok po kroku. Zdajesz sobie już sprawę z tego, że bossowie nie dają ci nic poza wypłatą w postaci pięciuset czy tysiąca dolarów za pilnowanie przez cały dzień jakiegoś durnego samochodziku. Albo za to, że jesteś „okiem”, którego zadaniem jest obserwacja i informowanie o tym, że ktoś gdzieś przeszedł czy przejechał, więc wyczekujesz całymi dniami na darmo. Gdy już to wiesz, zdajesz sobie sprawę z tego, że zamiast stać jako „oko”, mógłbyś zarobić pięć tysięcy dolarów za dokonanie egzekucji. Mógłbyś zarobić dwadzieścia pięć tysięcy albo i siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Nagrody za głowy niektórych ludzi sięgają pięciu milionów dolarów. Tych, którzy się ukrywają i są poszukiwani.

Teraz już zdajesz sobie sprawę z tego, że tak naprawdę jesteś nikim. Jesteś zerem dla każdego – i dla organizacji, i dla bossów.

Dociera do ciebie, że jesteś na tym świecie zupełnie sam. Nie masz nic poza bronią w jednej i drugiej ręce. A jeśli zostaniesz na lodzie, z pustymi rękami, nie znajdziesz nikogo, kto ci pomoże, nikogo, kto będzie ci bliski i cię ochroni. Jesteś sam. Zupełnie sam. Wyjątek stanowi rodzina, o ile ją masz.

Jedynym, który zaopiekuje się twoją rodziną, jest Pan, El Señor. To nie będzie nikt, kto określa siebie „Panem”, ani nikt, kto ośmiela się samego siebie nazywać „Bossem”, „Patronem”, „Numerem Jeden” czy *Fregon*, czyli Twardzielem.



Żaden z nich nie może się równać z Tym, który strzegł twojej rodziny i opiekował się nią przez cały ten czas, gdy pogrążałeś się w brudzie i grzechu. Teraz On czeka na ciebie, by ci powiedzieć, że jest nadzieja. Jest nadzieja, że z tego wyjdiesz. Jeśli Go przyjmiesz, On przyjmie ciebie. A wtedy już nigdy, do końca życia, nie dotknie cię żadne zło.

Musisz się zabezpieczyć. Musisz zachować ostrożność. Musisz zazdrośnie

pilnować. Nie swojej żony, ale swoich uczynków. Ponieważ Pan, który jest Władcą wszystkiego, strzeże swoje dzieci, kocha je i ochrania. Chroni wszystkie swoje dzieci bez wyjątku.

Gdy Go spotkasz, a On obdaruje cię pokojem i ponownie przywróci Twoją jedność z tą częścią siebie, którą utraciłeś – z rodziną i osobą, którą jesteś naprawdę – i wszyscy zjednoczycie się w Trójcy Świętej, znajdując swoje miejsce w Panu, to wiesz, co się stanie? Ten spokój i bezpieczeństwo, które są twoim udziałem, zaczną wtedy rosnąć i staniesz się nowym człowiekiem. Ten nowy człowiek nie będzie się nikogo bał. Będzie czuł tylko bojaźń Bożą.

A ten, który nazywa siebie „Patronem”,  
Albo ten, który nazywa siebie „Bossem”,  
Czy taki, który nazywa siebie „Numerem Jeden”,  
Lub taki, który nazywa siebie „Panem”...  
Czyimi panami oni są?  
Panami syfu!

↑ Hombre  
Nuevo.

---

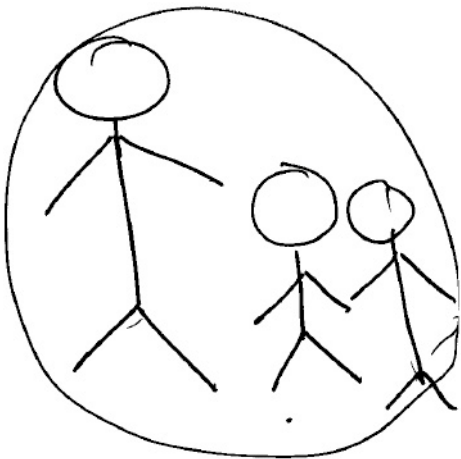
Temor. – Hombre

---

Dios.

---

Patron, jefe, Munstro



Gdy Bóg mnie wezwał, kazał mi się wytarzać w tym brudzie. Potem odebrał mi wszystko, co do centa – wszystko, co na tym zarobiłem.

*Jeszcze raz przerzuca kartki w notatniku, w którym spisał swoje życie.*

Odebrał mi ubrania.

Odebrał mi myśli.

Zabrał wszystko.

Potrząsnął mną.

I wiecie co?

Nie zostawił mi nic, poza moim ciałem. Pozostawił mnie nagiego z moją rodziną.

I w tym miejscu możemy zacząć nowe życie. Życie w Nim.

## Postscriptum

### Autoexilio (Dobrowolne wygnanie)

El Sicario

*Kwiecień 2010 roku*

Przez długi czas obserwowałem ze smutkiem realia życia w Meksyku. Widziałem, jak Meksykanie muszą się zmagać z błędami popełnianymi bez przerwy przez przywódców politycznych tego kraju. Zastanawiam się, co by się stało ze mną i z moją rodziną, gdyby nie przysłała ta chwila desperacji, kiedy postanowiłem wyjechać z Meksyku i zostawić drobne oszczędności oraz skromny majątek. Oto odpowiedź:

W dawnych czasach jeden z komendantów policji powiedział mi:

– Zaufaj nam. Tylko my możemy cię ochronić. Wystarczy twoje zeznanie. Wyjaśnimy pewne sprawy, a ty będziesz świadkiem. Jeśli się nie zgodzisz, to cię aresztujemy i oskarżymy o współudział w przestępstwie.

Na moje nieszczęście, *desgraciadamente*, zaufałem temu człowiekowi. Wystarczyły im niecałe cztery godziny, żeby pobić, zgwałcić i oblać benzyną moją ówczesną partnerkę. Przeżyła, ale stan, w jakim ją zostawili, miał być dla mnie bardzo wyraźnym sygnałem i ostrzeżeniem. Postanowiłem wówczas ukryć się w jednym z najodleglejszych stanów Meksyku, zerwać wszelkie kontakty z przyjaciółmi i rodziną – zapomnieć o bliskich. Podjąłem uczciwą pracę i harowałem dzień po dniu, żeby odłożyć nieco grosza. Musiałem mieć pieniądze, żeby ruszyć dalej i podjąć kolejne kroki.

Nie miałem wielkiego majątku, ale te pieniądze wystarczyły mi na całkiem niezłe życie. Poznałem piękną kobietę, a po jakimś czasie postanowiliśmy wziąć ślub w urzędzie. Musiałem podać dane osobowe – datę i miejsce urodzenia, adres – te informacje trafiły do sędziego pokoju (w urzędzie stanu cywilnego). Odnaleźli mnie po niecałych trzech dniach i właśnie wtedy zrozumiałem ze smutkiem, jak głęboko w świat władzy i polityki weszli przestępcy. Dowiedziałem się, że mają film z moim wizerunkiem, że mogli mnie znaleźć i rozpoznać na podstawie tych kilku informacji, które podałem w urzędzie. Im jednak nie wystarczyło, że mnie odnaleźli. Czyżby przestępcy dysponowali lepszymi systemami operacyjnymi niż władze państwowe? A może systemy operacyjne państwa pozostają pod kontrolą bossów narkotykowych współpracujących z władzami?

Postanowiłem wówczas zwrócić się do pewnej osoby i poinformować ją o tym, co się ze mną dzieje. W tym celu musiałem dołączyć do rodziny. Odtąd za-

grożone było życie nie tylko moje, ale także mojej niedawno poślubionej żony.

Powiedziałem wspomnianemu człowiekowi, że zdecydowałem się prosić o pomoc. Udzielił mi dobrych rad. Usiłowałem też szukać ochrony władz federalnych, ale okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż za pierwszym razem. Władze federalne już wcześniej zajęły się przeszukiwaniem domów i zatrzymywaniem ludzi powiązanych z narkobiznesem i przemytem. Kiedy ludzie ci zostali wykupieni z aresztu, niezadowoleni z całego zamieszania przekazali przestępcom mój rysopis i dane, wskazując mnie, jako tego, kto zadenuncjował ich władzom. Muszę podkreślić, że nie przekazałem władzom żadnych informacji na temat którejkolwiek z tych osób. One jednak zostały zatrzymane, skonfiskowano im cały towar, zabrano pieniądze, po czym wypuszczono na wolność. Oczywiście natychmiast rozpoczęło się bezlitosne polowanie na mnie i na moją rodzinę.

W panikę wpadli nie tylko moi najbliżsi, ale i dalsi krewni, których domy również były już wtedy pod obserwacją.

Kolejny raz postanowiłem podzielić się z kimś swoimi problemami. Tym razem wybrałem *señora* Vasconcelosa, jednak nie dane mi było się z nim spotkać, gdyż został zabity wraz z ministrem spraw wewnętrznych. Być może gdybym otrzymał szansę spotkania, przyniosłoby to zmianę w moim życiu. Być może... Nie wiem... Wtedy jednak uciekłem z Meksyku i na pewno, pod żadnym pozorem nie mam zamiaru tam wracać.

Niestety, ten kraj jest dotknięty wszechogarniającym złem. Poziom korupcji jest tak wysoki, że nie ma mowy o poradzeniu sobie z tym zjawiskiem i to mimo pomocy otrzymywanej z innych krajów. Cała historia z prezydentem Republiki to czysta farsa. Gdy patrzę z mojego punktu widzenia, nie mam żadnych złudzeń. Prezydent to marionetka w rękach ministrów. Nie czuje potrzeby poświęcenia się społeczeństwu, gdyż całkowicie poświęcił pilnowaniu własnych interesów, podobnie jak wielu jego poprzedników. Na dodatek to zaledwie czubek góry lodowej.

Jeden z moich najlepszych przyjaciół, który także wyjechał z kraju i żyje teraz na dobrowolnym wygnaniu, ze smutkiem wspomina, jak pracował dla pewnego urzędnika rządowego w Juárez.

Opowiedział mi swoją historię, udzielając zgody na nagranie i publikację. Oto jego opowieść:

„Przyszedłem na umówione spotkanie i czekałem na korytarzu przed biurem tego urzędnika. Nagle pojawiło się chyba z ośmiu mężczyzn. Wyglądali na uzbrojonych, a tylko jeden z nich miał przy sobie aktówkę. Chcieli porozmawiać z urzędnikiem, ale jego sekretarz ich nie wpuścił. Wtedy jeden z mężczyzn gdzieś zadzwonił i zaraz potem urzędnik wyszedł z gabinetu, przywitał się, po czym udzielił sekretarzowi reprimendy za to, że uniemożliwił gościowi wejście do biura. Mężczyzna przekazał urzędnikowi aktówkę. Potem zobaczyłem tego człowieka w gabinecie. Stał tuż obok fotela. Ale co się stało z sekretarzem? Został zrugany



i ukarany tak surowo, że postanowił się zwolnić. I wtedy okazało się, że człowiek, któremu sekretarz chciał uniemożliwić spotkanie z urzędnikiem państwowym, był narkotykowym bossem odpowiedzialnym za *plazę* w Ciudad Juárez i cały stan Chihuahua”.

Wyobraźcie sobie teraz, ilu takich skorumpowanych polityków jest w Meksyku. Teraz się tam mnożą jeden za drugim... Mam nadzieję, że mieszkańcy Juárez – miasta dręczonego, pobitego i sterroryzowanego przez narkobiznes – nie powtórzą tego samego błędu!

Zarówno ja, jak i mój przyjaciel, widzimy dziś wyraźnie i stwierdzamy to ze smutkiem – już nigdy nie będziemy rozmawiać z jakimkolwiek przedstawicielem meksykańskich władz. Ci, którzy nie zostali zamordowani, są zamieszani w handel narkotykami. Uczciwi, jak *señor Vasconcelos* i minister Mouriño, już nie żyją. Minister był bliskim przyjacielem prezydenta Felipe Calderóna i drogo zapłacił za tę przyjaźń.

*Kolejna uwaga El Sicario jest komentarzem w sprawie niedawnych wyborów w stanie Chihuahua oraz morderstwa jednego z urzędników państwowych z Juárez, które miało miejsce po wyborach.*

Niech was Bóg błogosławi...

Niestety, mieszkańcy Juárez postanowili zagłosować ponownie na kangura. To eufemizm, ponieważ tak naprawdę jest to szczer chodzący na dwóch nogach – człowiek, któremu bliskie są intrygi i brudne interesy lokalnego półświatka. Działając wspólnie z grupą ludzi chroniących się pod jego skrzydłami, po części jest on także protektorem przestępców. Ci ludzie myślą, że stoją ponad prawem, że są zaszczeni i odporni, ale prawda wygląda inaczej... Wkrótce wszyscy będziemy mieszkać w domu dla obłąkanych... Przed przejściem władzy jego ekipę dotknęły dwa czy trzy ciosy, które wymierzono tylko w jednym celu – by przypomnieć mu, od kogo dostaje pieniądze i kogo ma bezwzględnie słuchać. Wydaje się, że wszystko zmierza w złym kierunku, a po tych wyborach przyjdą kolejne trzy lata bandytyzmu i kompletnej bezkarności... Przestępcy po cichutku dokonają przegrupowań w policji i wszystko pozostanie po starym – jak w czasach, kiedy on sterował policją w Juárez... Na dodatek nie ma mowy, żeby się to wszystko skończyło, skoro każdego dnia spływają haracze od ludzi z różnych miasteczek i wsi. Wciąż bronią oni skromnego majątku, który stanowi ich ojcowiznę, a jest im bezwzględnie rabowany każdego dnia.

## **Błogosławieństwo**

*Film dokumentalny El Sicario, Pokój nr 164 w reżyserii Gianfranca Rosiego został wyemitowany we francuskiej i niemieckiej telewizji pod koniec listopada 2010 roku. Od czasu premiery w Wenecji zdobył wiele nagród. El Sicario zamknął swoje emocje w następujących słowach:*

Niech Bóg was błogosławi. Jestem ogromnie wdzięczny za informacje o filmie. Wydaje mi się, że został dobrze przyjęty w mediach, dużo się o nim mówi, a przede wszystkim pokazuje nam część prawdy, o której – w związku z przemocą, jaka trapi Meksyk – wielu z nas chciałoby zapomnieć. Dziękuję za pokazanie tego wycinka rzeczywistości. Mamy nadzieję, że pewnego dnia władze Meksyku naprawdę zrobią porządek w kraju i przestaną współpracować z tamtymi ludźmi.

*Saludos.*

Niech Jezus Chrystus obdaruje was swoimi łaskami.

*Mamo, zakop gdzieś tę broń,  
Nie chcę do nich strzelać już...*

– Bob Dylan, *Pukając do nieba bram*

## **Spis treści:**

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Przedmowa

Wstęp

Jarzmo

Paczka

Dziecko

Nastolatek

Mężczyzna

Dziecko boże

System i życie

Postscriptum

Błogosławieństwo